

Douglas Adams

Restauracja na końcu wszechświata

Przełożył: Paweł Wieczorek

Wydanie oryginalne: 1980

Wydanie polskie: 1998

TMN

Jane i Jamesowi

z podziękowaniami

*Geoffreyowi Perkinsowi za dokonanie
nieprawdopodobnego*

*Paddy Kingsland, Lisie Braun i Alick Hale Munro
za to, że mu w tym pomogły*

*Johnowi Lloydowi za pomoc w stworzeniu pierwotnego
manuskryptu „Milinowej”*

Simonowi Brettowi, który zaczął całą historię

*Płycie Paula Simona „One Trick Pony”, której stale słuchałem, pisząc
tę książkę. Pięć lat to sporo*

*Szczególne podziękowania dla Jaqui Grahama za nieskończoną
cierpliwość, dobroć i karmienie w potrzebie*

Istnieje teoria, że jeśli ktoś kiedyś się dowie, dlaczego powstał i czemu służy wszechświat, to cały kosmos zniknie i zostanie zastąpiony czymś znacznie dziwniejszym i jeszcze bardziej pozbawionym sensu.

Istnieje także teoria, że już dawno tak się stało.

Rozdział 1

Dotychczas zdarzyło się, co następuje:

Na początku stworzono wszechświat.

Zezłościło to mnóstwo ludzi i zostało powszechnie uznane za błąd.

Wiele ludów wierzy, że wszechświat został stworzony przez coś na kształt Boga, Jatravartydzi z planety Viltwodl Sześć uważają jednak, że kosmos wykichała istota o imieniu Wielki Zielony Spazm Arkelów.

Jatravartydzi, żyjący w ciągłym lęku przed momentem, który zwą „Przybycie Wielkiej Białej Chustki do Nosa”, to małe niebieskie stworzonka o ponad pięćdziesięciu rączkach; ich niezwykłość polega na tym, że jako jedyny naród w historii wynaleźli dezodorant przed kołem.

Nauka o Wielkim Zielonym Spazmie Arkelów nie znalazła zbyt wielu zwolenników poza Viltwodlem Sześć, a ponieważ wszechświat w dalszym ciągu jest niesamowicie skomplikowany, dalej próbuje się tworzyć teorie jego powstania.

I tak na przykład pewnego razu rasa hiperinteligentnych, żyjących w wielu czasoprzestrzeniach istot zbudowała przeogromny superkomputer nazwany Głęboka Myśl, który miał raz na zawsze wyjaśnić wszelkie wątpliwości, czyli dać odpowiedź na ostateczne pytanie o życie, wszechświat i całą resztę.

Głęboka Myśl kombinował i rachował siedem i pół miliona lat, po czym obwieścił, że odpowiedź brzmi „Czterdzieści dwa”. W efekcie konieczna okazała się budowa następnego, jeszcze większego komputera, by ustalić, jak właściwie brzmi ostateczne pytanie.

Nowy komputer – zwany Ziemia – był tak ogromny, że często brano go za planetę; zwłaszcza robiły to ganiające po powierzchni maszyny przedziwne małopokształtne istoty, nie mające zielonego pojęcia, że są elementem gigantycznego programu.

Jest to dość dziwaczne, ponieważ dla kogoś nie znającego tego prostego i oczywistego faktu nic, ale to nic, co kiedykolwiek wydarzyło się na Ziemi, nie mogło mieć nawet krztyny sensu.

Niestety, tuż nim zakończył się przebieg programu, Ziemia nieoczekiwanie została wyburzona przez Vogonów w celu – jak twierdzili – zrobienia miejsca hiperprzestrzennej

trasie szybkiego ruchu. W ten sposób na zawsze zniweczona została nadzieja na odkrycie sensu życia.

Nie do końca.

Dwa przedziwne małopokształtne stwory przeżyły.

Artur Dent umknął w ostatnim momencie, ponieważ nagle okazało się, że jego stary przyjaciel, Ford Prefect, pochodzi nie z Guildfordu, jak zawsze twierdził, lecz z małej planety w okolicy Betelgeuse. Co ważniejsze, Ford wiedział, jak sprawić, by latający talerz zabrał go autostopem.

Tricia McMillan – czyli Trillian – związała z planety sześć miesięcy wcześniej z Zaphodem Beeblebroxem, prezydentem Galaktyki.

Dwoje ocalałych.

Trillian i Artur to wszystko, co pozostało po największym eksperymencie wszechczasów, którego celem było odkrycie ostatecznego pytania i ostatecznej odpowiedzi o życie, wszechświat i całą resztę.

Niecały milion kilometrów od miejsca, gdzie w kruczoczarnej ciemności kosmosu dryfuje ociężałe statek z Ziemi, unosi się statek Vogonów. Leci powoli kursem na Ziemi.

Rozdział 2

Statek – jak każdy statek kosmiczny Vogonów – nie bardzo wyglądał na dzieło konstruktora, raczej na efekt zamrożenia, choć nie wiadomo dokładnie czego. Mało estetyczne żółte gruzły i sterczące pod szkaradnymi kątami urządzenia zniekształciłyby linię większości statków, ale tego nic nie mogło oszpecić. Podobno pojawiały się na niebie brzydsze obiekty, ale brak na to wiarygodnych świadków.

Chcąc zobaczyć coś brzydszego niż statek Vogonów, należy wejść do środka i rzucić okiem na pierwszego z brzegu Vogona. Jeśli jesteś mądry, właśnie z tego zrezygnujesz, gdyż przeciętny Vogon nie zastanawia się dwa razy, nim zrobi napotkanemu człowiekowi nikczemność, zwykle tak bezsensowną, że zaczyna się przeklinać dzień swych narodzin (lub jeśli uszkodzony jest nieco bystrzejszy – dzień narodzin Vogona).

Przeciętny Vogon prawdopodobnie nie będzie się zastanawiał nawet jeden raz.

Osobnicy tej rasy cechują się prymitywnym umysłem, oślim uporem oraz mózdzkiem jak u ślimaka i naprawdę nie zostali stworzeni do myślenia. Analiza anatomii Vogonów wykazuje, że pierwotnie ich mózg był potwornie zdeformowaną, przemieszczoną i otłuszczoną wątrobą. Można jednak powiedzieć o nich coś dobrego – wiedzą, czego chcą. Do ich upodobań należy przede wszystkim krzywdzenie innych i wściekanie się przy byle okazji.

Jedną z rzeczy, których zdecydowanie nie lubią, jest zostawianie nie dokończonej roboty. Szczególnie dotyczy to Vogona, którego zaraz spotkamy, i – z wielu powodów – akurat wyznaczonego mu niedawno zadania.

Owym Vogonem był komendant prostetnik Vogon Jeltz z Galaktycznej Rady Planowania Hiperprzestrzeni i właśnie jemu powierzono zadanie zniszczenia „planety” Ziemia.

Wiercił swym monstualnym ohydny cielskiem po niewygodnym, lepiącym się od brudu fotelu i gapił się w monitor, na którym skanery kawałek po kawałku pokazywały statek międzygwiazdny „Serce ze Złota”.

Komendant nie zważał, że wyposażone w napęd nieprawdopodobieństwa „Serce ze Złota” jest najpiękniejszym i najniezwyklejszym statkiem kosmicznym, jaki kiedykolwiek

zbudowano. Estetyka i technika były dla niego bajką o żelaznym wilku, gdyby to od niego zależało – wilku zarżniętym i obdartym ze skóry.

Komendant tym bardziej nie zważał na obecność na pokładzie Zaphoda Beeblebroxa. Zaphod Beeblebrox nie był już prezydentem Galaktyki i choć zarówno jego, jak i statek, który ukradł, ścigał każdy policjant w Galaktyce, Vogona mało to obchodziło.

Miał na głowie ważniejsze sprawy.

Ktoś kiedyś powiedział, że Vogoni są tak samo ponad drobne łapówkarstwo i korupcję, jak morze znajduje się ponad niebem – w przypadku tego przedstawiciela ich rasy stwierdzenie było trafione w dziesiątkę. Słyszac słowa „uczciwość” lub „wysokie morale”, Vogon Jeltz sięgał po słownik wyrazów obcych, słyszac brzęczenie większej gotówki, sięgał po kodeks karny i czym prędzej go wyrzucał.

Dokonując tak bezpardonowego zniszczenia Ziemi i wszystkiego, co się na niej znajdowało, prostetnik nieco wykroczył poza zakres swych obowiązków służbowych. Istniały pewne wątpliwości, czy wspomniana trasa szybkiego ruchu faktycznie będzie budowana, winni ewentualnego nadużycia szybko jednak odłożyli dyskusję nad tym ad acta.

Vogon wydał z siebie odrażający pomruk zadowolenia.

– Komputer! – zaskrzeczał. – Połącz mnie z moim konserwatorem mózgu.

Kilka sekund później na ekranie pojawiło się oblicze Gaga Halfrunta, ozdobione uśmiechem człowieka mającego pewność, że Vogon, na którego patrzy, przebywa w odległości dziesięciu lat świetlnych. W uśmiechu był ślad ironii. Choć Vogon zwracał się do Halfrunta per „mój osobisty konserwatorze mózgu”, nie było tu zbyt wiele do konserwacji, poza tym w rzeczywistości sytuacja przedstawiała się odwrotnie, niż wydawało się prostetnikowi – Halfrunt zatrudniał Vogona.

Płacił mu krocie za trochę brudnej roboty.

Halfrunt, jeden z najslawniejszych i najbardziej wziętych psychiatrów w Galaktyce zgodził się (razem z paroma kolegami po fachu) płacić bająnskie sumy, gdy okazało się, że może zostać zagrożona przyszłość psychiatrii.

– Witam, mój prostetniku komendancie Vogonów – zagał. – Dobrze się dziś czujemy?

Komendant opowiedział, że w ciągu ostatnich paru godzin zgładził w ramach postępowań dyscyplinarnych prawie połowę załogi.

Uśmiech Halfrunta nie drgnął nawet na ułamek sekundy.

– No cóż, myślę, że jak na Vogona to zupełnie normalne zachowanie. Naturalne i zdrowe przetworzenie agresywnych skłonności na akty bezsensownej przemocy.

– Zawsze tak gadasz – warknął Vogon.

– Powtórzę: no cóż – oświadczył Halfrunt. – Myślę, że to zupełnie normalne zachowanie jak na psychiatrę. Świetnie. Widzę, że dziś jesteśmy doskonale do siebie dostrojeni psychicznie. Proszę o najnowsze wieści z akcji.

– Zlokalizowaliśmy statek.

- Wspaniale. Cudownie! Co z załogą?
- Jest z nimi Ziemiak.
- Wyśmienicie! Kto poza tym?
- Samiczka z jego planety. On i ona to ostatnie egzemplarze.
- Dobrze, bardzo dobrze – rozpromienił się Halfrunt. – Kto jeszcze?
- Koleś zwany Prefect.
- Jeszcze ktoś?
- Zaphod Beeblebrox.

Uśmiech Halfrunta zadrżał.

- No cóż, oczekiwałem tego. Pożalowania godna okoliczność.
- Przyjaciel? – zapytał Vogon, który kiedyś słyszał to słowo i postanowił je wypróbować.
- Ależ skąd! Przedstawiciele mojego zawodu nie przyjaźnią się z nikim.
- Rozumiem. Zawodowa bezstronność.
- Nie – wesoło odparł Halfrunt. – Po prostu nie mamy do tego drygu.

Psychiatra przez chwilę nic nie mówił. Uśmiech nie schodził mu z ust, ale jego oczy zdradzały lekką złość.

– Musi pan wiedzieć, że Beeblebrox jest jednym z moich najlepszych klientów. Ma problemy, o jakich psychoanalitykom nawet się nie śni...

Przez chwilę rozważał konsekwencje tego, co powiedział, ale w końcu – choć niechętnie – odrzucił litościwy tok myślenia.

- Czy jest pan ciągle gotów do wykonania zadania? – zapytał.
- Oczywiście.
- Doskonale. Natychmiast zniszczyć statek!
- A co z Beeblebroxem?
- Cóż – żwawo odparł Halfrunt – w końcu Zaphod nie jest nikim nadzwyczajnym.

Psychiatra zniknął z ekranu.

Komendant Vogonów nacisnął przycisk i połączył się z niedobitkami załogi.

– Atak!

Zaphod Beeblebrox siedział w swej kabinie i klął jak furman. Dwie godziny temu zaproponował, by wpadli na przekąskę do restauracji na końcu wszechświata, natychmiast po tym odbył karczemną awanturę z komputerem pokładowym i pognął do kabiny drąc się, że jak tak, to sam sobie wyliczy czynniki nieprawdopodobieństwa ołówkiem.

Napęd nieprawdopodobieństwa czynił z „Serca ze Złota” najpotężniejszy i najbardziej nieobliczalny statek kosmiczny we wszechświecie. Nie istniało żadne zadanie, którego by nie mógł wykonać – oczywiście, jeśli dokładnie się wiedziało, jak nieprawdopodobne jest to, co chce się, by zrobił.

Zaphod ukradł statek w momencie, gdy jako prezydent miał go spuścić z pochylni. Nie wiedział za bardzo, dlaczego ukradł „Serce ze Złota” – poza tym, że mu się podobało.

Analogicznie nie wiedział, dlaczego został prezydentem Galaktyki – poza tym, że odstawianie prezydenta było dość zabawne.

Zdawał sobie sprawę, że istnieją lepsze uzasadnienia obu wydarzeń, są jednak zagrzebane w jakichś mrocznych, odizolowanych regionach jego mózgow. Marzył, by te mroczne, odizolowane regiony jego mózgow się wyłączyły, czasami bowiem dochodziły na krótkie chwile do głosu, zarażały jasne, wesołe regiony osobliwymi myślami i próbowały odciągnąć go od tego, co uważał za cel życia: fantastycznie się bawić.

Aktualnie nie bawił się fantastycznie. Skończyła mu się cierpliwość, skończyły się ołówki i był bardzo głodny.

– Niech to szlag!!! – ryknął.

Dokładnie w tym momencie Ford Prefect znajdował się w powietrzu. Frunął nie dlatego, że coś się popsulo w polu grawitacyjnym statku, lecz dlatego, że przed chwilą skoczył ze schodów prowadzących do kabin mieszkalnych. Jak na jeden sus wysokość była spora – w efekcie źle wylądował, stracił równowagę, ale się pozbierał i pognął korytarzem, płosząc po drodze kilka przelatujących miniaturowych robotów-służących. Pędząc wokół rogu, wpadł w poślizg, wykonał kilka rozpaczliwych ruchów, gwałtownym szarpnięciem otworzył drzwi do kabiny Zaphoda i wyrzucił z siebie, co leżało mu na sercu:

– Vogoni!

Chwilę wcześniej Artur Dent opuściłabinę i udał się na poszukiwanie filiżanki herbaty. Nie wyruszał w zbyt optymistycznym nastroju, wiedział bowiem, że jedynym źródłem gorących napojów na statku jest ciemne jak tabaka w rogu urządzenie, żywnościomatemyczny syntetyzer napojów, produkowany przez cybernetyczną korporację Syriusza. Artur miał już okazję się z nim zetknąć.

Maszyna z uporem twierdziła, że umie wytworzyć dowolne spektrum napojów, dostosowanych indywidualnie do smaku i przemiany materii dowolnej osoby, która zechciałaby z niej skorzystać. Poddana próbie niezmiennie produkowała plastikową filiżankę z płynem, który nie miał prawie nic (choć niezupełnie) wspólnego z herbatą.

Artur postanowił przemówić żelastwu do rozsądku.

– Herbata – zaordynował.

– Bierz i ciesz się – odparła maszyna, podając filiżankę z obrzydliwą cieczą.

Wyrzucił ją.

– Bierz i ciesz się – powtórzyła maszyna, produkując następną filiżankę świństwa.

BIERZ I CIESZ SIĘ to slogan niezwykle efektywnie działającego działu reklamacji cybernetycznej korporacji Syriusza, który zajmuje obecnie trzy średniej wielkości planety i jest jedyną jednostką organizacyjną korporacji, wykazującą się w ostatnich latach stałymi zyskami.

Ułożony z oświetlonych liter pięciokilometrowej wysokości slogan stoi – czy raczej stał – w pobliżu kosmodromu działu reklamacji na planecie Eadrax. Niestety, ciężar liter okazał się

tak wielki, że zaraz po ich ustawieniu grunt nie wytrzymał i zapadły się prawie do połowy, wlatując do biur wielu młodych, zdolnych – obecnie niestety zmarłych – specjalistów do spraw reklamacji.

Wystające części liter, czytane w miejscowym dialekcie, tworzą zdanie WETKNIJ GŁOWĘ W ŚWINIĘ, napis nie jest więc oświetlony, z wyjątkiem szczególnych okazji.

Artur wyrzucił szóstą filiżankę z płynem.

– Słuchaj, maszyno! Jeśli utrzymujesz, że możesz zsyntetyzować dowolny istniejący napój, to dlaczego serwujesz mi bez przerwy to świństwo, którego nie da się pić?

– Znam parametry optymalnej dla ciebie diety i twoją wrażliwość na smaki... – zabulgotała maszyna. – Bierz i ciesz się.

– To obrzydliwe!

– Nacieszyłeś się napojem – ciągnęła maszyna – może teraz chciałbyś poczęstować przyjaciół?

– Nie chciałbym – zgryźliwie odparł Artur – ponieważ nie zamierzam ich stracić. Czy nie możesz spróbować pojąć, co do ciebie mówię? Ten napój...

– Ten napój – łagodnie przerwała maszyna – został stworzony, by zaspokoić twoje indywidualne potrzeby dietetyczne i wrażliwość smakową.

– Aha – stwierdził Artur – a więc jestem głodującym masochistą?

– Bierz i ciesz się.

– Zamknij się!

– Czy to na razie wszystko?

Artur postanowił się poddać.

– Tak – zamknął rozmowę.

W tym samym momencie uznał jednak, że szlag go trafi, a się nie podda.

– Nie! – stwierdził gwałtownie. – Słuchaj no, to całkiem proste... nie żądam wiele... jedynie filiżanki herbaty. Zaraz mi ją zrobisz, ale teraz nie mów, tylko słuchaj.

Usiadł. Opowiedział żywnościomatu o Indiach, opowiedział o Chinach, opowiedział o Cejlonie. Opowiedział maszynie o szerokich, suszących się na słońcu liściach. Opowiedział o imbrykach ze srebra. Opowiedział o letnich popołudniach, spędzanych na wypielegnowanych trawnikach. Opowiedział o tym, że mleko wlewa się przed herbatą, by nie straciło smaku. Opowiedział nawet (w skrócie) dzieje Kompanii Wschodnioindyjskiej.

– To tego chcesz? – zapytał żywnościomat, gdy Artur skończył.

– Właśnie tego.

– Chcesz czuć smak zaparzanych w wodzie suszonych liści?

– Hm... tak. Z mlekiem.

– Wyciągam cienkim strumieniem z krowy?

– Może to nie najlepsze określenie, ale...

– Potrzebna mi będzie pomoc – zwięźle stwierdziła maszyna. Z jej głosu zniknęło wesołe gulgotanie, bez reszty koncentrowała się na zadaniu.

– Zrobię, co mogę... – obiecał Artur.

– Zrobiłeś już dość – oświadczył żywnościomat i wezwał na konsultację główny komputer.

– Sie ma, chłopaki! – rzucił ochoczo komputer pokładowy.

Żywnościomat wyjaśnił mu problem herbaty. Główny komputer zdziwił się, podłączył swe obwody logiczne do kolegi i obaj zapadli w posępne milczenie.

Artur przez chwilę patrzył i czekał, ale nic się nie działo.

Szturchnął maszynę, ale dalej nic się nie działo.

W końcu zrezygnował i poczłapał do centrali dowodzenia.

„Serce ze Złota” zawisło nieruchomo w pustych głuszcach kosmosu. Dookoła lśniły niezliczone gwiazdy. Powoli zbliżała się ohydna żółta bryła – statek Vogonów.

Rozdział 3

– Czy ktoś ma może czajnik? – zapytał Artur w centrali dowodzenia. Jeszcze nie skończył zdania, a już zaczął się dziwić, dlaczego Trillian wrzeszczy na komputer, by raczył z nią porozmawiać, dlaczego Ford grzmoci w niego pięściami, a Zaphod kopie, i dlaczego na ekranie widać coś obrzydliwego i żółtego.

Odstawił trzymaną w dłoni pustą filiżankę i podszedł bliżej.

– Cześć – zagaił.

W tym momencie Zaphod rzucił się ku płaszczyznom polerowanego marmuru. Pod dotykiem jego dłoni zmaterializowały się przyrządy uruchamiające konwencjonalny napęd fotonowy. Włączył ręczne sterowanie, popychał, pociągał, naciskał i kłął. Napęd fotonowy zaskoczył, zaraz jednak się wyłączył.

– Coś nie tak? – zapytał Artur.

– Słyszeliście? – warknął Zaphod, doskakując wielkim susem do ręcznego sterowania napędem nieskończonego nieprawdopodobieństwa. – Małpa przemówiła!

Napęd nieprawdopodobieństwa wydał z siebie dwa ciche westchnienia i też się wyłączył.

– Ludzie, świat się wali! Gadająca małpa! – Zaphod dał napędowi nieprawdopodobieństwa solidnego kopniaka.

– Jeśli coś was złości... – spróbował Artur.

– Vogoni! – szczeknął Ford. – Atakują!

– Dlaczego więc nic nie robicie? – zaszczebiotał podniecony Artur. – Zwiewajmy stąd!

– Nie możemy. Komputer się zaciął.

– Zaciął?

– Mówi, że ma zajęte wszystkie obwody. Statek nie ma mocy.

Ford odsunął się od terminalu, wytarł rękawem czoło i ciężko walnął plecami o ścianę.

– Nic się nie da zrobić – stwierdził. Tępo wbijał wzrok w przestrzeń i zagryzał wargę.

Kiedy Artur chodził do szkoły, długi czas zanim zniszczono Ziemię, często grywał w piłkę. Nie umiał grać zbyt dobrze, jego specjalnością było strzelanie w ważnych meczach do własnej bramki. Zawsze, gdy mu się to przydarzało, czuł na karku dziwne łaskotanie,

pełnące powoli w górę policzków i kończące swą drogę pieczeniem na czole. Właśnie teraz żywo przypomniały mu się błoto, trawa oraz zgraja chłopaków, szydzących i obrzucających go grudami rozmokłej darni.

Dziwne łaskotanie pełzło z karku na policzki i powoli przypiekało czoło.

Wziął wdech, by coś powiedzieć, ale nie wydobył z siebie dźwięku.

Znów wziął wdech, ale znów nie wydobył z siebie dźwięku.

W końcu udało mu się zapanować nad głosem.

– Eee... – odchrząknął. – Czczy... – Głos tak mu drżał, że wszyscy się odwrócili i zaczęli w niego wpatrywać. Gapił się na rosnącą na monitorze żółtą plamę. – Czczy komputer pppowiedział, czym jest zzzajęty? Pytam ttak tylko, z ciekawości...

Widział wlepione w siebie oczy wszystkich obecnych.

– Nnno... ttak. Tak się ttylko chciałem dddowiedzieć...

Zaphod złapał Artura za kark.

– Coś mu zrobił, małpoludku? – wydyszał.

– Właściwie nic. – Artur nieco się opanował. – Parę minut temu próbował chyba wymyślić, jak...

– Jak?!!

– Zrobić mi trochę herbaty.

– Zgadza się co do joty, chłopaki! – huknął komputer. – Już kończę, choć to niezły numer! Zaraz się włączę do rozmowy – skończył i znów popadł w milczenie, którego intensywność przerastało jedynie milczenie wpatrującej się w Artura Denta trójki.

Jakby chcąc rozładować napiętą atmosferę, ten właśnie moment Vogoni wybrali na otwarcie ognia.

Statek zadygotał, zadudnił. Pod naporem kilkunastu ostatecznobójczych armat fotodemolacyjnych o sile trzydziestu meganiszczojednostek każda, gruby na trzy centymetry pancerz z pola siłowego dostał purchli, zaskwierczał, trysnął iskrami i wyglądało na to, że długo nie wytrzyma. Ford Perfect dał mu cztery minuty.

– Trzy minuty pięćdziesiąt sekund – stwierdził za moment. – ...Czterdzieści pięć sekund – dodał po chwili. Obojętnie pstryknął kilkoma bezużytecznymi przełącznikami, potem posłał w stronę Artura nieprzyjazne spojrzenie.

– Umrzemy za filiżankę herbaty, co? Trzy minuty i czterdzieści sekund.

– Może przestajesz odliczać?!! – wrzasnął Zaphod.

– Na pewno. Za trzy minuty i trzydzieści pięć sekund.

Siedzący w statku Vagonów prostetnik Vagon Jeltz z lekka zgłupiał. Oczekiwał skomplikowanej pogoni, uników i zwodów, oczekiwał podniecającej walki z użyciem promieni traktorowych, oczekiwał, że do zneutralizowania napędu nieskończonego

nieprawdopodobieństwa będzie musiał użyć specjalnie w tym celu skonstruowanego subcyklonormaloustalotronu, jednak subcyklonormaloustalotron był beczynny tak samo jak „Serce ze Złota”, które brało na siebie wszystkie ciosy.

Kilkanaście ostatecznobójczych armat fotodemolacyjnych o sile trzydziestu meganiszczojednostek każda wciąż tłukło w „Serce ze Złota”, które w dalszym ciągu nieruchomo wisiało w próżni, biorąc na siebie wszystkie ciosy.

Prostetnik sprawdził każdy sensor na tablicy przed sobą, by dowiedzieć się, czy nie szykują mu jakiegoś wyrafinowanego kręactwa. Nie odkrył żadnego wyrafinowanego kręactwa.

Oczywiście nie miał zielonego pojęcia o herbacie.

Nie wiedział też, w jaki sposób załoga „Serca ze Złota” spędza ostatnie trzy minuty i trzydzieści sekund życia, które jej pozostały.

Zaphod Beeblebrox nigdy do końca nie zrozumiał, dlaczego akurat w tym momencie wpadł na pomysł seansu spirytystycznego. Temat śmierci wisiał oczywiście w powietrzu, należało go jednak raczej omijać, niż wałkować.

Prawdopodobnie trwoga, jaką wywoływała w nim myśl o połączeniu się ze swymi zmarłymi przodkami, nasunęła mu pomysł, że mogą odczuwać to samo względem niego i – co ważniejsze – będą w stanie coś zrobić, by odwlec połączenie pokoleń.

Możliwe też, że był to kolejny z dziwnych i nagłych pomysłów, wyskakujących czasem z mrocznej strefy jego umysłu, którą z nie wyjaśnionych przyczyn zablokował i uczynił dla siebie niedostępną, nim został prezydentem Galaktyki.

– Chcesz... rozmawiać... ze... swym... pradziadem? – wydukał Ford.

– Oczywiście.

– Właśnie teraz?

Statek w dalszym ciągu dygotał i dudnił. Robiło się coraz goręcej. Światło szarzało – wszelka energia, której komputer nie potrzebował do zastanawiania się nad herbatą, była wtłaczana do gwałtownie słabnącego ochronnego pola siłowego.

– Oczywiście! – upierał się Zaphod. – Wiesz, Ford, myślę, że pradziadek byłby w stanie nam pomóc.

– Jesteś pewien, że naprawdę myślisz? Dobieraj słowa z rozwagą!

– Zaproponuj coś lepszego.

– Eee, no...

– Świetnie! Siadamy wokół centralnej konsoli! Szybciej! Trillian, małpoludek, ruszać się!

Zupełnie zdezorientowani usiedli ciasno i choć czuli się jak idioci, złapali się za ręce. Zaphod zgasił światło.

Statek ogarnęły ciemności.

Na zewnątrz w dalszym ciągu z podobnym do nieprzerwanego grzmotu dudnieniem ostatecznobójcze armaty wgrzyzały się w pole siłowe.

– Skoncentrujcie się na jego imieniu – syknął Zaphod.

– Jak ono brzmi? – zapytał Artur.

– Zaphod Beeblebrox Czwarty.

– Jak?

– Zaphod Beeblebrox Czwarty. Skoncentruj się!

– Czwarty?

– Tak. Ja jestem Zaphod Beeblebrox, moim ojcem był Zaphod Beeblebrox Drugi, moim dziadkiem Zaphod Beeblebrox Trzeci...

– Co?

– Zdarzył się pewien wypadek z prezerwatywą i maszyną czasu... skoncentrujcie się wreszcie!

– Trzy minuty – oznajmił Ford Prefect.

– Po co to robimy? – Artur nie poddawał się.

– Zamknij się – zaproponował Zaphod.

Trillian milczała. Cóż można było powiedzieć?

Jedynym światłem w centrali dowodzenia były dwa ledwie widoczne czerwonawe trójkąty – ignorując każdego i będąc ignorowanym przez wszystkich, w najdalszym kącie siedział zagłębiany w prywatnym, dość niewesołym własnym światku paranoidalny android Marvin.

Wokół znajdującej się na środku pomieszczenia konsoli cztery postacie próbowały w pełnej napięcia koncentracji wyprzeć ze świadomości okropne wstrząsy i odgłosy targających statkiem przeraźliwych detonacji.

Koncentrowali się.

Ciągle się koncentrowali.

Koncentrowali się coraz bardziej.

Sekundy mijały.

Zaphodowi pot zalewał czoła – najpierw z koncentracji, potem z rozczarowania, po chwili – z zakłopotania.

W końcu Beeblebrox wydał z siebie ryk wściekłości, wyrwał dłonie z rąk Trillian i Forda i huknął we włącznik światła.

– Już myślałem, że się nie doczekam – rozległ się jakiś głos. – Nie, nie, za jasno, moje oczy nie są już jak niegdyś...

Cała czwórka gwałtownie się wyprostowała w fotelach. Powoli obrócili głowami, choć mięśnie niczyjej szyi nie zdradzały ochoty, by się poruszyć.

– A więc słucham. Kto niepokoi mnie o tej porze? – zadała pytanie mała, zgarbiona, wychudzona postać stojąca wśród paproci na drugim końcu centrali dowodzenia. Porośnięte

rzadkim włosom dwie główki wyglądały tak staro, że nasuwały myśl, czy nie tułają się w nich blade wspomnienia z okresu powstawania Galaktyki. Jedna głowa zwisała pogrążona we śnie, druga ogarniała obecnych przenikliwym spojrzeniem. Jeśli oczy rzeczywiście nie były takie, jak niegdyś, to dawniej pewnie mogły przewiercić diament.

Zaphod zaczął się nerwowo jąkać, zaraz jednak wykonał skomplikowane podwójne skinienie głowami, będące tradycyjnym betelgeusańskim wyrazem szacunku wobec członka rodziny.

– Ooo.. eee... cześć, pradiadku – wydusił z siebie.

Staruszek podszedł bliżej. Usiłował przebić wzrokiem mętłą poświatę. Wyciągnął kościsty palec w stronę prawnika.

– Aha – parsknął. – Zaphod Beeblebrox! Ostatni z naszego wielkiego rodu. Zaphod Beeblebrox Zerowy.

– Pierwszy.

– Zerowy – fuknęła postać.

Zaphod zawsze nienawidził głosu pradiada. Od dzieciństwa ten skrzek działał na niego, jakby drapano pazurami po tym, co lubił określać mianem swej duszy.

Pradiadek wyciągał palec, Zaphod zakłopotany wiercił się na krześle.

– Eee... no tak... – mamrotał – eee, wiesz, naprawdę mi przykro... chciałem ci wysłać kwiaty, ale wiesz, jak bywa, właśnie sprzedano ostatni wieniec i...

– Zapomniałeś! – huknął z wyrzutem Zaphod Beeblebrox Czwarty.

– Właściwie to...

– Nadmiar zajęć. Żadnej pamięci o bliskich. Wszyscy żyjący są tacy sami...

– Dwie minuty, Zaphod – wyszeptał pokornie Ford.

Zaphod wiercił się nerwowo.

– Naprawdę chciałem ci przysłać bukiet – mówił – i napiszę do prababci... natychmiast, gdy się stąd wydostaniemy...

– Do prababci... – mruknął pod nosem wychudzony starowinka.

– Oczywiście – ciągnął Zaphod. – Eee, co u niej? Wiesz, niedługo wpadnę ją odwiedzić, przedtem musimy tylko...

– U twojej zmarłej prababci i u mnie wszystko jest w najlepszym porządku – wyskrzecztał Zaphod Beeblebrox Czwarty.

– Ach! Ooo...

– Jesteśmy tobą bardzo zdegustowani, młody człowieku.

– Hm, no tak... – Zaphod czuł dziwną niemożność przechwycenia inicjatywy. W półmroku widział kredowobiałe, skamieniałe twarze Trillian i Artura. W dodatku ciężki oddech Forda przy uchu wyraźnie sugerował, jak szybko mijają sekundy. Hałas i wstrząsy osiągnęły przerażające nasilenie.

– Eee, pradiadku...

– Czy wiesz o tym – przerwała zjawą, patrząc Zaphodowi surowo w oczy – że Betelgeuse Pięć ma nieznaczne odchylenie trajektorii?

Zaphod nie wiedział, jednak przy panującym wokół hałasie, w obliczu zbliżającej się śmierci i tak dalej trudno było mu się na tym skoncentrować.

– Eee... nie... ale...

– A ja przewracam się w grobie! – warknął przodek. Z hukiem postawił filiżankę i wystawił drżący, cienki jak szczapka i przezroczysty palec w stronę Zaphoda. – To twoja wina!

– Minuta trzydzieści – wymamrotał Ford, kryjąc twarz w dłoniach.

– Zgoda, pradziadku, może mógłbyś nam jednak pomóc, inaczej...

– Pomóc?! – zawołał staruszek, jakby żądano od niego gronostaja.

– Tak, pomóc i, jeśli to możliwe, natychmiast, bo w przeciwnym wypadku...

– Pomóc?! – powtórzył staruszek, jakby zażądano od niego mało wypieczonego gronostaja w bułce i z frytkami. Był bezgranicznie zdumiony. – Szwendasz się po Galaktyce z tymi... – machnął pogardliwie ręką – ...podejzranego autoramentu osobnikami, zbyt jesteś zajęty, by położyć na moim grobie kwiaty, wystarczyłyby plastikowe, pasowałyby do ciebie, ale nie... Nadmiar zajęć. Nadmiar nowoczesności. Nadmiar sceptycyzmu. Wystarczy jednak, byś popadł w drobne kłopoty, a natychmiast przyłazisz, udając zagorzałego zwolennika okultyzmu.

Pokręcił głową – ostrożnie, by nie obudzić drugiej, która powoli zaczynała się niepokoić.

– Nie wiem, Zaphodku... – ciągnął – muszę się nad tym zastanowić...

– Minuta dziesięć – głucho stwierdził Ford. Zaphod Beeblebrox Czwarty zlustrował go z zaciekawieniem.

– Dlaczego ten człowiek ciągle gada liczbami?

– Te liczby określają, ile nam zostało do śmierci – stwierdził Zaphod.

– Aha. – Pradziad mamrotał coś pod nosem. – Mnie to oczywiście nie dotyczy... – Ruszył w poszukiwaniu kolejnych ciemnych zakątków centrali dowodzenia, gdzie mógłby znaleźć coś, na co dałoby się pokręcić nosem.

Zaphod miał wrażenie, że stoi na krawędzi szaleństwa i zastanawiał się dość poważnie, czy po prostu nie rzucić się w dół i mieć to raz na zawsze z głowy.

– Nas dotyczy, pradziadku! – spróbował znowu. – Jeszcze żyjemy, choć jesteśmy na najlepszej drodze, by umrzeć!

– Też dobrze.

– Co?

– Komu może się przydać twoje życie? Kiedy widzę, co z nim zrobiłeś, przychodzi mi chęć zacząć mówić na ciebie „Marnotrawiusz”.

– Człowieku, przecież byłem prezydentem Galaktyki!

– Jojoj! To ma być robota dla Beeblebroxa?

– Moment! Samodzielnym prezydentem! Rozumiesz, facet? Całej Galaktyki!

– Zarozumiały drobny megawypierdek.

Zaphod oszołomiony załopotał powiekami.

– Czego się czepiasz, facet? Znaczą się, szanowny pradziadku...

Pokurczona maleńka postać podpełzła do prawnuka i dała mu karcącego klapsa w kolano. Zaphodowi przypomniało to, że rozmawia z duchem, nic bowiem nie poczuł.

– Obaj wiemy, co znaczy być prezydentem, Zaphodku. Ty, bo nim byłeś, a ja, bo nie żyję, co pozwala mi spojrzeć na różne sprawy z cudownego, pozbawionego popłochu dystansu. Mamy u nas na górze takie powiedzenie: „Cóż warci są życia wszeley żyjący?”

– Świetne – gorzko stwierdził Zaphod. – Znakomite. Głębokie. Właśnie teraz potrzebne mi są aforyzmy. Jak dziury w głowach.

– Pięćdziesiąt sekund – wycharczał Ford Prefect.

– Przy czym to byłem? – spytał Zaphod Beeblebrox Czwarty.

– Przy celebrowaniu mowy-trawy.

– No tak, faktycznie.

– Czy ten koleś rzeczywiście jest w stanie nam pomóc? – wymamrotał Ford Prefect Zaphodowi do ucha.

– Nikt inny nie może – odszepnął Zaphod.

Ford zrezygnowany skinął głową.

– Zaphodzie – właśnie mówił duch – zostałeś prezydentem Galaktyki z określonego powodu. Zapomniałeś?

– Czy moglibyśmy zająć się tym innym razem?

– Zapomniałeś? – upierał się duch.

– Oczywiście! Oczywiście, że zapomniałem! Musiałem. Przecież wiesz, że gdy dają tę robotę, to przeświełają człowiekowi łepetyny na wylot. Gdyby zobaczyli wszystkie spryciarskie pomysły, jakie zwykle mam, natychmiast znalazłbym się na ulicy, nie mając nic poza gigantyczną rentą, chmarą sekretarek, flotą statków kosmicznych i parą podejrzietych gardeł.

– Och! – Duch z zadowoleniem pokiwał głową. – A więc jednak pamiętasz! – Zastanowił się. – Niech ci będzie.

Hałas wokół ustał.

– Czterdzieści osiem sekund – oznajmił Ford. Znów spojrzął na zegarek i postukał w niego palcem. Uniósł głowę. – Nic nie hałasuje!

W twardym spojrzeniu ducha migotały psotne iskierki.

– Zwolniłem na chwilę czas – oznajmił pradziadek. – Ale tylko na chwilę. Nie zniósłbym, gdybyś nie zdążył mnie wysłuchać.

– Niedoczekanie! To ty mnie wysłuchasz, przezroczystry stary nietoperzu! – Zaphod wyskoczył z fotela. – Po pierwsze, dzięki za zatrzymanie czasu i tak dalej, świetnie,

cudownie, fantastycznie. Po drugie, nie zamierzam dziękować za kazanie, jasne? Nie wiem, cóż wspaniałego jest mi przeznaczone dokonać, ale podejrzewam, że mam nie wiedzieć. Wkurza mnie to, jasne? – Wziął głęboki wdech. – Moje stare ja znało moje przeznaczenie i przywiązywało wagę do jego realizacji. Świetnie, pięknie i pięśliwie, choć z jednym wyjątkiem – przywiązywało do tego tak wielką wagę, że zagłębiło się we własny mózg – mój mózg – i odizolowało regiony, które znały moje przeznaczenie i przywiązywały wagę do jego realizacji, ponieważ jeśli bym je znał i przywiązywał doń wagę, nie mógłbym niczego zdziałać. Nie byłbym w stanie kandydować i zostać prezydentem, nie byłbym w stanie ukraść tego statku, a to chyba w całym zamieszaniu dość istotne. Wcześniejsze ja unicestwiło się, dokonując ingerencji w mózg. Świetnie, jego decyzja. Nowe ja podejmuje własne decyzje i dziwny zbieg okoliczności sprawia, że jedną z nich jest rezygnacja z poznania Wielkiej Sprawy i nieprzywiązywanie do niej wagi. Stare ja samo tego chciało, no więc ma. – Wziął kolejny wdech. – Jedno tylko małe ale – stare ja próbowało zachować panowanie nad sytuacją, pozostawiając rozkazy w tej części mózgu, którą odizolowało. Nie chcę ich znać ani o nich słyszeć. Taką podjąłem decyzję. Nie zamierzam być niczyją marionetką, zwłaszcza własną. Wściekły bębnił pięścią w konsolę, nie zwracając najmniejszej uwagi na pełne osłupienia spojrzenia słuchaczy.

– Moje stare ja nie żyje! – bredził. – Popęniło samobójstwo! Martwi nie powinni się szwendać między żywymi i próbować się między nich wmieszać!

– To dlatego wzywasz mnie, bym pomógł ci wybrnąć z opresji...? – zauważył duch.

– Hm... – Zaphod znów usiadł. – Przecież to zupełnie co innego, nie?

Wyszczrzył się mało przekonująco do Trillian.

– Zaphodzie – wyskrzeczła zjawa – jedynym powodem, dla którego marnuję oddech na rozmowę z tobą, jest chyba tylko to, że będąc martwym, nie mam dlań lepszego użytku.

– Pięknie – stwierdził Zaphod – dlaczego więc nie zdradzisz mi wielkiej tajemnicy? Poddaj mnie próbie!

– Zaphodzie, będąc prezydentem Galaktyki, wiedziałeś tak samo jak przed tobą Yooden Vranx, że prezydent jest niczym. Zerem. Gdzieś w cieniu stoi człowiek, istota lub przedmiot, posiadający najwyższą władzę. Tego człowieka, istotę lub przedmiot musisz odnaleźć – człowieka, który decyduje o losach naszej Galaktyki oraz, jak podejrzewamy, jeszcze paru innych. Być może całego wszechświata.

– Dlaczego?

– Dlaczego?! – Duch zbaraniał. – Dlaczego? Rozejrzyj się, chłopcze. Czy to, co cię otacza, sprawia wrażenie, że znajduje się w dobrych rękach?

– Wszystko gra.

Stary popatrzył ponuro.

– Nie zamierzam się z tobą spierać. Zaprowadzisz ten statek o napędzie nieprawdopodobieństwa tam, gdzie jest potrzebny. Zrobisz to i od razu wybij sobie z głowy,

że może ci się udać uniknąć przeznaczenia. Pole nieprawdopodobieństwa panuje nad tobą, jesteś w jego władaniu. A to co?

Wstał i stuknął w jeden z terminali Eddiego, komputera pokładowego. Zaphod wyjaśnił, kto zacz.

– Co on robi?

– Próbuje zrobić herbatę – odpowiedział rewelacyjnie opanowany Zaphod.

– Świetnie – skwitował pradiadek. – Pochwalam. Wracając do tematu – pogroził Zaphodowi palcem – nie wiem, czy zdołasz wykonać zadanie, obawiam się jednak, że nie uda ci się od niego wykręcić. Cóż, jestem zbyt długo martwy i zbyt zmęczony, by mnie to obchodziło jak dawniej. Pomagam ci w zasadzie wyłącznie dlatego, że nie potrafię znieść myśli, że mógłbyś pałętać się u nas na górze ze swoimi nowoczesnymi przyjaciółmi. Rozumiemy się?

– Tak, wielkie dzięki.

– Zaphod, wiesz jeszcze co?

– Eee, tak?

– Jeśli kiedykolwiek znów będziesz potrzebował pomocy, rozumiesz, jeśli będziesz tkwił po uszy w kłopotach i niezbędna będzie ci pomocna dłoń...

– Tak?

– ...to giń bez wahania.

W tym samym momencie z zaszuszonych dłoni starego ducha wystrzeliła w stronę komputera wiązka światła, zjawa znikła, centrala dowodzenia wypełniła się kłębam dymu, a „Serce ze Złota” skoczyło nie wiadomo jak daleko przez czas i przestrzeń.

Rozdział 4

Dziesięć lat świetlnych dalej Gag Halfbrunt unosił kąciki ust o kolejne kilka kresek. Na ekranie monitora miał przekazywany na falach sub-eta obraz z centrali dowodzenia statku Vagonów – widział, jak rwą się na strzepy resztki pola ochronnego „Serca ze Złota”, a statek znika, pozostawiając po sobie obłoczek dymu. „Wspaniale – uznał. – To koniec.”

Miał na myśli koniec ostatnich, przypadkiem ocalałych mieszkańców Ziemi, którą kazał zniszczyć. Bezpowrotny koniec niebezpiecznego (dla psychiatrii) i podstępnego (także dla psychiatrii) eksperymentu, mającego odpowiedzieć na pytanie, jak brzmi ostateczne pytanie o życie, wszechświat i całą resztę.

Myślał też o tym, że wieczorem odbędzie się skromne przyjęcie w gronie kolegów psychiatrów, a jutro zaczną od rana przyjmować swych nieszczęśliwych, skołowanych do cna, świetnie płacących pacjentów bez obaw, że ktoś kiedyś odkryje sens życia.

– Spotkania rodzinne są zawsze żenujące, nie? – rzucił Ford do Zaphoda, gdy dym się przerzedził. Nagle przerwał w pół słowa, spojrzał wokół. – Gdzie jest Zaphod?

Artur i Trillian rozglądali się jak tępaki. Byli bladzi, mąciło im się w głowach i tym bardziej nie wiedzieli, gdzie jest Zaphod.

– Marvin! Gdzie jest Zaphod?! – wrzeszczał Ford.

Chwilę później zapytał:

– Gdzie jest Marvin?

Kąt, w którym zwykle przebywał robot, był pusty.

Na pokładzie panowała kompletna cisza. Statek wisiał prawie nieruchomo w atramentowoczarnej przestrzeni, jedynie od czasu do czasu lekko podskakiwał i bujał się na boki jak na drobnej fali. Żaden wskaźnik nie działał, każdy monitor był ciemny. Zdekompletowana załoga spytała komputer, co jest grane.

– Bardzo mi przykro – odparł Eddie – ale obecnie mam wyłączoną wymianę informacji. Proponuję nieco lekkiej i przyjemnej muzyki.

Wyłączyli lekką i przyjemną muzykę.

Z rosnącym niepokojem i trwogą przeszukali każdy kąt statku. Każdy przyrząd był martwy, panowała głucha cisza. Nigdzie nie odkryli Zaphoda ani Marvina.

Jednym z ostatnich miejsc, gdzie zajrzeli, była wnęka, w której stał żywnościomat.

W okienku syntetyzatora znajdowała się tacka, a na niej stały trzy filigranowe filiżanki z chińskiej porcelany, oczywiście na spodeczkach, porcelanowy dzbanuszek z mlekiem i srebrny imbryk pełen najlepszej herbaty, jaką Artur pił w życiu. Obok leżała kartka. Napis na niej brzmiał: PODAWAĆ.

Rozdział 5

Druga planeta drugiej gwiazdy Małej Niedźwiedzicy, zwana tak jak jej słońce Kochab, to – jak twierdzą niektórzy – jedno z najbardziej przerażających miejsc w znanym wszechświecie.

Choć jest nieznośnie bogata, przerażająco słoneczna i znajdziesz na niej więcej cudownie ekscytujących ludzi niż ziarenek w korcu maku, trudno pominąć na przykład fakt, że kiedy w jednym z ostatnich wydań magazynu „Zabawne życie” opublikowano artykuł pod tytułem *Jeśli znudził ci się Kochab, znudziło ci się życie*, natychmiast czterokrotnie wzrósł odsetek samobójstw. Poeta powiedziałby, że nagle zapadła noc, co nie znaczy, że na Kochabie zapadają noce.

Kochab znajduje się na zachodnich rubieżach wszechświata i z powodu nie wyjaśnionego i co nieco podejrzanego wybryku procesów planetotwórczych składa się prawie wyłącznie z subtropikalnych wybrzeży. Z powodu podobnie podejrzanego wybryku relatywności czasowej jest tu prawie zawsze sobota po południu, tuż przed zamknięciem barów na plaży.

Dominującym na Kochabie bioformom nie udało się rzucić światła na naturę tych zjawisk, przez większość bowiem czasu próbują osiągnąć nirwanę, biegając wokół basenów oraz łapiąc asystentów badawczych Galaktycznej Geograficzno-Czasowej Komisji Kontrolnej, by zaprosić ich do „przeżycia uroczej anomalii czasowej”.

Na Kochabie istnieje tylko jedno miasto, choć teren nazwano miastem tylko dlatego, że jest tu nieco większe zagęszczenie basenów niż gdzie indziej.

Zbliżając się do Miasta Światła drogą powietrzną – a nie ma innej możliwości; brak tu dróg, nie ma śladu portu (poza tym, jeśli nie przylatujesz, Miasto Światła nie życzy sobie ciebie jako gościa) – rozumie się od razu, dlaczego wybrano nazwę „Miasto Światła”. Słońce świeci tutaj najjaśniej, migocze najjaskrawiej w wodzie basenów, skrzy się najpełniej na białych, obsadzonych palmami bulwarach, ślizga najładziej po zdrowych, opalonych na brąz punkcikach, spacerujących to tu, to tam, i praży najgoręcej na wille, zadymione pasy startowe, plażowe bary i tym podobne rzeczy.

Ze szczególnym pietyzmem słońce świeci na pewną budowlę, wysoką, piękną budowlę, składającą się z dwóch trzydziestopiętrowych wieżowców, połączonych w połowie wysokości pomostem.

Budowla jest siedzibą wydawnictwa książki i została sfinansowana z odszkodowań otrzymanych po wygraniu niezwyklego sporu o prawa autorskie między wydawcami książki a firmą produkującą płatki owsiane.

Książka ta to podręcznik. Przewodnik.

Jest to najbardziej godna uwagi i najlepiej sprzedająca się książka, jaką kiedykolwiek opublikowały wielkie wydawnictwa z Małej Niedźwiedzicy. Cieszy się większą popularnością niż *Życie zaczyna się po pięćsetpięćdziesiątce*, sprzedaje lepiej niż *Teoria Wielkiego Wybuchu* – pogląd własny Ekscentrycy Gallumbits (trzydziestąsiątej nierządniczy z Erotikonu Sześć) i jest bardziej kontrowersyjna od ostatniego superbestselleru Oolona Colluphidsa *Wszystko, czego nigdy nie chcieliście wiedzieć o seksie, ale zostaliście zmuszeni, by się dowiedzieć*.

(W wielu żyjących na większym luzie cywilizacjach zewnętrznego wschodniego krańca Galaktyki poradnik ten dawno zastąpił wielką *Encyklopaedia Galactica*, stając się standardowym kompendium wszelkiej wiedzy i mądrości. Choć zawiera wiele luk, a także mnóstwo zwyczajnych zmyśleń lub co najmniej szalonych niedokładności, ma nad tamtym starszym i znacznie rozwleklejszym dziełem dwie istotne przewagi. Po pierwsze, jest nieco tańszy, po drugie, dużymi przyjaznymi literami wydrukowano na jego okładce: NIE PANIKUJ.)

Chodzi tu oczywiście o nieocenionego towarzysza wszystkich, którzy chcą podziwiać cuda wszechświata za mniej niż trzydzieści altairzańskich dolarów dziennie – o przewodnik *Autostopem przez Galaktykę*.

Jeśli staniesz przed budowlą, w której mieści się wydawnictwo, odwrócony plecami do głównego wejścia (zakładając, że już wylądowałaś i zdążyłaś się odświeżyć skokiem na główkę do basenu i prysznicem) i ruszysz na wschód, znajdziesz się na zacienionym Bulwarze Życia i z pewnością zaskoczy cię bladezłoty odcień piasku na rozpościerających się przed tobą plażach, zadziwią amatorzy surfingu umysłowego, którzy beztrudno szybują pół metra nad falami, jakby nie było to nic wielkiego, w końcu zaskoczą cię, czy nawet nieco zirytują wielkie palmy, przez cały dzień – czyli ciągle – nuące same do siebie niemelodyjne błahostki.

Dochodząc do końca Bulwaru Życia, wkroczysz do dzielnicy Lalamatine, pełnej sklepów, orzechowców bolo i ulicznych kafejek, gdzie Kochabianie przychodzą, by odpocząć po godzinach ciężkiego popołudniowego odpoczynku na plaży.

Dzielnica Lalamatine jest jedną z niewielu okolic, gdzie nie panuje wieczna sobota po południu – zamiast tego panuje tu chłód wiecznego wczesnego niedzielnego wieczoru. Za Lalamatine zaczynają się nocne kluby.

Gdybyś owego szczególnego dnia, popołudnia, nieprzerwanego wieczoru – niech każdy nazwie to, jak sobie życzy – zbliżył się do drugiej kafejki po prawej stronie, ujrzałbyś zwykłe kłębownisko Kochabian, którzy plotkują, piją, sprawiają wrażenie bardzo wypoczętych i od czasu do czasu spoglądają na zegarek, by zobaczyć, jak drogą rzecz kupili.

Ujrzałbyś także dwóch dość obdartych autostopowiczów, którzy przybyli właśnie z Algolu na pokładzie arkturiańskiego megafrachtowca, gdzie musieli radzić sobie przez ostatnie kilka dni. Wściekli i zakłopotani stwierdzili, że wszędzie, skąd widać budynek *Autostopem*, szklanka zwykłego soku owocowego kosztuje równowartość ponad sześćdziesięciu altairiańskich dolarów.

– Dumpingowa cena – gorzko stwierdził jeden z nich. Gdybyś w tej samej chwili spojrzął w kierunku jednego z dalszych stolików, ujrzałbyś Zaphoda Beeblebroxa, gapiącego się na otoczenie z przerażeniem i chaosem w głowach. Miał prawo zgłupieć, gdyż jeszcze przed pięcioma sekundami siedział w centrali dowodzenia „Serca ze Złota”.

– Absolutnie dumpingowa cena – powtórzył ten sam głos co przedtem.

Zaphod kątem oka rzucał nerwowe spojrzenia na obu niedomytych włóczęgów przy stoliku obok.

„Do diabła, gdzie ja jestem? Jak tu się dostałem? Gdzie mój statek?” – Chwycił poręcz krzesła, na którym siedział, potem stojący przed nim stół. I jedno, i drugie było dość masywne.

– Jak można pisać przewodnik dla autostopowiczów w takim miejscu? – ciągnął głos. – Popatrz na to wszystko! No sam popatrz!

Zaphod patrzył.

„Ładnie tu – pomyślał – ale gdzie ja jestem? I dlaczego?”

Wygrzebał z kieszeni dwie pary okularów przeciwsłonecznych. Wyjmując je, wyczuł w kieszeni twardą, gładką, nie znaną mu, bardzo ciężką bryłkę metalu. Wyjął ją i zaczął oglądać. Zamrugał zaskoczony. Nie miał pojęcia, skąd się wzięła. Schował bryłkę z powrotem do kieszeni i założył okulary, stwierdzając ze złością, że metal podrapał jedno ze szkielek. Mimo wszystko w okularach czuł się znacznie bezpieczniej. Miał komplet składający się z dwóch par typu Joo Janta 200, superchromatoniebezpieczeństvosensytywnych, skonstruowanych jako pomoc do nauki bycia na luzie w obliczu niebezpieczeństwa. Przy pierwszym zwiastunie zagrożenia szkła robią się absolutnie czarne i nie pozwalają widzieć niczego, co mogłoby właściciela zaniepokoić.

Pomijając zadrapanie, szkła były w tej chwili przezroczyste. Zaphod rozluźnił się, jednak tylko tyci, tyci.

Wściekły autostopowicz dalej wpatrywał się w swój niesamowicie drogi sok i pomstował:

– Najgorsze, co zdarzyło się *Autostopem* w efekcie przeprowadzki na Kochaba, polega na tym, że wszyscy ich ludzie zrobili się jak ciepłe kluchy. Słyszałem nawet, że w którymś z biur stworzyli sztuczny, elektroniczny wszechświat, dzięki czemu mogą normalnie prowadzić

badania, a wieczorami chodzić na przyjęcia. Pomijając, że dzień czy noc nie robi tu wielkiej różnicy...

„Kochab” – pomyślał Zaphod. Przynajmniej wiedział, gdzie jest. Zakładał, że pobyt tutaj zawdzięcza pradziadkowi, ale dlaczego?

Wielce się zmartwił, wpadła mu bowiem do głowy pewna myśl. Była bardzo jasna i bardzo jednoznaczna – umiał już rozpoznawać, czym takie myśli grożą. Instynkt kazał mu się bronić przed nimi, były to bowiem zaprogramowane idee z mrocznych i odizolowanych części jego mózgow.

Siedział bez ruchu i z całej siły próbował zignorować myśl, była jednak bardzo namolna. Dalej ją ignorował. Dalej się naprzykrzała. Jeszcze raz ją zignorował. Naprzykrzała się dalej. Dał za wygraną.

„A niech tam – pomyślał – płyn Zaphod z prądem”.

Był zbyt zmęczony, skołowany i głodny, by się opierać. Nie wiedział nawet, jakie treści niosła narzucająca się myśl.

Rozdział 6

– Słucham? Tak? Oficyna wydawnicza Megdodo, siedziba *Autostopem przez Galaktykę*, absolutnie najbardziej godnej uwagi książki w całym znanym wszechświecie. W czym mogę pomóc? – mówił wielki różowoskrzydły owad do słuchawki jednego z siedemdziesięciu telefonów, ustawionych szeregiem na olbrzymim chromowanym blacie recepcji w foyer biura *Autostopem*. Zatrzepotał skrzydłami i przewrócił oczami. Starał się przygwoździć wzrokiem zgraję niedomytych typków, którzy robili bałagan, brudzili dywany i zostawiali ślady usmolonych łap na obiciach mebli. Był zachwycony pracą dla *Autostopem*, ale marzył, by ktoś wynalazł sposób na trzymanie autostopowiczów z dala od jego biurka. „Nie powinni właściwie tkwić na brudnych kosmodromach albo w podobnych miejscach?” – myślał. Pamiętał, że czytał gdzieś o znaczeniu tkwienia na brudnych kosmodromach. Niestety, wszystko wskazywało na to, że większość autostopowiczów tkwi w jego miłym, czystym i wypolerowanym foyer, i to zaraz po zakończeniu tkwienia na szczególnie brudnych kosmodromach. W dodatku nic, tylko składają skargi. Zatrzepotał skrzydłami.

– Co? – powiedział do słuchawki. – Tak, przekazałem wiadomość panu Zarniwoopowi, ale obawiam się, że jest w tej chwili zbyt na luzie, by z panem rozmawiać. Odbywa podróż międzyplanetarną.

Owad, wyraźnie rozdrażniony, zaczął wymachiwać czułkiem w stronę jednego z niedomytych typków, którzy wściekle próbowali ściągnąć na siebie uwagę. Zirytowany czulek wskazał tabliczkę na ścianie, dając do zrozumienia, że nie wypada przerywać ważnych rozmów telefonicznych.

– Tak – mówił owad – jest w gabinecie, ale odbywa podróż międzyplanetarną. Dziękuję za telefon. – Huknął słuchawką o widełki. – Proszę przeczytać – zwrócił się do wściekłego typu, który próbował złożyć skargę z powodu zawartej w książce niedorzecznej i niebezpiecznej informacji, czy raczej dezinformacji.

Autostopem przez Galaktykę jest niezbędnym towarzyszem każdego, kto w nieskończenie skomplikowanym i męcącym w głowie wszechświecie próbuje nadać sens życiu. Aczkolwiek nie wolno ufać, że przewodnik może służyć pomocą lub choćby udzielić informacji w

każdym zakresie, to rości sobie budzące zaufanie pretensje, że tam, gdzie jest niedokładny, jest niedokładny jednoznacznie. W przypadkach poważniejszych niezgodności stroną, która się myli, jest zawsze rzeczywistość.

Taki był sens napisu na ścianie, który dosłownie brzmiał: PRZEWODNIK JEST OSTATECZNY. RZECZYWISTOŚĆ JEST CZĘSTO NIEPRECYZYJNA.

Hasło miało czasami ciekawe konsekwencje. I tak na przykład, gdy wydawcy *Autostopem* zostali oskarżeni przez rodziny ofiar zbyt dosłownego potraktowania artykułu o planecie Traal (napisano tam: „Żarłoczne żuki paplacze często robią dla odwiedzających planetę turystów bardzo smaczne jedzenie”, a powinno być: „Żarłoczne żuki paplacze często robią z odwiedzających turystów bardzo smaczne jedzenie”), redakcja wystąpiła z argumentem, że pierwsza wersja jest znacznie bardziej estetyczna, wezwała autoryzowanego poetę, który zeznał pod przysięgą, iż piękno to prawda, a prawda to piękno, i w ten sposób dowiedziono, że winne jest życie, gdyż zaniedbało obowiązku bycia albo pięknym, albo prawdziwym. Sędziowie zgodzili się z tą opinią i w płomiennej mowie wyłuszczyli, że życie dopuściło się obrazy Sądu, następnie zgodnie z przepisami zarekwirowali je wszystkim obecnym, na koniec się rozeszli, by spędzić miły wieczór przy partii ultragolfa.

Do foyer wkroczył Zaphod Beeblebrox. Wielkimi krokami skierował się w stronę owada-recepcjonisty.

– Dobra, gdzie jest Zarniwoop? – zaczął. – Dawaj Zarniwoopa!

– Słucham? – prychnął owad. Miał coś przeciwko zwracaniu się do niego w ten sposób.

– Zarniwoop. Sprowadź go, jasne? Duchem!

– Drogi panie... – z przekąsem odparła krucha istotka – czyż nie lepiej spojrzeć na wszystko nieco chłodniej?

– Słuchaj – przerwał mu Zaphod – mam dość ciągłego gadania o chłodzie, łapiesz? Jestem tak chłodny, że mógłbyś przechowywać we mnie mięso przez miesiąc. Jestem tak spokojny, że zaraz mogę zacząć się drzeć. Weź więc tylek w troki, nim zrobię zdrową chryję, zgoda?

– Proszę pozwolić sobie wyjaśnić, monsieur. – Owad stukał najbardziej zdenerwowanym ze swych czułek w blat przed sobą. – Bardzo mi przykro, lecz nie jest to w tej chwili możliwe, ponieważ pan Zarniwoop odbywa podróż międzyplanetarną.

„Niech to cholera” – pomyślał Zaphod.

– A kiedy wróci? – zapytał.

– Wróci, monsieur? Jest w swym gabinecie. Zaphod milczał, próbując zaakceptować ten ekstrawagancki pomysł, co mu się nie udało.

– Facet jest na wycieczce... międzyplanetarnej... w swoim gabinecie? – sięgnął przez kontuar i złapał za stukający czulek. – Słuchaj no, trzyoki, tylko nie próbuj strugać dziwaka. W płatkach owsianych, które jadam na śniadanie, znajduję bardziej niezwykle rzeczy od ciebie, i to za darmo.

– Popatrz, popatrz, a kto ty, przepraszam, jesteś, mój panie? – zachnął się owad, podrygując wściekle skrzydłami. – Zaphod Beeblebrox czy co?

– Policz głowy! – rzucił Zaphod. Głos nieco mu chrypiał.

Owad zamrugął. Potem zamrugął jeszcze raz.

– Zaphod Beeblebrox? – pisnął.

– Zgadłeś – odparł Zaphod – tylko się nie drzyj, bo zaraz każdy będzie chciał mieć jedną z nich.

– Ten sławny Zaphod Beeblebrox?

– Nie, jeden z tych mniej znanych. Nie wiesz, że zawsze podróżuję w sześciu paczkach?

Owad w podnieceniu klekotał czułkami.

– Ależ, monsieur – zapiszczał – właśnie słuchałem na falach sub-eta reportażu... mówili, że pan nie żyje...

– Bo tak jest – przerwał Zaphod – po prostu jeszcze nie przestałem się ruszać. Dobra, gdzie znajdę Zarniwoopa?

– Szef ma gabinet na piętnastym piętrze, ale...

– Wiem, odbywa podróż międzyplanetarną. Jak mogę tam dotrzeć?

– Niedawno zamontowane pionowe transportery osobowe cybernetycznej korporacji Syriusza są w rogu, monsieur. Czy mogę...?

Zaphod właśnie ruszał do wind, łaskawie się jednak odwrócił.

– Tak?

– Czy mogę zapytać, dlaczego chce się pan widzieć z panem Zarniwoopem?

– Hm... – dla Zaphoda też było to niejasne. – Pomyślałem, że powinienem...

– Przepraszam, monsieur... co?

Zaphod z miną konspiratora przysunął się do owada.

– Właśnie zmaterializowałem się w kawiarni – szepnął – w wyniku kłótni z duchem mojego pradziadka. Ledwie się zjawiłem, natychmiast zameldowało się moje stare ja, znaczy to, które przeprogramowało mi mózgi, i nakazało: „Idź do Zarniwoopa”. Nigdy nie słyszałem o facecie. Nic więcej nie wiem. No, może jeszcze tyle, że muszę odnaleźć tego, kto rządzi wszechświatem.

Mrugnął porozumiewawczo.

– Panie Beeblebrox – odparł recepcjonista z pełnym zachwytem zdumieniem – ale z pana wariat... powinien pan zacząć występować w filmach...

– No tak – Zaphod przyjacielsko klepnął robala w błyszczące skrzydło – a ty, mały, powinieneś zacząć naprawdę żyć.

Owad potrzebował chwili, by się pozbierać i otrząsnąć z podniecenia. Kiedy się uspokoił, wyciągnął czulek, by podnieść słuchawkę dzwoniącego telefonu.

Przeszkodziła mu metalowa dłoń.

– Przepraszam – odezwał się właściciel dłoni głosem, który owada o wrażliwszej naturze doprowadziłby do wybuchu płaczu.

Ten nie należał do wrażliwych, w dodatku nie cierpiał robotów.

– Słucham... pana? – burknął. – Mogę w czymś... pomóc?

– Wątpię – stwierdził Marvin.

– Proszę więc wybaczyć, ale... – Dzwoniło równocześnie sześć telefonów. Milion rzeczy czekało, by owad zwrócił na nie uwagę.

– Nikt nie jest w stanie mi pomóc... – jęknął Marvin.

– Oczywiście, proszę pana, choć...

– Nikt oczywiście nawet nie próbuje. – Tak przed chwilą zdecydowana metalowa ręka zwisała oklapnięta wzdłuż ciała Marvina. Robot zwiesił ociupinkę głowę.

– Naprawdę? – zapytał, udając grzeczność, owad.

– Nikt się przecież nie będzie wysiłał, by pomóc popychadle, nie?

– Przykro mi, proszę pana, ale jeśli...

– Komu by się opłacało okazywać serce albo pomagać robotowi, który nie ma wbudowanych obwodów wdzięczności...?

– Nie ma ich pan? – Owad nie wiedział, jak wyplątać się z dysputy.

– Nigdy nie nadarzyła się okazja, by to sprawdzić – oświadczył Marvin.

– Słuchaj, ty nędzna kupo źle skręconego żelastwa...

– Nie zapytasz, czego sobie życzę?

Owad się zawahał. Wystrzelił swój długi, cienki język, polizał się po oczach i schował język z powrotem.

– A warto?

– A co w ogóle warto? – odparował Marvin.

– Czego... pan... sobie... życzy...?

– Szukam kogoś.

– Kogo?

– Zaphoda Beeblebroxa – rzucił Marvin. – Stoi tam.

Owad zadrżał z wściekłości. Zatkano go.

– Dlaczego więc mnie pytales?!

– Chciałem sobie z kimś pogadać – odparł Marvin.

– Co?

– Rozrzewniające, nie?

Marvin z chrzęstem w trybach odwrócił się i potoczył w dal. Dogonił podchodzącego do wind Zaphoda.

– Co to...? Marvin?... Marvin! Jak się tu znalazłeś? Marvin był zmuszony powiedzieć coś, co zawsze przychodziło mu z trudem.

– Nie wiem.

– Ale...

– Siedziałem sobie w pańskim statku potwornie załamany i nagle znalazłem się tu, czując się tak nędznie, jak dawno mi się już nie zdarzało. Przypuszczam, że to sprawka pola nieprawdopodobieństwa.

– Hm, pewnie przysłał cię mój dziadek, byś dotrzymywał mi towarzystwa. Serdeczne dzięki, dziadziu – dodał Zaphod cicho pod nosem. – No i jak? – zapytał głośno.

– Doskonale – odparł Marvin – znaczy się, tak uznałby ten, komu sprawiałoby przyjemność być mną, bo mnie osobiście to nie bardzo...

– Tak, tak – mruknął Zaphod. W tym momencie otworzyły się drzwi windy.

– Cześć! – przymilnie zaszczebiotała winda. – W trakcie jazdy do wybranego przez was piętra będę waszą windą. Zostałam skonstruowana przez cybernetyczną korporację Syriusza po to, by zawieźć was – gości wydawnictwa *Autostopem przez Galaktykę* – do biur. Jeśli podróż się wam spodoba, a na pewno będzie szybka i przyjemna, zechcecie może skorzystać z usług wind, zainstalowanych niedawno w biurówcach galaktycznego urzędu skarbowego, firmie „Bubilu, odżywki dla bobasów” i państwowym domu wariatów na Syriuszu, gdzie znajduje się wielu byłych pracowników cybernetycznej korporacji Syriusza, którzy byliby zachwyceni waszą wizytą, współzuciem i radosnymi opowieściami o świecie za murami.

– Rewelacja! – burknął Zaphod i wszedł do windy. – Co jeszcze umiesz poza gadaniem?

– Jeżdżę do góry – odpowiedziała winda – albo w dół.

– Świetnie – ucieszył się Zaphod. – Jedziemy do góry.

– Albo na dół – przypomniała winda.

– Świetnie, proszę do góry.

Przez chwilę panowało milczenie.

– Na dole jest bardzo ładnie – oznajmiła winda z nadzieją w głosie.

– Naprawdę?

– Super-hiper.

– Świetnie! – Zaphod zaczynał się irytować. – Czy mogłabyś zawieźć nas teraz na górę?

– Pozwólcie, że zapytam – zagaiła znów winda przymilnym, pełnym zrozumienia tonem – czy rozpatrzyliście wszystkie korzyści płynące z ewentualnej podróży na dół?

Zaphod trzasnął jedną z głów w ścianę.

„Dziura w moście – przemknęło mu przez myśl – właśnie teraz potrzebne mi to jak dziura w moście”. Nie prosił, by go tu przenoszono. Zapytany, gdzie najchętniej by się teraz znalazł, prawdopodobnie odpowiedziałby – jak zwykle – że na plaży z przynajmniej pięćdziesięcioma pięknymi dziewczynami i skaczącą wokół ekipą ekspertów, wymyślających nowe sposoby umiłania mu przez dziewczyny życia. Prawdopodobnie dodałby coś pełnego emfazy o jedzeniu.

Jedną z wielu rzeczy, na którą nie miał zupełnej ochoty, była pogoń za człowiekiem rządzącym wszechświatem. W końcu facet robi to, co do niego należy. I dobrze, gdyby

bowiem nie on, robiłby to kto inny. Zaphod nie miał najmniejszej ochoty na tkwienie bez sensu w biurowcu i kłócenie się z windą.

– Jakże na przykład korzyści? – zapytał znudzony.

– No... – głos spływał jak miód na biszkopt – jest tam piwnica, są akta na mikrofilmach, ogrzewanie... i... – winda się zawahała. – Nieszczęśliwie to podniecające, ale zawsze coś – przyznała w końcu.

– Święty Zarkwonie – wymamrotał Zaphod – czy prosiłem o windę-egzystencjalistkę? – Zaczął walić pięścią w ścianę. – Co się dzieje z tym złodem?

– Nie chce jechać do góry – udzielił informacji Marvin. – Myślę, że się boi.

– Boi?! Czego? Może wysokości? Winda z lękiem wysokości?

– Nie – smutno wtrąciła winda – z lękiem przed przyszłością...

– Przed przyszłością?! – wykrzyknął Zaphod. – Czego chce ta kupa szmelcu? Gwarancji emerytury?

W tym momencie w holu za ich plecami coś zahurkotało. Ze wszystkich stron popłynęły odgłosy pracy nagle zaktywizowanych maszyn.

– My, windy, widzimy przyszłość – wyszeptała kabina tonem wyrażającym głębokie przerażenie. – To część naszego oprogramowania.

Zaphod wychylił głowy przez drzwi – tuż przed sobą zobaczył gestykujący i krzyczący tłumek. Wszystkie windy w budynku zjeżdżały bardzo szybko w dół. Zaphod schował się z powrotem do środka.

– Marvin! Zmusz to urządzenie, by ruszyło w górę. Musimy dostać się do Zarniwoopa.

– Dlaczego? – zapytał Marvin z troską.

– Nie wiem, ale jak go znajdę, lepiej dla niego będzie, jeśli poda bardzo dobry powód, dlaczego chcę z nim rozmawiać.

Nowoczesne windy to dziwne i skomplikowane indywidua. Staromodna elektryczna wciągarka z napisem **NOSNOŚĆ 8 OSÓB** ma się tak do radosnego pionowego transportera cybernetycznej korporacji Syriusza, jak garść dmuchanego ryżu do zachodniego skrzydła państwowego domu wariatów na Syriuszu.

Niezwykłość wind korporacji bierze się stąd, że działają na – trzeba przyznać osobliwej – zasadzie rozproszonego postrzegania czasowego, mają więc zdolność widzenia, choć niezbyt wyraźnego, bezpośredniej przyszłości. Umożliwia to windzie znalezienie się na odpowiednim piętrze, nim pasażer pomyśli, że chce z niej skorzystać. Zlikwidowało to męczące pogaduszki, wymuszone odprężanie się i zaprzyjaźnianie, do czego dawniej ludzie byli zmuszani, czekając na windę.

Co dość naturalne, wiele wyposażonych w inteligencję i zdolność przewidywania wind tak było sfrustrowanych mechanicznym poruszaniem się w górę i w dół, w dół i w górę, że – by wyrazić egzystencjalny protest – czasami poruszały się w bok, żądały prawa głosu przy

podejmowaniu decyzji o formach postępu społecznego, nawet obrażały się i chowały w piwnicy.

Współczesny autostopowicz bez grosza przy duszy, który wpada na chwilę na którąkolwiek z planet w systemie Syriusza, może łatwo zarobić dużo pieniędzy, zatrudniając się w poradni dla znerwicowanych wind.

Na piętnastym piętrze drzwi otworzyły się z pośpiechem.

– Piętnaste piętro... – wydyszała winda – i proszę nie zapominać, że zrobiłam to jedynie z sympatii do pańskiego robota...

Zaphod i Marvin wypadli z kabiny, która natychmiast trzasnęła drzwiami i pognała w dół.

Zaphod ostrożnie się rozejrzył. Korytarz był pusty i cichy, nie było najmniejszej wskazówki, gdzie można by znaleźć Zarniwoopa. Wszystkie drzwi były zamknięte i nie oznakowane.

Znajdowali się niedaleko łączącego wieżowce pomostu. Przez wielkie okno jaskrawe słońce słało do wnętrza ogromne ilości światła, w którym tańczyły drobiny pyłu. Bardzo szybko przemknął jakiś cień.

– No to zostaliśmy wystawieni do wiatru przez windę... – wymruczał Zaphod, któremu wcale nie było do śmiechu.

Stali i rozglądali się wokół.

– Masz jakieś pomysły? – spytał Marvina Zaphod.

– Więcej, niż pan sądzi.

– Dam głowę, że ten budynek nie powinien drżeć.

Przez fundamenty przeszło ledwie wyczuwalne drżenie, potem jeszcze jedno. Cząsteczki zatańczyły żywiej w promieniach słońca. Przemknął drugi cień.

Zaphod gapił się w podłogę.

– Albo mają jakiś system wibracyjny, który masuje ludziom w godzinach pracy mięśnie – powiedział bez wielkiego przekonania – albo...

Ruszył w stronę okna, zgubił jednak rytm, gdyż nagle szkła jego Joo Janta 200 superchromatoniebezpieczeństvosensytywnych okularów słonecznych zrobiły się czarne jak noc. Za oknem, przeraźliwie gwizdząc, przemknął wielki cień.

Zaphod zerwał obie pary okularów, w tym samym momencie budynek zatrzęsł się z ogłuszającym grzmotem. Jednym skokiem Beeblebrox znalazł się przy oknie

– ... albo – dokończył – bombardują budynek.

Przez wieżowiec przetoczył się kolejny grzmot.

– Któż w Galaktyce chciałby bombardować oficynę wydawniczą? – spytał Zaphod, nie usłyszał jednak odpowiedzi Marvina, gdyż budynek zadrżał pod kolejną porcją bomb. Zataczając się, Zaphod spróbował wycofać się do windy. Wiedział, że manewr jest bezsensowny, ale była to jedyna rzecz, jaka przyszła mu na myśl.

Nagle z bocznego korytarza wyskoczył jakiś człowiek. Patrzył w stronę Zaphoda.

– Beeblebrox, tutaj! – wrzasnął.

Zaphod obserwował go podejrzliwie. Kolejne wybuchy wstrząsały wieżowcem.

– Nie! – odkrzyknął. – Beeblebrox jest tutaj! Kim jesteś?

– Przyjacielem! – krzyknął nieznajomy. Biegł w stronę Zaphoda, choć podłoga pod jego stopami stawała dęba jak kołdra, pod którą ktoś nieźle wariował.

– Naprawdę? Przyjacielem kogoś konkretnego czy tak ogólnie kimś dobrze nastawionym do ludzi?

Przybysz stanął przy Zaphodzie. Był niski, krępy i ogorzały, jego ubranie wyglądało, jakby objechał w nim dwa razy tam i z powrotem Galaktykę.

– Wiesz, że bombardują ci dom? – ryknął mu do ucha Zaphod.

Facet dał do zrozumienia, że zauważył.

Wtem zapadła ciemność. Zaphod rzucił szybkie spojrzenie za okno, by sprawdzić dlaczego. Za oknem sunął olbrzymi talerzowaty statek kosmiczny. Był zgniłozielony – takim kolorem maluje się czołgi. Za pierwszym statkiem podążały dwa następne.

– Rząd, z którego zdezerterowałeś, wysłał po ciebie ludzi – wydyszał nieznajomy. – Przesłali eskadrę komandosów z żabiego desantu.

– Komandosów z żabiego desantu? – wymamrotał Zaphod. – Święty Zarkwonie!

– Doszło już do ciebie, co się dzieje?

– Co to jest żabi desant? – Zaphod był pewien, że coś o tym słyszał, kiedy był jeszcze prezydentem, ale nigdy przecież nie poświęcał wiele uwagi sprawom oficjalnym.

Facet przepchał go przez jakieś drzwi. Zaphod się nie opierał. Obok z przenikliwym wyciem przemknął mały, czarny, podobny do pająka przedmiot. Zniknął w głębi korytarza.

– Co to było? – wysyczał Zaphod przez zęby.

– Robot rozpoznawczy klasy A z żabiego desantu. Szuka ciebie – odpowiedział nieznajomy.

– Naprawdę?

– Padnij!

Z przeciwległego kierunku nadleciał większy, czarny, podobny do pająka przedmiot. Przemknął ze świstem.

– A to był...?

– Robot rozpoznawczy klasy B z żabiego desantu. Szuka ciebie.

– A to? – zapytał Zaphod, gdy przemknął trzeci.

– Robot rozpoznawczy klasy C. Szuka ciebie.

– He, he, he – zaśmiał się Zaphod pod nosem. – Strasznie głupie te roboty, co?

Z drugiego końca pomostu rozległ się potężny dudniący łoskot. Od przeciwległego wieżowca zbliżała się gigantyczna czarna masa o rozmiarach i kształcie czołgu.

– Święty Fotonie, a to co? – szepnął prawie niedosłyszalnie Zaphod.

– Czołg. Robot rozpoznawczy klasy D z żabiego desantu. Przyszedł po ciebie.

- Nie powinniśmy wiać?
- Myślę, że tak.
- Marvin! – krzyknął Zaphod.
- Czego pan sobie życzy?

Marvin wstał ze znajdującej się nie opodal kupy śmieci.

- Widzisz robota, który się do nas zbliża?

Marvin spojrzał na gigantyczną czarną masę, która powoli sunęła przez pomost. Spojrzał na własny skromny korpus. Znow spojrzał na czołg.

- Podejrzewam, że chciałby pan, bym go zatrzymał?
- Zgadza się.
- A wy uratujecie tyłki?
- Jak najbardziej – zgodził się Zaphod. – Do roboty!
- Zakładając, że wiem jak...

Nieznajomy pociągnął Zaphoda za ramię i ruszyli korytarzem.

Zaphodowi wpadło do głowy pewne pytanie.

- Dokąd idziemy?
- Do gabinetu Zarniwoopa.
- Mamy czas na towarzyskie spotkanie?
- Ruszaj się!

Rozdział 7

Marvin stał na końcu wychodzącego na pomost korytarza. Jego srebrny korpus błyszczał w pełnych pyłu promieniach słońca i drżał zgodnie z drżeniem poddawanego ciąglemu ostrzałowi budynku. Właściwie nie był wcale marnym robotem, jednak wydał się okrutnie mały, gdy przed nim zatrzymał się z chrzęstem olbrzymi czarny czołg i wysunął sondę, by zbadać przeciwnika. Po chwili sonda się schowała.

Marvin dalej stał w miejscu.

– Z drogi, robociku – mruknął czołg.

– Obawiam się, że postawiono mnie tu, bym cię zatrzymał – odparł Marvin.

Sonda ponownie się wysunęła w celu przeprowadzenia szybkiego badania. Zrobiła swoje i znów się schowała.

– Ty! Zatrzymać mnie?! – ryknął czołg. – Daj spokój!

– Naprawdę.

– Jakie masz uzbrojenie?! – ryknął czołg z niewiarą.

– Zgadnij.

Podzespoły gigantycznej maszyny bojowej załomotały, zazgrzytały koła zębate. Głęboko w jej mikromózgu przez zredukowane do wielkości molekuł obwody scalone z konsternacją zaczęły w tę i z powrotem latać impulsy.

– Mam zgadnąć? – zapytał czołg.

Zaphod i – jak na razie – anonimowy człowiek zataczając się, zeszedli jakimś korytarzem, weszli drugim i przeszli trzecim. Budynek ciągle bujał się i podrygiwał.

„Jeśli chcą wysadzić gmach, dlaczego trwa to tak długo?” – zastanawiał się Zaphod.

Z wysiłkiem dotarli do jednych z wielu nie oznakowanych drzwi i zaparli się, by je otworzyć. Nagle im się udało i wpadli do środka.

„Tyle zachodu z podróżą, tyle poświęceń, tyle straconych dni, w czasie których można by wylegiwać się na plaży i świetnie się bawić, i po co to wszystko? By znaleźć pusty gabinet,

którego jedynym wystrojem jest krzesło i biurko, na którym stoi brudna popielniczka?” – przeszło Zaphodowi przez myśl.

Biurko – pomijając odrobinę unoszącego się nad nim kurzu, i jeden, choć zaprojektowany w rewolucyjny sposób spinacz biurowy – było w dodatku puste.

– Gdzie jest Zarniwoop? – spytał Zaphod. Czuł, że traci do końca – i tak już słabe – poczucie sensu całej tej zabawy.

– Odbywa podróż międzyplanetarną – rzekł nieznajomy.

Zaphod spróbował rozgryźć faceta.

„Poważny – myślał – nie jakiś tam wesołek. Prawdopodobnie większość czasu spędza na bieganiu po trzęsących się korytarzach, wyważaniu drzwi i rzucaniu tajemniczych uwag w pustych biurach”.

– Czy mogę się przedstawić? – zapytał nieznajomy. – Nazywam się Roosta, a to mój ręcznik.

– Cześć, Roosta! – pozdrowił Zaphod. – Cześć, ręcznik! – dodał po tym, gdy Roosta podstawił mu pod nos obrzydliwy, stary ręcznik w kwiaty. Zaphod nie wiedział, jak się zachować, na wszelki więc wypadek uściśnął ręcznikowi róg.

Za oknem bucząc, przemknął kolejny talerzowaty statek w kolorze wojskowej zieleni.

* * *

– Oczywiście, zaczynaj – mówił Marvin do olbrzymiej maszyny bojowej. – Nigdy ci się nie uda.

– Eehmmmm... – wykrztusiła maszyna drżąc; nieprzywykła do myślenia. – Promienie laserowe?

Marvin wyniośle pokręcił głową.

– Nie... – wymamrotała maszyna gardłowym basem. – Zbyt proste. Promienie antimaterii?

– Zbyt proste – zganił Marvin.

– Hm – burknęła nieco zawstydzona maszyna. – Eee... może taran elektronowy?

Marvin pierwszy raz słyszał o czymś takim.

– Jak on działa? – spytał.

– Tak! – z zachwytem oświadczyła maszyna.

Z jej wieżyczki wysunęło się coś szpiczastego i wystrzeliło jeden jedyny promień śmierci. Ściana za Marvinem zaczęła dudnić, po chwili rozpadła się, pozostawiając po sobie kupę miału. W powietrzu uniósł się pył, ale wkrótce opadł.

– Nie – oznajmił Marvin. – Nic podobnego.

– Niemniej świetne, co?

– Doskonale – przyznał Marvin.

– Wiem! – wykrzyknęła po chwili namysłu machina bojowa z zabiego desantu. – Musisz mieć te najnowsze ksantenowe restrukturyzująco-destabilizujące promienie zenonowe!

– Są świetne, nie? – napuszył się Marvin.

– Masz coś takiego?

– Nie.

– Ooo! – Machina była wyraźnie rozczarowana. – W takim razie...

– Szukasz w złym kierunku – przerwał Marvin. – Nie bierzesz pod uwagę czegoś dość charakterystycznego dla związków między ludźmi i robotami...

– Eee... wiem! – rzuciła machina. – Chodzi o... – Znow zagłębiła się w myślach.

– Zastanów się, pomyśl – dogadywał Marvin – zostawili mnie, zwykłego robota na posługi i kazali zatrzymać gigantyczną, wysoko wykwalifikowaną maszynę bojową, sami zaś uciekli, by ratować tyłki. Jak więc sądzisz – co mi zostawili?

– Uuuueeeee – pomrukiwała zaniepokojona machina. – Coś cholernie niesamowicie niszczycielskiego, myślę.

– Myślenie! – wykrzyknął Marvin. – Oj, myślenie... powiedzcie ci, co mi zostawili do obrony? Chcesz?

– Niech ci będzie – pogodziła się z losem machina, koncentrując siły.

– Nic.

Zapadła niebezpieczna cisza.

– Nic?

– Nic – ponuro oświadczył Marvin. – Nawet elektronicznej parówki.

Machina wściekle zatupała.

– Niech ich diabli! To szczyt! – zadudniła. – Nic?! Oni nie myślą!

– A na dodatek okropnie mnie boli we wszystkich diodach z dołu po lewej stronie... – poskarżył się Marvin słabym głosem.

– Doprowadza cię to do szaleństwa, co?

– Oj tak... – przytaknął ze wzruszeniem robot.

– Ale mnie to wkurza! – ryknęła machina. – Zaraz rozwalę tę ścianę!

Elektroniczny taran kolejny raz wystrzelił jaskrawy gorący promień – rozbił ścianę obok maszyny.

– Żebyś ty wiedziała, jak ja się czuję... – gorzko ciągnął Marvin.

– Po prostu zostawili cię samego i uciekli? Chyba rozwalę im też ten cholerny sufit!

Rozbiła w pył sufit.

– Niesamowite... – stwierdził Marvin.

– To jeszcze nic – obiecała machina. – Mogę też rozwalić podłogę. Dla mnie to pestka.

Rozwaliła podłogę.

– Niech to szlag! – zagrzmiała, spadając jak kamień piętnaście pięter w dół i rozbijając się na kawałki.

– Cóż za przygnębiająco debilna maszyna... – stwierdził Marvin i począł w dal.

Rozdział 8

– Tak sobie będziemy siedzieć? – wściekał się Zaphod. – Czego chcą te żabie typki?

– Ciebie, Beeblebrox – odparł Roosta. – Chcą cię zabrać na planetę Żaba – bez dwóch zdań najgorsze miejsce w Galaktyce.

– Naprawdę? Najpierw chyba jednak muszą przyjść i mnie wziąć.

– Właśnie przyszli i cię mają. Wyjrzyj przez okno.

Zaphod wyjrzał i rozdziawił gęby.

– Powierzchnia planety odlatuje... – wykrztusił. – Dlaczego zabierają powierzchnię planety?

– Zabierają gmach – uściślił Roosta. – Lecimy.

Za oknami przemknęły chmury.

Kiedy się z nich wydostali, Zaphod ujrzał wokół wyrwanego z posad wieżowca kordon ciemnozielonych komandosów. Każdy wystrzeliwał z trzymanego w dłoni przedmiotu promień energii – świetliste nitki tworzyły sieć, trzymającą budynek w żelaznym uchwycie.

Zaphod w zdumieniu pokręcił głowami.

– Cóż zrobiłem, by zasłużyć na takie traktowanie? – zapytał. – Wchodzę sobie jakby nigdy nic do wieżowca, a ci od razu go porywają!

– Niepokoi ich nie to, co zrobiłeś – wyjaśnił Roosta – ale co zrobisz.

– To ja już nie mam nic do powiedzenia?

– Miałeś parę lat temu. Teraz lepiej mocno się złap – czeka nas szybka i pełna wstrząsów podróż.

– Jeśli jeszcze kiedykolwiek spotkam siebie samego – oświadczył Zaphod – to tak się trzasnę, że od razu zapomnę, kto mi przywalił.

Otworzyły się drzwi i do środka z najwyższym wysiłkiem wczłapał Marvin. Spojrzał z wyrzutem na Zaphoda i ciężko opadł w kącie na podłogę. Po chwili się wyłączył.

W centrali dowodzenia „Serca ze Złota” panowała absolutna cisza. Artur wpatrywał się w półkę przed sobą i dumał. Chwycił pytające spojrzenie Trillian. Ponownie wbił wzrok w półkę.

W końcu ujrzał, co chciał.

Wziął do ręki kilka plastikowych kwadracików z nadrukowanymi literami i ułożył je na leżącej przy brzegu półki planszy. Miał przed sobą napis REWE. Przysunął sekwens do już leżących liter L, A, C, J i A.

– Rewelacja – przeczytał. – Na polach z potrójną punktacją. Może to dać niezły wynik.

Statek zarzucił, co po raz nie wiadomo który spowodowało przesunięcie się paru liter.

Trillian westchnęła i próbowała ułożyć je z powrotem.

Od czasu do czasu przez puste korytarze odbijał się echem odgłos kroków Forda Prefecta, który badał statek i postukiwał w martwe przyrządy.

Dlaczego ciągle rzuca statkiem?

Dlaczego statek podskakuje i zarzuca?

Dlaczego nie można ustalić pozycji?

Gdzie jesteśmy?

Wieżowiec wydawnictwa *Autostopem przez Galaktykę* pędził w przestrzeni międzygwiazdowej z prędkością, której ani przedtem, ani potem nie osiągnął żaden budynek we wszechświecie. W połowie wysokości gmachu w biurze Zarniwoopa wściekle maszerował w tę i w tę Zaphod Beeblebrox. Roosta siedział na krawędzi biurka i zajmował się jakimiś rutynowymi czynnościami z zakresu konserwacji ręczników.

– Hej, ty, mówiłeś, że dokąd leci ten dom? – zapytał Zaphod.

– Na Żabę – odparł Roosta. – Bez dwóch zdań najgorsze miejsce we wszechświecie.

– Mają tam coś do jedzenia?

– Do jedzenia? Lecisz na Żabę i martwisz się, czy będzie tam coś do jedzenia?

– Jeśli czegoś nie zjem, to może się zdarzyć, że nigdzie nie dolecę.

Przez okna widać było migotanie promieni energii i niewyraźne smugi, będące prawdopodobnie rozmazanymi konturami komandosów z żabiego desantu. Przy tej prędkości przestrzeń jako taka jest niewidoczna, co więcej – nierealna.

– Masz, possij sobie – odezwał się Roosta, oferując Zaphodowi ręcznik.

Zaphod wywalił gały, jakby spodziewał się, że Rooście zaraz wyskoczy z czoła kukulka na sprężynie.

– Jest na nim pełno pożywnych substancji – wyjaśnił Roosta.

– A co, chlapiesz przy jedzeniu?

– Żółte paski zawierają proteiny, zielone – witaminy z grup B i C, różowe – wyciąg z kielków pszenicy.

Zaphod wziął ręcznik i oglądał go ze zdziwieniem.

– A te czerwone plamy? – zapytał.

– Ke tsza’p – odparł Roosta. – Jeśli zemdlą mnie kielki.

Zaphod sceptycznie powąchał ręcznik. Jeszcze sceptyczniej posażł jeden z rogów. Natychmiast splunął.

– Blee...

– No tak – skwitował jego reakcję Roosta. – Kiedy się ssie ten róg, natychmiast należy posażł ten drugi.

– Dlaczego? – spytał Zaphod nieufnie. – Co w nim jest?

– Leki przeciwdepresyjne.

– Wiesz, w zasadzie niedawno byłem na odwyku od ręczników. – Zaphod oddał ręcznik.

Roosta zeskoczył z biurka, usiadł na krześle i położył nogi na blacie.

– Beeblebrox – powiedział, splatając ręce za głową – zdajesz sobie sprawę, co stanie się z tobą na Żabie?

– Dadzą mi jeść?

– Dadzą cię do zjedzenia wirowi całkowitego zrozumienia!

Zaphod nigdy nie słyszał o czymś takim. Ponieważ słyszał o wszystkich wesołych rzeczach we wszechświecie, domyślił się, że wir całkowitego zrozumienia to nic śmiesznego. Poprosił o dokładniejsze informacje.

– To najokrutniejsza tortura dla duszy, jakiej można poddać czującą istotę – wyjaśnił Roosta.

Zaphod z rezygnacją skinął jedną z głów.

– A więc nici z jedzenia?

– Posłuchaj! – gwałtownie wykrzyknął Roosta. – Można zabić człowieka, zniszczyć jego ciało, złamać go psychicznie, ale jedynie wir całkowitego zrozumienia jest w stanie unicestwić duszę. Operacja trwa sekundy, ale skutki odczuwa się całe życie!

– A piłeś kiedyś Pangalaktycznego Gardłogrzemota? – złośliwie zapytał Zaphod.

– Wir jest znacznie gorszy!

– Ojejeeeej! – Wywarło to na Zaphodzie spore wrażenie. – Dlaczego chcą mi to zrobić?

– Uważają, że to najlepszy sposób, by cię bezpowrotnie zniszczyć. Wiedzą, czego szukasz.

– Nie mogliby przysłać choćby liściku, bym i ja się dowiedział?

– Przecież wiesz, Beeblebrox, dobrze wiesz. Chcesz spotkać tego, kto rządzi wszechświatem.

– Umie gotować? – zapytał Zaphod. Po chwili zastanowienia sam sobie odpowiedział: – Wątpię. Gdyby umiał, nie przejmowałby się niczym innym we wszechświecie. Jak ja bym chciał spotkać dobrego kucharza... Roosta ciężko westchnął.

– A co ty tu robisz? – spytał go Zaphod. – Jaki ty masz z tym wszystkim związek?

– Jestem jednym z tych, którzy zaplanowali całą akcję. Było nas pięciu: ja, Zarniwoop, Yooden Vranx, twój pradziad i ty.

– Ja?

– Tak, ty. Mówiono mi, że się zmieniłeś, lecz nie myślałem, że aż tak...

– Ale...

– Jestem tu, by wykonać jedno zadanie. Wykonam je, a potem się rozstaniemy.

– Co za zadanie, człowieku, o czym ty gadasz?

– Wykonam je, a potem się rozstaniemy.

Roosta otoczył się murem milczenia.

Zaphod był potwornie szczęśliwy.

Rozdział 9

Atmosfera drugiej planety systemu Żaby była zatęchła i niezdrowa.

Wilgotne zimne wiatry, hulające po powierzchni globu, gnały przez wyschnięte słone jeziora i obeschłe bagna, dęły na płataniny próchniejących roślin oraz rozpadające się miasta. Nie poruszało się tu nic żywego. Jak wiele innych w tej części Galaktyki, planeta była od dawna opuszczona.

Wiatr był rozpaczliwie, dmąc przez wiekowe gruzy czegoś, co było kiedyś gęstą, miejską zabudową. Jeszcze beznadziejniej był jednak, dmąc wokół olbrzymich czarnych, kiwających się niespokojnie na boki wieżowców, rozrzuconych w sporych od siebie odległościach po całej powierzchni planety. Na ich szczytach żyły kolonie wielkich, zdziczałych, brzydko pachnących ptaków – jedynych pozostałych przy życiu przedstawicieli istniejącej tu kiedyś cywilizacji.

Najbeznadziejniej wiatr był jednak, mknąc wokół czegoś, co przypominało pryszcz, wyrastający na samym środku rozległej szarej równiny, rozpoczynającej się na skraju największego z dawnych miast.

Właśnie ten pryszcz wyrobił planecie opinię najgorszego bez dwóch zdań miejsca w Galaktyce. Z zewnątrz była to stalowa półkula o średnicy dziesięciu metrów, od wewnątrz – coś bardziej potwornego, niż jest w stanie objąć rozum.

Około stu metrów dalej, za ospowatym i wyklętym przez Boga pasem najbardziej jałowej gleby, jaką można sobie wyobrazić, znajdowało się miejsce, które należałoby chyba określić mianem lądowiska. Znajdowały się tu rozrzucone na dość dużej przestrzeni toporne bryły dwudziestu, może trzydziestu budynków, które rozbiły się przy lądowaniu.

Nad budynkami i wokół nich unosił się umysł – umysł, który czekał.

Czekający umysł skierował swą uwagę w górę. Nie minęło wiele czasu i w oddali pojawiła się plamka, otoczona kręgiem punkcików.

Plamka okazała się wchodzącym w stratosferę wieżowcem wydawnictwa *Autostopem przez Galaktykę*.

Gdy budynek zaczął schodzić do lądowania, Roosta nagle przerwał niesympatyczne milczenie, które od dłuższego czasu ciążyło między obecnymi panami.

Wstał i wetknął ręcznik do torby.

– Beeblobox, wykonam teraz to, po co mnie przysłano.

Zaphod spojrzał na niego z kąta, w którym dzielił się z Marvinem nie wypowiedzianymi myślami.

– Tak? – zapytał.

– Budynek wkrótce wyląduje. Gdy będziesz go opuszczał, nie wychodź przez drzwi. Wyjdź przez okno. Życzę szczęścia. – Na tym zakończył i wyszedł – przez drzwi. Zniknął tak samo tajemniczo z życia Zaphoda, jak się pojawił.

Zaphod skoczył do drzwi i nacisnął klamkę, ale były zamknięte. Wzruszył ramionami i wrócił do kąta.

Dwie minuty później budynek rozbił się między leżącymi wrakami. Eskorta komandosów z zabiego desantu wyłączyła promienie energetyczne i wzniosła się w kierunku Żaby A – bez dwóch zdań nieco znośniejszego miejsca. Nigdy nie lądowali na Żabie B. Nikt nigdy tego nie robił. Z wyjątkiem przyszłych ofiar wiru całkowitego zrozumienia nikt także po niej nie chadzał.

Po uderzeniu budynku w planetę Zaphod dygotał przez dłuższą chwilę. Leżał wśród gruzów, w które zmieniło się pomieszczenie, i pozwalał, by bezgłośnie osiadał na nim pył. Miał świadomość, że jeszcze nigdy w życiu nie upadł tak nisko. Czuł się zagubiony, czuł się opuszczony, czuł się niekochany. W chwilę później uznał, że wszystko jedno, co go czeka, musi się do tego zabrać.

Omiótł wzrokiem zrujnowany pokój. Ściana wokół framugi pękła i drzwi zwisały luźno na zawiasach. Jakimś cudem okno było całe i zamknięte. Przez chwilę się wahał, potem jednak stwierdził, że jeśli jego dziwny nowy znajomy wziął na siebie, co wziął, tylko po to, by powiedzieć, co powiedział, musiał mieć ku temu nieblahe powody. Przy pomocy Marvina otworzył okno. Wzniesiona przez upadek biurowca chmura pyłu i znajdujące się wokół wraki budynków skutecznie ochroniły Zaphoda przed zobaczeniem czegokolwiek na powierzchni planety.

Nie, żeby go to szczególnie ciekawiło – głównie zainteresowało go, co zobaczył, patrząc przez okno w dół. Ujrzał pod sobą czternaście piętér i choć budynek wylądował mniej więcej pod kątem czterdziestu pięciu stopni, na widok przepaści Zaphodowi prawie stanęło serce.

Dotknięty do żywego pogardliwymi spojrzeniami, które raz za razem rzucał mu Marvin, wziął wreszcie głęboki wdech i wypelził na ostro pochyloną zewnętrzną ścianę. Robot poszedł za nim. Czołgając się, powoli i z wysiłkiem zaczęli pokonywać dzielące ich od powierzchni planety piętnaście kondygnacji.

Zatęchłe powietrze kłuło Zaphoda w płuca, pył piekł w oczy, a straszna odległość do pokonania wywoływała zawroty w głowach.

Rzucane od czasu do czasu przez Marvina komentarze typu: „A więc to takie rzeczy sprawiają przyjemność bioformom? Pytam ot tak, z ciekawości” niewiele poprawiały Zaphodowi humor.

Mniej więcej w połowie wysokości roztrzaskanego budynku – zatrzymali się, by odpocząć. Zaphod padł, dysząc ze strachu i wycieńczenia. Wydawało mu się, że Marvin jest odrobinę weselszy niż zazwyczaj, ale wkrótce zrozumiał, że to nieprawda. Po prostu sam miał jeszcze gorszy nastrój niż robot.

Przez opadające powoli chmury pyłu nadleciał wielki czarny ptak z postrzępionymi skrzydłami. Wyciągając chude jak patyki łapy, opadł kilka metrów dalej na parapet. Złożył toporne skrzydła i kiwał się nieporadnie na boki.

Rozpiętość jego skrzydeł wynosiła jakieś dwa metry, miał – jak na ptaka – niezwykle masywny łeb i grubą szyję. Łeb był płaski, dziób niezbyt wykształcony, na środku skrzydeł od spodu znajdowało się coś, co przypominało pozostałości dłoni.

Właściwie ptak wyglądał dość człekokształtnie.

Skierował tępe ślepia w stronę Zaphoda i kłapnął zupełnie bez celu dziobem.

– Spadaj! – rzucił Zaphod.

– Jak pan sobie życzy – markotnie wymamrotał ptak i odleciał w chmurę pyłu.

Zaphod obserwował jego odlot z wyrazem najwyższego zaskoczenia.

– Czy ten ptak się do mnie odezwał? – zapytał nerwowo Marvina. Był przygotowany na zaakceptowanie każdego innego wyjaśnienia – na przykład, że ma halucynacje.

– Odezwał się – odparł Marvin.

– Biedne dusze... – szepnął tuż przy uchu Zaphoda głęboki, eteryczny głos.

Zaphod gwałtownie się obejrzał, by określić miejsce, skąd pochodzi głos, i o mało nie spadł z budynku. Dziko machnąwszy ręką, złapał jednak za gzyms i z całej siły się go uczeplił. Wisiał i ciężko dyszał.

Nie umiejscowił źródła dźwięku – w pobliżu nikogo nie było widać. Mimo to głos znów przemówił:

– Mają za sobą tragiczną przeszłość, wiesz? Strasznie cierpieli.

Zaphod rozejrzał się wściekle wokół. Głos był niski i łagodny – w innych okolicznościach można by go nazwać kojącym. Nie ma jednak nic kojącego w byciu zagadywanym nie wiadomo skąd przez bezcielesny głos, zwłaszcza będąc – jak Zaphod Beeblebrox – w nie najlepszej formie i zwisając z gzymsu na ósmym piętrze rozbitego przy lądowaniu wieżowca.

– Hej... eee – wydukał Zaphod.

– Opowiedzieć ci ich historię? – spytał głos.

– Kim... jesteś? – wydyszał Zaphod. – Gdzie jesteś...?

– No to innym razem – wymruczał głos. – Nazywam się Gargravarr. Jestem kustoszem wiru całkowitego zrozumienia.

– Dlaczego cię nie widzę?

– Znacznie łatwiej będzie ci schodzić – głos był donośniejszy – jeśli przesuniesz się jakieś dwa metry w lewo. Czemu nie spróbujesz?

Zaphod spojrział w lewo i ujrzał ciąg krótkich równoległych rowków, prowadzący do podnóża budynku. Wdzięczny za radę przesunął się w ich stronę.

– No to co, spotkamy się na dole? – szepnął w ucho Zaphoda głos i przycichł.

– Zaraz! – zawołał Zaphod. – Gdzie jesteś?

– Zajmie ci to tylko parę minut... – powiedział głos z oddali.

– Marvin – z powagą odezwał się Zaphod do robota, który smutno przycupnął obok. – Czy... przed chwilą mówił do mnie jakiś...?

– Tak – zwięźle rzucił Marvin.

Zaphod skinął głową. Znow wyjął swe niebezpieczeństvosensytywne okulary przeciwsłoneczne. Szkła były zupełnie czarne, a metalowa rzecz, której nie powinno być w kieszeni, zdążyła je już dość mocno podrapać. Zaphod uznał, że w okularach będzie mu się schodziło milej – nie będzie widział, co robi.

Parę minut później dotknął zmiażdżonych i splekanych fundamentów budynku. Zdejmując okulary, zgrabnie zeskoczył na pylisty grunt.

Po chwili dołączył do niego Marvin, legł jednak bez ruchu twarzą w dół w pyle i gruzie. Wydawało się, że zamierza tak pozostać.

– A więc jesteś – nagle znow powiedział Zaphodowi do ucha głos. – Przepraszam, że tak odszedłem, ale na wysokości robi mi się niedobrze. To znaczy, robiło się... – dodał melancholijnie.

Zaphod rozejrzał się powoli i ostrożnie, by stwierdzić, czy nie umknęło jego uwagi coś, co mogłoby być źródłem głosu, ale widział jedynie pył, ruiny i wysokie bryły budynków wokół.

– Eeeee... eee, dlaczego cię nie widzę? – zapytał. – Dlaczego cię nie ma?

– Jestem. Moje ciało też zamierzało przybyć, ale ma zbyt wiele zajęć. Rozumiesz, sprawy do załatwienia, spotkania... – Po czymś w rodzaju eterycznego westchnięcia głos dodał: – Wiesz, jak to jest z ciałami...

Zaphod nie był zbyt pewny, czy wie.

– Chyba tak – powiedział wymijająco.

– Mam nadzieję, że zapisało się na kurację snem – ciągnął głos. – W innym przypadku, jeśli nie zmieni trybu życia, wkrótce zaczniesz robić oczami.

– Oczami? Nie chcesz powiedzieć „bokami”?

Przez chwilę głos milczał. Zaphod niespokojnie się rozejrzał. Nie wiedział, czy głos sobie poszedł, dalej z nim rozmawia i tylko na chwilę zamilkł, czy robi co innego.

– Hm, masz więc zostać wrzucony do wiru, he? – rozległ się ponownie głos Gargavarra.

– No... tak... – Zaphod nieudolnie próbował być nonszalancki – ale chyba się nie spieszy? Może na początek mógłbym się trochę powalęsać i nacieszyć oczy widokami?

– Widziałeś już okolicę?

– No... nie.

Przełazł przez kupę gruzu i pomaszerował za róg zasłaniającego mu widok wraku.

Ujrzał panoramę Żaby B.

– Nieźle – stwierdził. – No to sobie pospaceruję.

– Nie – przerwał Gargravarr. – Wir czeka. Musisz iść. Proszę za mną.

– Eee... tak? – zdziwił się Zaphod. – A jak mam to zrobić?

– Będę ci nucił. Idź za melodią.

W powietrzu rozległ się łagodny, nieco lamentujący dźwięk, matowy, smutny, pozbawiony źródła dźwięk. Jedynie dokładnie się przysłuchując, Zaphod był w stanie ustalić kierunek, skąd płynął. Powoli i jak otumaniony, zataczając się, poszedł za głosem. Cóż innego mu pozostało?

Rozdział 10

Wszechświat, jak już wcześniej wspomniano, jest tak niewyobrażalnie wielki, że jego rozmiary mogą wywołać zawroty głowy. Większość istot myślących chętnie o tym zapomina w imię świętego spokoju.

Wielu z ochotą przeprowadziłoby się do jakiegoś mniejszego miejsca, bardziej pasującego do ich horyzontów myślowych. Większość żywych istot rzeczywiście to robi.

I tak na przykład, w zakątku wschodniego ramienia spiralnego Galaktyki znajduje się wielka leśna planeta Oglarun, której cała „inteligentna” populacja mieszka stale na jednym, dość małym i gęsto zaludnionym drzewie orzechowym. Na tym drzewie się rodzą, tu żyją, zakochują się, wycinają w korze spekulatywne wypracowania o sensie życia, bezsensie śmierci i znaczeniu kontroli urodzeń, prowadzą niezwykle błahe wojny i w końcu umierają przypięci pasami do mniej dostępnych zewnętrznych gałęzi.

Jedynymi Oglaruńczykami, którzy opuszczają drzewo, są ci, których zrzuca się z niego za obrzydliwą zbrodnię, polegającą na zastanawianiu się, czy na innych drzewach istnieje życie i czy inne drzewa nie są po prostu zwidami, będącymi efektem konsumpcji zbyt wielu orzechów ogła.

Bez względu na to, jak cudaczne może się wydawać ich zachowanie, w Galaktyce de facto nie istnieje ani jedna bioforma, która nie miałaby na sumieniu czegoś nienormalnego – stąd wir całkowitego zrozumienia jest aż tak przerażający.

Wsadzony do wiru osobnik natychmiast widzi całą niewyobrażalną nieskończoność stworzenia, a gdzieś w środku obrazu pojawia się mikroskopijny punkt oraz skierowana na niego mikroskopijna strzałka, na której widnieje napis: OTO TY.

Przed Zaphodem rozpościerała się szara nizina – wyniszczona do cna, porozbijana nizina. Dziko dmąc, hulał po niej wiatr.

W samym środku niziny wznosił się widoczny z daleka wrzód stalowej kopuły.

„Wir całkowitego zrozumienia – domyślił się Zaphod. – To tam mam iść.”

Kiedy stał tak bez ruchu i ponuro spoglądał na kopułę, z jej wnętrza rozległ się nie ludzki wrzask – jakby komuś wypalano żelazem duszę z ciała. Krzyk narastał niesiony wiatrem, i naraz zamilkł.

Zaphod skulił się przerażony, czuł jakby zamiast krwi płynął mu w żyłach płynny hel.

– Co to było?! – wychrypiał.

– Nagranie głosu ostatniej istoty, jaką wsadzono do wiru – odpowiedział Gargravarr. – Odtwarza się je zawsze następnej ofierze. Takie preludium.

– No tak, to brzmiało naprawdę nie najlepiej... Nie moglibyśmy wpaść na chwilę na jakąś prywatkę czy coś w tym stylu i przemyśleć sprawę?

– O ile się nie mylę – odparł eteryczny głos Gargravarra – to właśnie jestem na prywatce. Znaczy się, moje ciało. Chodzi beze mnie na mnóstwo prywatek. Mówi, że mu tylko przeszkadzam. A niech go!

– Co to za historia z twoim ciałem? – zapytał Zaphod, starając się odroczyć spotkanie z wirem.

– Hm, jest... bardzo zajęte...

– Chcesz powiedzieć, że ma nową duszę?

Nim Gargravarr odpowiedział, minęła długa chwila lodowatego milczenia.

– Uważam, że twoja uwaga jest dość niesmaczna.

Zaphod skonsternowany i zakłopotany wymamrotał przeprosiny.

– Nie szkodzi – stwierdził Gargravarr. – Skąd miałaś wiedzieć...?

Głos drżał z nieszczęścia. Najwyraźniej całą siłą woli próbował zachować panowanie nad sobą.

– Obecnie rozdzieliliśmy na próbę stół i łóżko – ciągnął. – Mam poważne obawy, że zakończy się to rozwodem.

Głos ponownie zamilkł. Zaphod nie miał pojęcia, co powiedzieć. Wymamrotał coś bliżej nie określonego.

– Wydaje mi się, że nigdy zbyt do siebie nie pasowaliśmy – skarżył się dalej Gargravarr. – Nigdy nie byliśmy szczęśliwi, robiąc to samo. Najgorsze kłótnie wybuchały z powodu seksu i łowienia ryb. Przez pewien czas próbowaliśmy równocześnie się kochać i wędkować, ale – co z pewnością możesz sobie wyobrazić – doprowadziło to do katastrofy. Teraz moje ciało odmawia wpuszczenia mnie do siebie. Nawet nie chce mnie widzieć...

Znów zrobił pełną tragizmu przerwę. Wiatr huczał na nizinie.

– Powstrzymujesz mnie jedynie w rozwoju! – zarzuciło mi, kiedy jednak przypomniałem, że od początku miałem nim kierować, nazwało mnie chłopskim filozofem gadającym dokładnie w sposób, od którego ciałom chce się rzygać. Daliśmy więc sobie spokój. Sąd prawdopodobnie przyzna mu prawo do mojego imienia.

– Co ty? A jak ono brzmi?

– Picglanc. Nazywam się Picglanc Gargravarr. Nie trzeba nic dodawać, nie?

– Uuuuu... – ze współczuciem stwierdził Zaphod.

– I z tego powodu ja, odcieleśniony duch, dostałem etat jako kustosz wiru całkowitego zrozumienia. Nikt już nigdy nie postawi stopy na powierzchni tej planety. Jedyne ofiary wiru, ale sądzę, że one się nie liczą.

– Aaa...

– Może ci opowiedzieć historię tego miejsca? Chcesz?

– Eee...

– Wiele lat temu była to kwitnąca, szczęśliwa planeta. Miasta, ludzie, domy towarowe – normalny świat. No, może poza tym, że na głównych ulicach było odrobinę zbyt wiele sklepów z butami. Powoli i cichcem ich liczba rosła. Zachodził doskonale znany, choć przy bezpośrednim kontakcie nieprzyjemny proces gospodarczy, polegający na tym, że im więcej istnieje sklepów z obuwem, tym więcej trzeba produkować butów, i tym robią się gorsze i mniej wygodne. Im gorsze stają się buty, tym więcej trzeba ich kupować, by nie nosić zniszczonych, a co za tym idzie, musi powstawać coraz więcej sklepów z obuwem. W końcu gospodarka dochodzi do stadium zwanego, zdaje mi się, wielkim biznesem bucianym i niemożliwe jest istnienie czegokolwiek innego niż sklep z butami. Tak stało się i tu – rezultatem był krach gospodarczy, ruina, głód. Większość populacji wymarła. Nieliczni, mający odpowiednią niestabilność genetyczną, przemutowali w ptaki – widziałeś jednego z nich – które przekleły stopy, przekleły twardy grunt i przysięgły, że już nigdy nikt nie będzie chodzić po powierzchni planety. Tragiczna sprawa. Chodź, muszę zaprowadzić cię do wiru.

Zaphod zdezorientowany potrząsnął głową i potykając się, ruszył przez nizinę.

– Ty też pochodzisz z tej piekielnej dziury?

– Ależ skąd! – odparł oburzony Gargravarr. – Pochodzę z Żaby C. To cudowne miejsce. Wspaniałe zakątki do wędkowania. Wieczorami tam wracam, choć obecnie mogę jedynie patrzeć. Wir całkowitego zrozumienia jest jedyną rzeczą na tej planecie, która służy do czegokolwiek. Został zbudowany tutaj, ponieważ nikt nie chciał go mieć pod nosem.

W tym samym momencie powietrzem wstrząsnął drugi przerażający wrzask. Zaphod wzdrygnął się.

– Co to może zrobić człowiekowi? – wydyszał.

– Pokazać wszechświat. Nieskończoność wszechświata. Nieskończenie wiele słońc, nieskończone odległości między nimi, ciebie samego jako niewidoczny punkcik na innym niewidocznym punkciku – nieskończenie małego.

– Hejże! Jestem Zaphod Beeblebrox, kapujesz, facet? – ni to krzyknął, ni to wymamrotał Zaphod, próbując dać pobudzającego klapsa resztkom swego ja.

Gargravarr nie odpowiedział, tylko podjął pełen smutku jękliwy śpiew. Szli, aż dotarli do stojącej na środku niziny zmatowiałej stalowej kopuły.

Gdy podeszli, w bocznej ścianie z hukiem otworzyły się drzwiczki ukazujące niewielką ciemną jamę.

– Wejdz! – rozkazał Gargravarr.

Zaphod cofnął się ze strachem.

– Zaraz, co to ma...?

– Wchodź!

Zaphod nerwowo zajrzał do środka. Jama była bardzo mała, wyłożona stalą i poza jednym człowiekiem nie zmieściłoby się w niej wiele więcej.

– To... eee... nie wygląda mi to na wir – stwierdził Zaphod.

– Bo to nie wir. To winda.

Zaphod wszedł z niesamowitym dygotem. Czuł, że Gargravarr jest w windzie, choć becziesny duch akurat nic nie mówił.

Winda zjeżdżała powoli.

– Muszę się wprowadzić w odpowiedni nastrój... – wymamrotał Zaphod.

– Nie istnieje odpowiedni nastrój do tego, co cię czeka – surowo wtrącił Gargravarr.

– Naprawdę wiesz, jak sprawić, by człowiek poczuł się małego...?

– Ja nie, ale wir wie.

Na dnie szybu otworzyła się tylna ściana kabiny. Zaphod wytoczył się do niewielkiej, bardzo funkcjonalnej stalowej komory. W jej przeciwległym końcu stało coś na kształt stalowej budki telefonicznej – wysokiej akurat na tyle, by mógł się w niej zmieścić stojący człowiek.

Spartański wystrój.

Urządzenie było połączone grubym kablem z paroma aparatami i instrumentami.

– To on? – ze zdziwieniem spytał Zaphod.

– On.

„Nie wygląda najgorzej” – pomyślał Zaphod.

– Mam wejść?

– Masz wejść. Obawiam się, że natychmiast.

– W porządku. Już się robi.

Zaphod otworzył drzwi tajemniczego urządzenia i wszedł do środka.

Stał w środku i czekał.

Po pięciu sekundach rozległo się „pstryk” i Zaphod miał wokół siebie wszechświat.

Rozdział 11

Wir całkowitego zrozumienia ewokuje obraz wszechświata metodą ekstrapolacyjnej analizy materii.

Dla wyjaśnienia: Ponieważ na każdą cząsteczkę materii we wszechświecie oddziałują w jakiś sposób wszystkie pozostałe cząsteczki materii wszechświata, teoretycznie możliwe jest wnioskowanie o właściwościach wszystkiego, co istnieje – o każdym słońcu, każdej planecie, ich orbitach, składzie chemicznym oraz ich historii ekonomicznej i społecznej – na podstawie wyników badań dowolnego elementu wszechświata, czyli na przykład kawałka ponczowego tortu.

Człowiek, który wynalazł wir całkowitego zrozumienia, zrobił to w zasadzie tylko dlatego, że chciał zagrać żonie na nerwach.

Trin Tragula – bo tak się nazywał – był marzycielem, myślicielem, lubiącym abstrakcyjne i teoretyczne dociekania filozofem czy – jak wyraziłaby to jego żona – przyglupem.

Bez przerwy ciosała mu kołki na głowie, jak niesamowicie wiele czasu spędza na gapieniu się bez sensu w kosmos, łamaniu głowy nad mechanizmem działania agrafki albo robieniu spektralnej analizy ponczowego tortu.

– Zaczynj nareszcie odróżniać, co jest ważne, a co nie! – powtarzała bez przerwy, czasem nie mniej niż trzydzieści osiem razy w ciągu dnia.

Tak więc zbudował wir całkowitego zrozumienia – żeby jej pokazać.

Z jednego końca wsadził wyekstrapolowaną z kawałka ponczowego tortu rzeczywistość, z drugiego żonę i kiedy włączył wir, w jednej chwili ujrzała nieskończoność stworzenia oraz – we właściwej skali – siebie.

Trin Tragula był przerażony, bowiem wstrząs unicestwił jej umysł, ku swemu zadowoleniu stwierdził jednak, iż przekonująco udowodnił, że jeżeli życie chce istnieć we wszechświecie o tak wielkich rozmiarach, nie może pozwolić sobie na luksus odróżniania, co jest ważne, a co nie.

Drzwi do wiru się otwały.

Bezcielesny umysł Gargavarra obserwował je ponuro. W jakiś dziwny sposób polubił Beeblebroxa – bez wątplenia posiadał on sporo przymiotów, nawet jeśli były w większości złe.

Umysł Gargavarra czekał, aż Zaphod – jak każdy przed nim – wypadnie bezwolnie ze skrzyni.

Zaphod wymaszerował sprężystym krokiem.

– Cześć!

– Beeblebrox... – wydyszał zaskoczony umysł Gargavarra.

– Czy mogę dostać drinka?

– To ty... Byłeś w wirze?

– Widziałeś, serdeńko.

– Działał?

– Jeszcze jak!

– I ujrzałeś całą nieskończoność stworzenia? Cały wszechświat?

– Oczywiście. Bardzo porządne miejsce, wiedziałeś o tym?

Gargavarrowi zaczęło się ze zdziwienia kręcić w duchu. Gdyby jego ciało było obecne, musiałyby usiąść z rozdziawioną jak wrota stodoły buzią.

– I widziałeś siebie na tle całości? – pytał dalej.

– Oj tak, tak...

– I... i co zobaczyłeś?

Zaphod wyniośle wzruszył ramionami.

– To, co od dawna wiedziałem. Jestem naprawdę fantastycznym i wspaniałym gościem. Nie mówiłem ci, że Zaphod Beeblebrox to ja?

Jego wzrok powędrował ku zasilającej wir maszynie. Nagle zatrzymał się z niedowierzaniem.

– Rany, to naprawdę kawałek ponczowego tortu?

Wydłubał ciasto spomiędzy otaczających je czujników.

– Gdybym chciał ci opowiedzieć, jak marzyłem, by coś przegryźć, nie miałbym czasu tego zjeść.

I zjadł.

Rozdział 12

Tuż po tym pędził przez nizinę w kierunku ruin miasta.

Wisząca w powietrzu stęchlizna latała mu ze świstem po płucach. W dodatku zaczynało się ściemniać, a wyboista droga była pełna pułapek.

Mimo wszystko przepelniała go duma. Wszechświat... W jednej chwili rozpostarł się wokół niego w nieskończoność cały wszechświat... Kiedy to się stało, zrozumiał prostą, choć niezwykłą prawdę – że najważniejszy w tym wszystkim jest on sam. Megalomania to jedno, a potwierdzenie własnej wyjątkowości przez maszynę – zupełnie co innego.

Nie było czasu na rozmyślanie.

Gargravarr ostrzegał lojalnie, że musi poinformować swych szefów o tym, co się stało, jest jednak gotów trochę odczekać. Wystarczająco długo, by Zaphod mógł chwilę odpocząć i znaleźć kryjówkę.

Zaphod nie miał planu działania, ale świadomość bycia najważniejszą osobą we wszechświecie dawała wiarę, że rozwiązanie samo się znajdzie.

Nic innego na tej nieszczęsnej planecie nie było w stanie napawać optymizmem.

Pędził dalej. Wkrótce dotarł do skraju opuszczonego miasta.

Gnał po ulicach o spękanych i zniszczonych nawierzchniach. Ze szpar wyrastało suchotnicze zielsko, głębokie dziury wypełnione były próchniejącymi butami. Mijał chylące się ku upadkowi domy, tak bliskie ruiny, że uznał, iż zbyt niebezpiecznie byłoby do nich wchodzić.

Gdzie się schować?

Gnał dalej.

Po chwili dotarł do miejsca, gdzie od ulicy, którą pędził, odchodziło coś, co pozostało z szerokiej, z rozmachem się wyginającej alei: na końcu odnogi znajdował się olbrzymi budynek, znacznie szerszy niż wyższy. Otoczony był wieloma mniejszymi, całość ogradał kiedyś mur, obecnie w ruinie. Wielka centralna bryła sprawiała wrażenie mało zniszczonej i Zaphod zbliżył się do niej, by sprawdzić, czy może być mu przydatna w... no, w czymkolwiek.

Na jednej ze ścian – chyba fasadzie, gdyż była skierowana ku rozległej, pokrytej betonowymi pasami startowymi płaszczyźnie – znajdowało się troje olbrzymich drzwi, wysokich na około dwadzieścia metrów. Ostatnie były otwarte. Pognał ku nim.

W środku panował bród, smród i ubóstwo. Wszędzie grubą warstwą leżały pajęczyny. Część ścian działowych zawaliła się, część tylnej ściany odmówiła posłuszeństwa, na podłodze leżał zbity w gęstą masę, przytłaczający wszystko kurz.

W głębokiej czerni niewyraźnie majaczyły kontury olbrzymich, pokrytych gruzem brył.

Niektóre z nich były walcowate, inne kuliste, parę wyglądało jak jajka, czy raczej poroztłukiwane jajka. Jedne bryły jedynie pęknięte, inne właśnie się rozpadały na kawałki, z jeszcze innych pozostały gołe szkielety.

Statki kosmiczne – same wraki.

Zaphod rozczarowany stąpał między kadłubami. Nie było tu niczego, co mogłoby się do czegośkolwiek przydać. Wystarczyły wywołane krokami drżenia, by zapadł się w siebie kolejny szczególnie niepewny wrak.

Nieco bardziej w głąb hali leżał stary pojazd kosmiczny, większy od pozostałych i zakopany pod jeszcze większą górą pyłu i pajęczyn. Kontur kadłuba wywoływał jednak wrażenie, że statek jest cały. Zaphod zbliżył się zaciekawiony i potknął o przewód zasilający.

Spróbował odrzucić go na bok, ku swemu zdziwieniu odkrył jednak, że kabel jest podłączony do statku.

Ku swemu bezbrzeżnemu zaskoczeniu stwierdził, że przewód cicho buczy.

Z niewiarą wlepił gały w statek, potem w kabel w dłoni. Puścił go.

Zdjął marynarkę i rzucił za siebie. Popelzł na czworakach wzdłuż kabla do miejsca, gdzie zniknął we wnętrzu statku. Podłączenie było nie uszkodzone, a cicha bucząca vibracja głośniejsza.

Serce biło mu szybko. Stał nieco brudu i przyłożył ucho do powłoki statku. Słyszał słaby, niewyraźny szum.

Zaczął gorączkowo grzebać w leżącym wokół gruzie i znalazł kawałek rury oraz filizankę z nie podlegającego biodegradacji tworzywa. Zmontował prymitywny stetoskop i przytknął do pancerza.

To, co usłyszał, spowodowało, że mózgi zaczęły mu fikać koziołki.

Jakiś głos mówił:

– Transstellarne towarzystwo podróży prosi o wybaczenie rosnącego opóźnienia lotu. Oczekujemy na dostawę nasączonych sokiem cytrynowym serwetek, które w czasie lotu zapewnią państwu wygodę, poczucie świeżości oraz utrzymanie higieny. Dziękujemy za cierpliwość. Wkrótce stewardesy zaczną podawać kawę i ciastka.

Zaphod zatoczył się do tyłu jak pijany i wlepił wzrok w statek. Przez parę minut kręcił się wokół własnej osi, jakby dostał obuchem w łeb. Ujrzał olbrzymią tablicę odlotów, zwisającą

– obecnie na jednym haku – z sufitu. Choć pokrywała ją gruba warstwa brudu, widocznych było parę liczb.

Skakał wzrokiem z liczby na liczbę, mózgi dokonały krótkiego rachunku. Wybałuszył oczy ze zdziwienia.

– Dziewięćset lat...

Tyle wynosiło opóźnienie statku.

Dwie minuty później znajdował się na pokładzie.

Gdy przechodził przez komorę ciśnień, owionęło go chłodne i świeże powietrze – a więc klimatyzacja działała.

Pały się też światła.

Wszedł z maleńkiej komory wejściowej na krótki, ciasny korytarz i nerwowo ruszył dalej.

Nagle otworzyły się jakieś drzwi i pojawiła się w nich androidalna stewardesa.

– Proszę wrócić na miejsce – powiedziała, po czym odwróciła się plecami i odeszła.

Gdy Zaphodowi znów zaczęło bić serce, ruszył jej śladem. Stewardesa znikła w pomieszczeniu na końcu korytarza.

Wszedł za nią.

Znajdowali się w przedziale pasażerskim. Serce Zaphoda znów zatrzymało się na sekundę.

W każdym fotelu siedział przypięty pasem człowiek. Siedzący mieli długie i nie uczesane włosy, długie paznokcie, mężczyźni brody.

Wszyscy bez wątpienia żyli – jedynie spali.

Zaphod dostał na całym ciele gęsiej skórki.

Jak we śnie sunął między fotelami. Zdażył przejść połowę przedziału, gdy stewardesa dotarła do końca. Odwróciła się i zaczęła mówić:

– Dobry wieczór, panie i panowie. Dziękujemy za wyrozumiałość z powodu niewielkiego opóźnienia. Niedługo wystartujemy. Gdybyście byli państwo uprzejmi się obudzić, to podam kawę i herbatniki.

Gdzieś coś cicho zabuczało.

Pasażerowie się obudzili.

Obudzili się, zaczęli krzyzczeć jak opętani, szarpali za pasy bezpieczeństwa, które przypinały każdego mocno do miejsca, ciągnęli za przewody systemu utrzymywania życia. Darli się, wrzeszczeli i ryczeli, aż Zaphoda opadł strach, że pękna mu bębenki.

Postacie rzucały się i próbowały wyrwać z petów, a niewzruszona stewardesa szła między fotelami. Przed każdym pasażerem stawiała maleńką filiżankę kawy i kładła paczkę herbatników.

W pewnej chwili ktoś wstał z fotela.

Staął tak, by widzieć Zaphoda.

Beeblebroxa zaswędziało całe ciało, jego skóra próbowała dokąś uciekać. Postanowił zwiewać z tego domu wariatów.

Wypadł na korytarz.

Mężczyzna podążył za nim.

Zaphod gnając jak szalencie, dotarł do końca korytarza, przebiegł przez komorę ciśnień. Wpadł do kabiny pilotów, trzasnął drzwiami i zaryglował zamki. Ciężko dysząc, oparł się plecami o drzwi.

Wkrótce ktoś zaczął walić z drugiej strony pięścią.

Z kąta odezwał się metaliczny głos.

– Pasażerowie nie mają prawa wstępu do kabiny pilotów. Proszę wrócić na miejsce i czekać na start. Za chwilę podamy kawę i herbatniki. Mówi automatyczny pilot. Proszę wrócić na miejsce.

Zaphod milczał. Dyszał, za jego plecami dalej rozlegał się łomot.

– Proszę wrócić na miejsce – klepał automatyczny pilot. – Pasażerowie nie mają prawa wstępu do kabiny pilotów.

– Nie jestem pasażerem! – parsknął Zaphod.

– Proszę wrócić na miejsce.

– Nie jestem pasażerem!!!

– Proszę wrócić na miejsce.

– Nie jestem pasażerem!!!

– Proszę wrócić na miejsce.

– Nie jestem... Halo! Słyszysz mnie?

– Proszę wrócić na miejsce.

– Czy jesteś automatycznym pilotem, cymbałku?

– Tak – odpowiedział głos z konsoly.

– Czy do twoich zadań należy kierowanie statkiem?

– Tak. Mamy opóźnienie. Pasażerów należy chwilowo utrzymywać w stanie śmierci klinicznej – ku ich własnej wygodzie i dla zmniejszenia uciążliwości podróży. Co roku podaje się kawę i herbatniki, po czym, też dla wygodzie i zmniejszenia uciążliwości podróży, pasażerowie wracają do stanu śmierci klinicznej. Wystartujemy natychmiast po uzupełnieniu prowiantu. Przykro nam z powodu opóźnienia.

Zaphod odszedł od drzwi, walenie ustało. Zbliżył się do pulpitu sterowniczego.

– Opóźnienie?!! – wrzasnął. – Czy oglądaliście choć raz świat na zewnątrz? To pustynia, dzicz. Cywilizacja poszła w diabły, przyjacielu. Nikt nie wiezie wam nasączonych sokiem cytrynowym serwetek!

– Rachunek prawdopodobieństwa wykazuje – rzekł z emfazą automatyczny pilot – że powstanie nowa cywilizacja. Pewnego dnia znów powstaną serwetki nasączone sokiem cytrynowym. Póki to nie nastąpi, mamy krótką przerwę w locie. Proszę wrócić na miejsce.

– Ale...

W tym momencie otworzono drzwi. Zaphod błyskawicznie się odwrócił. Jego prześladowca miał w ręku wielką aktówkę. Był elegancko ubrany, ostrzyżony na jeża. Nie miał brody, ani długich paznokci.

– Zaphodzie Beeblebrox – zaczął – nazywam się Zarniwoop. Chciał pan chyba ze mną rozmawiać.

Zaphodowi Beeblebroxowi zrobiło się ciemno przed wszystkimi czterema oczami. Jego usta zaczęły wypowiadać głupoty. Opadł na fotel.

– Człowieku, z jakiej gruszki się zerwałeś? – spytał.

– Czekałem tu na pana – odparł Zarniwoop tonem, jakim zwykle się załatwia interesy. Odstawił aktówkę i usiadł w fotelu obok. – Cieszę się, że działał pan zgodnie z instrukcją. Trochę się bałem, że wyjdzie pan z mojego gabinetu przez drzwi, nie przez okno. Wtedy byłyby spore kłopoty.

Zaphod nic nie rozumiejąc, potrząsnął głowami i wymamrotał coś bliżej nie określonego.

– Wchodząc do mojego gabinetu przez drzwi, wszedł pan do elektronicznie zsynchronizowanego wszechświata – wyjaśnił Zarniwoop. – Gdyby pan wyszedł przez drzwi, wyłądowałby z powrotem w realnym wszechświecie. Sztuczny jest sterowany stąd.

Zadowolony klepnął aktówkę.

Zaphod gapił się na niego z obrzydzeniem i oburzeniem.

– A na czym polega różnica?

– Na niczym. Są identyczne. No, może poza tym, że w realnym wszechświecie komandosi z żabiego desantu są chyba szarzy.

– I co teraz? – prychnął Zaphod.

– Nic szczególnego – odparł Zarniwoop.

Jego pewność siebie i samozadowolenie doprowadzały Zaphoda do szału.

– Nic szczególnego – powtórzył. – Mam współrzędne miejsca, gdzie może przebywać gość, który rządzi wszechświatem. Kiedy udało mi się dowiedzieć, że jego planeta jest osłonięta polem nieprawdopodobieństwa, to aby chronić tę tajemnicę – a także i siebie – schowałem się w zapomnianym liniowcu turystycznym w sztucznym kosmosie. Tu byłem bezpieczny. Kiedy tak czekałem, zjawił się pan i ustaliliśmy...

– ...śmy? – zapytał wściekły Zaphod. – Chcesz powiedzieć, że się znamy?

– Oczywiście. Bardzo dobrze.

– Ale nie mam gustu w doborze znajomych... – stwierdził Zaphod i popadł w nieprzeniknione milczenie.

– W każdym razie ustaliliśmy, że ukradnie pan statek z napędem nieprawdopodobieństwa – jedyny, który może dotrzeć do królestwa władcy – i przyprowadzi go tutaj. Mam nadzieję, że się udało i gratuluję. – Uśmiechnął się tak, że Zaphod najchętniej rzuciłby mu prosto w gębę cegłą. – Jeszcze jedno: proszę się nie dziwić, ale ten wszechświat został stworzony

wyłącznie po to, aby mógł pan przybyć i dlatego najważniejszy w nim jest Zaphod Beeblebrox. W realnym wszechświecie – dodał z uśmiechem, który jeszcze bardziej domagał się cegły – nigdy by pan nie przeżył wiru całkowitego zrozumienia. Idziemy?

– Dokąd? – spytał Zaphod ponuro. Czuł, że jest na dnie.

– Do pańskiego statku. Do „Serca ze Złota”. Mam nadzieję, że go pan przyniósł.

– Nie.

– Gdzie pańska marynarka?

Zaphod patrzył zaskoczony.

– Marynarka? Zdjąłem ją. Leży przed statkiem.

– Świetnie. W takim razie chodźmy po nią.

Zarniwoop wstał, dając Zaphodowi znak, by za nim poszedł.

Po wyjściu z kabiny pilotów znów usłyszeli wrzaski pasażerów, którym podawano kawę i herbatniki.

– Czekanie na pana nie było zbyt miłe – rzucił Zarniwoop.

– Niezbyt miłe?! – wrzasnął Zaphod. – Co ty sobie właściwie...?!

Otworzył się luk wejściowy. Zarniwoop uciszył Zaphoda podniesieniem palca. Parę kroków dalej leżała na rumowisku marynarka Zaphoda.

– Cóż za wyjątkowy statek... potężny statek... – rozmarzył się Zarniwoop. – Proszę tylko popatrzeć.

Patrzyli. Kieszeń marynarki nagle się wzdęła, pękła, rozerwała na kawałki. Małeńki metalowy przedmiot, który Zaphod z takim zdumieniem znalazł w kieszeni, czyli zminiaturyzowane „Serca ze Złota”, rósł. Robił się większy i większy. Po dwóch minutach statek osiągnął zwykłe rozmiary.

– Na poziomie nieprawdopodobieństwa... – stwierdził Zarniwoop – znaczy się... oj, nie wiem, w każdym razie ogromnym.

Zaphodowi kołowało się w głowach.

– Chcesz powiedzieć, że cały czas miałem go przy sobie?

Zarniwoop uśmiechnął się. Otworzył aktówkę i pstryknął przełącznikiem.

– Adieu, sztuczny wszechświecie, witaj wszechświecie prawdziwy!

Krajobraz wokół ściemniał na mgnienie oka – potem wszystko zrobiło się takie samo jak przedtem.

– Widzi pan? – spytał Zarniwoop. – Taki sam jak przedtem.

– Chcesz powiedzieć – powtórzył Zaphod z naciskiem – że cały czas miałem „Serce ze Złota” przy sobie?

– Oczywiście. Jak najbardziej. Na tym polegał dowcip.

– Dość tego! Od tej chwili możesz przestać na mnie liczyć, masz przestać brać mnie pod uwagę. Mam wszystkiego serdecznie dość! Dalej kombinuj sam.

– Mam pewne obawy, że nie może się pan wycofać – stwierdził Zarniwoop. – Utknął pan w polu nieprawdopodobieństwa. Nie można z niego uciec.

Znów uśmiechnął się tym wywołującym chęć rzucenia cegłą uśmiechem i tym razem Zaphod rzucił cegłą.

Rozdział 13

Ford Prefect wpadł jak bomba do centrali dowodzenia „Serca ze Złota”.

– Trillian! Artur! – wrzasnął. – Wszystko znów działa! Statek ma prąd!

Trillian i Artur spali na podłodze.

– Wstawać, lecimy! Już nas tu nie ma! – krzyczał, poszturchując ich nogą.

– Cześć, kochani! – zaszczębiotał komputer. – Cudownie, że znów jesteśmy razem!

Chciałbym jedynie zaznaczyć, że...

– Stul pysk – rozkazał Ford. – Mów, gdzie, do diabła, jesteśmy!

– Żaba B, co za niewiarygodne wysypisko! – wołał Zaphod, wbiegając do centrali. – Cześć, musicie być naprawdę niezwykle zadowoleni, że mnie widzicie, jeśli nie możecie znaleźć słów, by pogratulować mi, jaki ze mnie wrucet na luzie.

– Co jest gdzie? – Artur zdradzał wyraźne objawy zaćmienia umysłu.

Podniósł się z podłogi i ostatecznie przestał cokolwiek rozumieć.

– Wiem, jak się czujecie – ciągnął Zaphod. – Jestem tak fantastyczny, że wprost zapominam języka w gębie, kiedy chcę coś sam do siebie powiedzieć. Wspaniale znów was widzieć, Trillian, Ford, małpoludku... Halo, eee... komputerze...

– Witam, panie Beeblebrox. To ogromny zaszczyt dla...

– Zamknij się i wyciągnij nas stąd! Tempo! Tempo!

– Oczywiście. Chłopaki, dokąd chcecie lecieć?

– Byle gdzie!!! – wrzasnął Zaphod. – Nie, nie byle gdzie! Chcemy lecieć do najbliższego miejsca, gdzie można coś zjeść!

– Jasne – wesoło odparł komputer i centralą wstrząsnął gwałtowny wybuch.

Kiedy chwilę później drepcząc, wszedł do niej Zarniwoop z podbitym okiem, wielce zainteresowały go cztery rozwiewające się smugi dymu.

Rozdział 14

Przez wirującą ciemność leciały cztery bezwładne ciała. Goszcząca w nich świadomość zamarała, lodowate zapomnienie ściągało je coraz głębiej w otchłań niebytu. Huk panującej wokół ciszy odbijał się przerażającym echem – ciała zapadły w morze ciemnej, gorzkiej, wzburzonej czerwieni, która powoli je pochłaniała. Zdawało się, na zawsze.

Po długim jak wieczność czasie morze cofnęło się i wyrzuciło ciała na zimny, twardy brzeg. Ot – śmiecie wyrzucone przez strumień życia, wszechświata i całej reszty.

Ciałami zaczęły wstrząsać lodowate kurcze, wokół tańczyły światła, aż robiło się niedobrze. Zimny i twardy brzeg przechylił się, rozciągnął i znieruchomiał. Ciemność wokół migotała – był to wypolerowany zimny i twardy brzeg.

Zielona mgła obserwowała z dezaprobatą cztery ciała.

Odkaszlnęła.

– Dobry wieczór, madame et messieurs – zaczęła. – Czy macie państwo rezerwację?

Świadomość Forda Prefecta strzeliła jak naciągnięta gumka. Zabolał go mózg. Spojrzał, lekko jeszcze oszołomiony, na zieloną mgłę.

– Rezerwację? – spytał słabym głosem.

– Tak, monsieur – odparła zielona mgła.

– Czy do życia po śmierci trzeba mieć rezerwację?

Jeśli możliwe jest, by zielone mgły unosiły lekceważąco brew, właśnie to zrobiła zielona mgła.

– Życie po śmierci, monsieur?

Artur próbował schwycić swą świadomość, ale miał takie same szanse, jak złapać wyślizgujące się z rąk mydło.

– Czy zaczęliśmy życie po śmierci?

– Tak przypuszczam. – Ford Prefect próbował ustalić, gdzie jest góra, a gdzie dół. Dokonał eksperymentu opartego na założeniu, że góra musi znajdować się w przeciwnym kierunku niż zimny, twardy brzeg, gdzie leży, i zataczając się wstał. Miał nadzieję, że to, na

czym stoi, okaże się jego nogami. – Uważam – oznajmił, kołysząc się lekko na boki – że nie można przeżyć podobnego wybuchu.

– Nie można – potwierdził Artur. Uniósł się na łokciach, nie poprawiło to jednak jego sytuacji. Z powrotem rozciągnął się jak długi.

– Nie można – dodała Trillian, wstając. – Nie ma szans.

Z dołu dobiegł głuchy gardłowy charkot. To Zaphod Beeblebrox próbował coś powiedzieć.

– Ja na pewno nie przeżyłem – charczał. – Dostałem jak choroba. Łup! – i było po mnie.

– To twoja wina – stwierdził Ford. – Nie mieliśmy cienia szansy. Rozerwało nas na kawałki. Wszędzie leżały poodrywane ręce i nogi.

– No więc... – Zaphod z wysiłkiem stanął w pionie.

– Jeśli byliby państwo uprzejmi zamówić koktajle... – oznajmiła zielona mgła, unosząca się cierpliwie tuż obok.

– Brzdęk! Boing! – wykrzykiwał Zaphod. – W mgnieniu oka zostaliśmy rozbici na molekuly! Sie masz, Ford! – pozdrowił, rozpoznając jeden z powoli przechodzących w stan stały obłoków. – Życie przeleciało ci przed oczami jak film?

– Też to miałeś? – zdziwił się Ford. – Przeleciało ci przed oczami całe twoje życie?

– A jak? Przynajmniej wydaje mi się, że było moje, ale zastrzegam – świadomość często opuszcza moje obie czaszki.

Zlustrował znajdujące się wokół kształty, które nareszcie stały się kształtami właściwymi, a nie kształtami nieokreślonymi, trzęsącymi się i niekształtnymi.

– A więc...

– Co więc? – spytał Ford.

– A więc... leżymy martwi...

– Stoimy – poprawiła Trillian.

– No tak, stoimy martwi w tej odludnej...

– ...restauracji – skończył Artur Dent, który rzeczywiście znów stał i ku swemu wielkiemu zaskoczeniu zaczął ostro widzieć. Należy zaznaczyć, że zaskoczył go nie tyle fakt, że widział, lecz obraz, który ujrzał.

– A więc – powtarzał z uporem Zaphod – stoimy martwi w tej odludnej...

– ...pięciogwiazdkowej...

– ...restauracji.

– Przedziwna sprawa... – uznał Ford.

– Nnno... tak.

– Mimo wszystko podobają mi się kandelabry – oznajmiła Trillian.

Rozejrzeli się ze zdziwieniem.

– To chyba nie stan po śmierci – stwierdził Artur – a raczej życie po życiu...

Kandelabry rzeczywiście błyszcząły odrobinę za bardzo. Niskiego, sklepionego sufitu, z którego zwisały, w idealnym wszechświecie nie pomalowano by akurat tym odcieniem soczystego turkus, a przynajmniej nie uwypuklano by koloru ukrytymi reflektorkami. Z pewnością nie znajdowali się w idealnym wszechświecie – podkreślał to zarówno krzykliwy wzór marmurowej podłogi, jak i sposób udekorowania frontu osiemdziesięcimetrowego, zwieńczonego marmurem szynkwasu. Front osiemdziesięcimetrowego, zwieńczonego marmurem szynkwasu ozdobiony został dwudziestoma tysiącami zszytych ze sobą skórek jaszczurek mozaikowych z Antares, a ten, kto robił patchwork, uparł się, by z żadnej skóry nie wyjąć wnętrzości.

Przy barze stało w swobodnych pozach parę elegancko ubranych istot, kilka następnych relaksowało się w rozrzuconych tu i ówdzie, dopasowujących się do kształtów siedzącego, fotelach w jaskrawych kolorach. Młody oficer VI Hurgów wszedł właśnie ze swą dymiącą na zielono młodą towarzyszką w wielkie drzwi z przyciemnianego szkła, znajdujące się przy końcu baru, i wkroczył do jaskrawo oświetlonej głównej części restauracji.

Artur stał obok szerokiego zasłoniętego okna. Pociągnął za rożek zasłony i wyjrzał na martwy krajobraz, szary, ospowaty i beznadziejny, krajobraz, na widok którego w normalnych okolicznościach dostałby napadu lęku. Choć okoliczności nie były normalne, krew zamarzała mu w żyłach, a skóra na plecach postanowiła wejść w górę kręgosłupa na kark i opuścić ciało przez czubek głowy. Nie dlatego, że zobaczył krajobraz, lecz dlatego, że zobaczył niebo. Niebo było...

Lokaj w liberii grzecznie zaciągnął zasłonę.

– Wszystko w swoim czasie, monsieur.

Oczy Zaphoda błysnęły.

– Słuchać, truposze! Myślę, że brak tu czegoś ultraważnego. Ktoś właśnie o tym wspominał, ale co to było...?

Arturowi niezwykle ulżyło, że odwrócono jego uwagę od tego, na co przed chwilą patrzył.

– Mówiłem właśnie, że to raczej życie po życiu...

– Ugryź się w język! – Zaphod nie był zadowolony. – Ford?

– Ja właśnie mówiłem, że to przedziwna sprawa.

– No tak. Niby śmieszne, ale w sumie głupie. Może...

– Może – wtrąciła zielona mgła, która zdążyła się przemienić w drobnego, pokurczonego, ubranego w ciemny garnitur zielonego kelnera – może bylibyście państwo uprzejmi omawiać temat przy koktajlach...

– Koktajle! – wrzasnął Zaphod. – Właśnie! Ile to można stracić, jeśli się nie uważa...

– Oczywiście, monsieur – cierpliwie wydukał kelner. – Jeśli państwo byliby uprzejmi wypić przed obiadem koktajl...

– Obiad! – wrzasnął chciwie Zaphod. – Słuchaj, mały zielony ludziku, mój żołądek z przyjemnością wzięłby cię do siebie i pieścił co wieczór za sam pomysł.

– ...to potem – ciągnął kelner, zdecydowany nie dać się tuż przed finiszem – wybuchnie dla państwa wszechświat.

Ford odwrócił ku niemu głowę przerażająco powolnym ruchem. Był wyraźnie poruszony.

– Niesamowite... a cóż to za koktajle podajecie?

Kelner roześmiał się uprzejmym kelnerskim śmieszkiem.

– Hm, zdaje się, że monsieur raczył mnie źle zrozumieć.

– Mam nadzieję, że nie... – szepnął Ford.

Kelner chrząknął uprzejmym kelnerskim chrząknięciem.

– Zdarza się, że niektórzy nasi goście są nieco oszołomieni podróżą w czasie – wyjaśnił. – Pozwolę sobie więc zaproponować państwu...

– Podróż w czasie? – spytał Zaphod.

– Podróż w czasie? – spytał Ford.

– Podróż w czasie? – spytała Trillian.

– Chce pan powiedzieć, że to nie życie po śmierci? – zakończył Artur.

Kelner uśmiechnął się uprzejmym kelnerskim uśmieszkiem. Prawie wyczerpał swój uprzejmy kelnerski repertuarek i wkrótce będzie chyba musiał wpaść w rolę dość zgryźliwego i sarkastycznego kelnerzyny.

– Życie po śmierci, monsieur? – zdziwił się. – Nie, monsieur.

– Nie jesteśmy martwi? – nie dowierzał Artur.

Kelner zagryzł wargę.

– Jak najbardziej nie... – wycedził. – Monsieur najwyraźniej jest przy życiu, inaczej nie starałbym się obsłużyć, monsieur.

Niezwykłym gestem, którego nie ma co nawet próbować opisywać, Zaphod Beeblebrox walnął się dwoma rękami w czoła, trzecią klasnął w udo.

– Chłopaki! – wrzasnął. – Niesamowite! Udało się! Nareszcie dotarliśmy, gdzie chcieliśmy. To „Milinowa”!

– „Milinowa”? – Fordowi nazwa najwyraźniej nic nie mówiła.

– Tak, messieurs – potwierdził kelner, rzucając na szalę kilogramy cierpliwości – to „Milinowa”. Restauracja na końcu wszechświata.

– Końcu czego? – Artur był mocno zdziwiony.

– Wszechświata – powtórzył kelner bardzo wyraźnie, zupełnie niepotrzebnie artykułując każdą zgłoskę.

– Kiedy przestał istnieć? – pytał dalej Artur.

– Za parę minut, monsieur. – Kelner wziął głęboki wdech. Nie musiał tego robić, ponieważ jego ciało w niezbędną do życia mieszankę gazów zaopatrywała przymocowana do

nogi pompa infuzyjna, czasem następują jednak w życiu takie momenty, że niezależnie, jaki ma się rodzaj przemiany materii, trzeba wziąć głęboki wdech.

– Gdybyście byli państwo jednak uprzejmi zamówić koktajle – spróbował znowu – to zaprowadzę do stolika...

Zaphod wyszczerzył zęby w maniakalnym stereoskopowym uśmiechu, poszedł spacerkiem do baru i kazał sobie podać prawie wszystko, co w nim było.

Rozdział 15

Restauracja na końcu wszechświata jest jednym z najniezwyklejszych przedsięwzięć w historii gastronomii. Została zbudowana na ruinach – czy raczej – zostanie zbudowana tam, gdzie kiedyś będą ruiny... no, w każdym razie stoi.

Jednym z podstawowych problemów, występujących w trakcie podróży w czasie, nie jest możliwość zostania przypadkiem własnym ojcem lub matką. Być własnym ojcem lub matką nie jest problemem, z którym nie mogłaby poradzić sobie tolerancyjna i zgrana rodzina. Ryzyko zmiany biegu historii też nie jest problemem – bieg historii jest niezmienny, wszystko musi w niej do siebie pasować i ma niezmiennie miejsce jak w puzzlu. Każda istotna zmiana historii nastąpiła na długo przed wystąpieniem tego, co ma zmienić, w końcu więc wszystko samo składa się do kupy.

Prawdziwym problemem jest gramatyka.

Najważniejszym dziełem w tym zakresie jest podręcznik *1001 czasów dla podróżników w czasie* profesora Dana Populisty. Określa on na przykład, jak należy wyrażać to, co miało nastąpić w przeszłości, ale czego się uniknęło, skacząc w czasie dwa dni do przodu. Wydarzenie należy opisywać różnie – w zależności, czy mówi się o nim z perspektywy własnego czasu, dalszej przyszłości czy kolejnej zaprzyszłości. Dodatkową komplikacją jest możliwość omawiania tematu w trakcie podróży między dwoma czasami w celu zostania własną matką lub własnym ojcem.

Większość czytelników, nim się podda, dochodzi najwyżej do czasu przyszłego półwarunkowego modyfikowanego subzwrotnowtórno-przeszłoprzypuszczająco-celowego. W związku z tym w późniejszych wydaniach kartki za tym rozdziałem pozostawiono czyste, by zaoszczędzić na kosztach druku.

Autostopem przez Galaktykę pomija tę plątaninę akademickich abstrakcji i wzmiankuje jedynie, że pojęcie „czas przyszły wykonany” zostało zlikwidowane, ponieważ odkryto, że nic takiego nie istnieje.

Streszczając:

Restauracja na końcu wszechświata jest jednym z najniezwyklejszych przedsięwzięć w historii gastronomii.

Została zbudowana na ruinach potencjalnie zniszczonej planety, którą zamknięto w olbrzymim pęcherzu czasowym, skąd jest rzutowana w moment końca wszechświata.

Niemożliwe – powie wielu.

W restauracji goście zajmują (będą mieli zajmowane) miejsca przy stolikach i spożywają (będą mieli spożywane) drogie zestawy potraw, równocześnie się przypatrując (będąc miane przypatrywane się), jak wokół nich eksploduje dzieło stworzenia.

Niemożliwe. To jest całkiem niemożliwe – powtórzy wielu.

Można przybyć (mieć brane przybywane) bez uprzedniego (nie wstępnie biorącego) rezerwowania stolika na dowolną imprezę, ponieważ karty wstępu można zamawiać po fakcie, czyli dotarciu do własnego czasu (móc mieć zamawiane następnowo pofaktowo powrotno-swojoterminowo).

Niemożliwe, i to absolutnie – będą się upierać liczne rzesze.

W restauracji można spotkać i zaprosić do stolika (móc mieć spotykane lubo zapraszone dostolikowo) fascynujący zestaw reprezentantów wszystkich narodów zamieszkujących czas i przestrzeń.

Niemożliwe. Spokojnie da się tak stwierdzić.

Można wpadać do restauracji tak często, jak tylko dusza zapragnie (móc mieć odwiedzane wielowolnie... i tak dalej – w zakresie dalszych czasów patrz dzieło profesora Populisty) bez obaw, że kiedykolwiek spotka się siebie samego, a to z powodu powstającego zwykle w takich sytuacjach zażenowania.

Niemożliwe. Nawet gdyby wszystko poprzednie było prawdą (a nie jest), to coś takiego jest gwarantowanie niemożliwe – uznają sceptycy.

Wystarczy we własnej strefie czasowej wpłacić grosik na konto – po dotarciu do końca czasu okaże się, że mamy tyle odsetek, by móc pozwolić sobie na nieprawdopodobnie drogie pozycje menu.

Niemożliwe to mało! To ewidentnie szalone! – będą się upierać kolejne rzesze. W związku z tym spece od reklamy w systemie Bastablon wymyślili hasło: „Jeśli zrobiłeś dziś rano sześć niemożliwych rzeczy, to czemu nie zwieńczysz ich śniadaniem w «Milinowej», restauracji na końcu wszechświata?”

Rozdział 16

Przy barze Zaphod nagle zrobił się zmęczony jak traszka. Głowy zaczęły mu się objąć jedna o drugą, uśmiechy tracić synchronizację. Był w siódmym niebie.

– Zaphod – poprosił Ford – dopóki jeszcze jesteś w stanie mówić, wytłumacz mi, co, na fotony, się stało? Gdzie byłeś? Gdzie myśmy byli? Może to niezbyt istotne, ale z chęcią bym się dowiedział.

Lewa głowa Zaphoda nieco wytrzeźwiała, prawa dalej zagłębiała się w otchłań pijaństwa.

– No tak... byłem na małej wycieczce. Chcą, bym znalazł tego, kto rządzi wszechświatem, ale nie będę go szukał. Obawiam się, że nie umie gotować.

Prawa głowa spojrzała na mówiącą lewą i potaknęła.

– Oczywiście – stwierdziła. – Wypij jeszcze jednego.

Ford uznał, że niezależnie od tego, co się wydarzyło, nie będzie się niczym zbytnio przejmował. Wypił jeszcze jednego Pangalaktycznego Gardłogrzemota, drinka, którego określano alkoholowym ekwiwalentem napadu z bronią w rękę. Był podobnie kosztowny i tak samo szkodliwy dla zdrowia.

– Słuchaj, Ford – stwierdził Zaphod – wszystko jest luzowato i wrucetowo.

– Chcesz powiedzieć, że panujemy nad sytuacją?

– Nie. Nie uważam, że nad wszystkim panujemy. Nie mówiłbym wtedy „luzowato” i „wrucetowo”. Jeśli chcesz wiedzieć, co się działo, to powiedzmy, że miałem wszystko w kieszeni. Możemy na razie na tym skończyć?

Ford wzruszył ramionami.

Zaphod parsknął w szklanę. Parę kropel napoju prysnęło i zaczęło wżerać się w marmur baru.

Zbliżył się promieniejący zarem niebiański Cygan i zaczął grać na elektrycznych skrzypcach. Grał, aż Zaphod dał mu furę pieniędzy – wtedy zgodził się odejść. Podszedł do Artura i Trillian, którzy siedzieli w drugim końcu baru.

– Nie wiem, co to za miejsce – mówił Artur – ale chyba zaczynam mieć dreszcze.

– Napij się jeszcze – namawiała Trillian. – Baw się.

– Nie mogę – jedno wyklucza drugie.

– Biedny Arturze, chyba nie jesteś stworzony do tego życia...

– Ty to nazywasz życiem?

– Zaczynasz mówić jak Marvin.

– Marvin to najprzytomniejszy gość, jakiego znam. Nie wiesz, jak pozbyć się tego skrzypka?

Podszedł kelner.

– Państwa stół jest gotów – oznajmił.

Oglądana z zewnątrz (co nigdy się nie zdarza) restauracja przypomina olbrzymią błyszczącą rozgwiazdę, wyrzuconą na zapomniany skalny brzeg. W ramionach gwiazdy umieszczono bary, kuchnie, generatory pola, które chroni budowlę i znajdujący się pod nią spękany masyw planety, a także turbiny czasu, bujające wszyskim tam i z powrotem przez punkt zero.

W środku znajduje się prawie kulista, niezwyklej rozmiarów złota kopuła. W jej kierunku ruszyli Zaphod, Ford, Artur i Trillian.

Na sali rozrzucono pięć ton brokatu, który pokrywał prawie każdy skrawek powierzchni. Nie każdy, sporo bowiem płaszczyzn wyłożono szlachetnymi kamieniami, cennymi muszlami z mórz Santraginusa, płatkowym złotem, ceramicznymi płytkami, skórami jaszczurek i milionami niemożliwych do określenia ozdóbek i ornamentów. Kieliszki pobłyskiwały, srebro lśniło, złoto świeciło, Artur Dent się gapił.

– Ohohoh... – zaczął Zaphod. – Ajajaj.

– Nie do wiary... – szepnął Artur. – Ale ludzie...! Jakie rzeczy...!

– Te rzeczy – spokojnie wtrącił Ford – to również ludzie.

– Ale ludzie... – znów zaczął Artur – ale... również ludzie...!

– Ale światła...! – zachwyciła się Trillian.

– Ale stoły...! – dodał Artur.

– Ale ubrania... – skończyła Trillian.

„Ale rozmawiają jak intendenci!” – pomyślał kelner.

– Przedstawienie z końcem świata cieszy się wielką popularnością – wyjaśnił Zaphod, który lekko się zataczając, torował sobie drogę między stolikami. Jedne były z marmuru, inne z przepysznego ultramahoni, parę nawet z platyny. Wszystkie miejsca były zajęte przez grupy paplających i studiujących karty dań egzotycznych stworów.

– Ludzie lubią się stroić na tę okoliczność – ciągnął Zaphod. – Mają wtedy wrażenie, że uczestniczą w wydarzeniu kulturalnym.

Stoły były ustawione koliście, w środku znajdowała się scena. Niewielki zespół grał lekką muzykę. Artur oceniał, że na sali jest przynajmniej tysiąc stołów. Bujały się między nimi palmy, tryskały fontanny, uśmiechały groteskowe posągi – w skrócie: było tu wszystko, co

zwykle umieszcza się w szpanerskich restauracjach, oszczędzających na niewielu rzeczach w celu wywołania wrażenia, że nie oszczędzano na niczym. Artur rozglądał się błyszczącymi oczami, prawie oczekiwał, że zaraz zobaczy kogoś kręcącego reklamę American Express.

Zaphod zatoczył się na Forda, Ford odtoczył się na Zaphoda.

– Ohohoh! – zawył Zaphod.

– Ajajaj – odparował Ford.

– Pradziadek musiał naprawdę dać bobu komputerowi – uznał Zaphod. – Każę złomowi przenieść nas do pierwszego lepszego miejsca, gdzie można coś zjeść. Wysła nas na koniec wszechświata. Przypomnij mi, bym kiedyś powiedział maszynie coś miłego.

Zrobił krótką przerwę.

– Rany, wszyscy tu są! Każdy, kto kiedykolwiek był kimś!

– Był? – zdziwił się Artur.

– Na końcu wszechświata należy używać czasu przeszłego – wyjaśnił Zaphod – ponieważ jest po wszystkim, rozumiesz? Cześć, chłopaki! – zawołał do siedzącej przy sąsiednim stoliku grupy legwanów olbrzymich. – Jak leciało?

– Czy to nie przypadkiem Zaphod Beeblebrox? – spytał legwan legwana.

– Chyba tak – odparł drugi legwan.

– Czy to nie szczyt?! – Legwan numer jeden był oburzony.

– Życie to śmieszna rzecz... – oświadczył legwan numer dwa.

– Zależy, co się z nim robi... – oznajmił pierwszy i oba popadły w milczenie. Czekwały na największe przedstawienie we wszechświecie.

– Hej, Zaphod! – zaczął Ford, wyciągnął rękę, by złapać przyjaciela za ramię i (z powodu trzeciego Pangalaktycznego Gardłogrzemota) nie trafił. Trzęsącym się palcem pokazywał w bliżej nieokreślonym kierunku. – Siedzi tam mój stary kumpel! Hotblack Desiato! Widzisz gościa w platynowym ubraniu przy stoliku z platyny?

Zaphod próbował powieść wzrokiem za palcem Forda, ale zaczęło mu się od tego tylko kręcić w głowach. W końcu zauważył jegomościa.

– Nno... tak – bąknął, zaraz coś mu się jednak przypomniało. – Rany! Ten gość stał się magamocny! W morde, bardziej mocny niż wszechmocny! Nie to co ja...

– Kto to? – spytała Trillian.

– Hotblack Desiato? – Ze zdziwieniem zmarszczył brwi Zaphod. – Nie wiesz? Nie słyszałaś o „Strefie Zniszczenia”?

– Nie.

– To największy... – zaczął wyjaśniać Ford – najgłośniejszy...

– ...najbogatszy... – zaproponował Zaphod.

– ...zespół rockowy w historii... – Ford zastanawiał się nad odpowiednim słowem.

– ...w ogóle w całej historii – skończył za niego Zaphod.

– Gadasz... – wątpiła Trillian.

– Niesamowite! – zawołał Zaphod. – Co z tego, że siedzimy na końcu wszechświata, jeśli jeszcze nigdy nie posmakowałaś prawdziwego życia? Sporo straciłaś...

Poszli w kierunku stołu, przy którym ciągle czekał kelner. Artur ruszył za nimi – czuł się zagubiony i samotny.

Ford zaczął brnąć przez tłum, by odnowić starą znajomość.

– Cześć, Hotblack! – wrzasnął. – Jak leci? Miło cię znów widzieć, grubasku! Jak robienie hałasu? Wyglądasz fantastycznie, naprawdę bardzo tłusto i niezdrowo. Wspaniale! – Klepnął siedzącego w plecy, niezłe zaskoczony, że nie jest w stanie wyciągnąć z niego żadnej odpowiedzi. Pangalaktyczne Gardłogrzmoty, które przelewały mu się w brzuchu, podpowiadały jednak, by bablał dalej jakby nigdy nic. – Pamiętasz stare czasy? – pytał dalej. – Jak włóczyliśmy się, gdzie tylko było można? Jak siedzieliśmy w „Bistro Nielegal”? W „Imperium Łykania” Slima? Pamiętasz rzygodrom „Bimborama”? To były czasy, nie?

Hotblack Desiato nie wyraził opinii, czy czasy były wspaniałe, czy nie. Fordowi jego milczenie nie przeszkadzało.

– A pamiętasz, jak udawaliśmy inspektorów sanepidu, kiedy nie mieliśmy co jeść? Jak chodziliśmy rekwirować jedzenie i picie, aż się zatruliśmy? A te noce spędzone na rozmowach i popijawach w zatęchłych pokojach nad „Cafe Lou” w Niewinnowie w Nowym Betelu, gdzie bez przerwy grałeś na swojej chitarze, próbując komponować piosenki, które wszyscy uważali za okropne? Mówiłeś, że ci to nie przeszkadza, na co zawsze odpowiadaliśmy, że nam tak, bo to dla nas są okropne. – Fordowi oczy zaczęły zachodzić mgłą. – Twierdziłeś, że nie chcesz być gwiazdą – nurzał się we wspomnieniach – ponieważ system gwiazdorski jest do de, myśmy zaś – znaczy się, Hadra, Sulijo i ja – twierdzili, że nie masz wyboru. I co teraz? Kupujesz całe konstelacje gwiazd!

Ford odwrócił się nieco w bok, próbując ściągnąć na siebie uwagę ludzi przy sąsiednich stolikach.

– Patrzcie! – perorował. – Oto człowiek, który kupuje całe konstelacje gwiazd!

Hotblack Desiato nie podjął najmniejszej próby potwierdzenia ani zdementowania czegokolwiek i zainteresowanie otoczenia zanikło.

– Myślę, że ktoś się trochę upił – wymamrotała w swój kieliszek purpurowa, przypominająca krzak istota.

Ford nieco się zatoczył i ciężko padł na krzesło naprzeciw Hotblacka Desiato.

– Jak brzmi ta twoja piosenka? – Lekkomyślnie spróbował przytrzymać się butelki, ale ją przewrócił. To, co się z niej wylało, przypadkowo poleciało do stojącego obok kieliszka. By nie zmarnować tak szczęśliwego zbiegu okoliczności, Ford wlał zawartość kieliszka do gardła. – Ten niesamowity numer – ciągnął – jak on idzie? Bwamm! bwamm! badadaaaa!... czy coś w tym stylu, a na koncercie statek kosmiczny uderza w środek słońca!

Ford huknął prawą pięścią w lewą dłoń, by zilustrować omawianą brawurową scenografię. Znów przewrócił butelkę.

– Rakieta! W słońce! Wummm, bummm! – krzyczał. – Lasery itepe to szmelc, wyście wymyślili prawdziwe wybuchy na słońcu i palenie się w jego wnętrzu! Ojej, do tego te okropne piosenki...

Ford skoncentrował wzrok na wypływającej z butelki na stół strużce płynu. Pomyślał, że trzeba z nią coś zrobić.

– Koleś, chcesz drinka? – zapytał. Powoli docierało do jego zapitego umysłu, że czegoś w tej rozmowie brakuje. Miało to związek z faktem, że siedzący naprzeciw w garniturze i kapeluszu z platyny grubas nie powiedział ani „Cześć, Ford”, ani „Miło cię spotkać po tylu latach”, ani nic innego. Tak naprawdę to od początku nawet nie drgnął.

– Hotblack? – spytał Ford.

Na ramieniu wylądowała mu wielka, mięsista łapa i zaczęła odpychać go na bok. Ford zsunął się mało eleganckim ruchem z krzesła i wywalił gały w górę, by sprawdzić, czy nie uda mu się wypatrzeć właściciela niegrzecznej dłoni. Biorąc pod uwagę, że miał on jakieś dwa metry dziesięć wzrostu i nie był drobnej budowy, okazało się to w miarę łatwe. Właściwie był zbudowany jak skórzana kanapa – błyszcząca, masywna skórzana kanapa z mnóstwem wypełniającego ją materiału. Garnitur opinający ciało mężczyzny sprawiał wrażenie, że jedynym celem jego istnienia jest pokazanie, jak ciężko wbić takie ciało w garnitur. Twarz mężczyzny przypominała skórkę pomarańczy i miała kolor jabłka, na tym wyczerpywały się jednak skojarzenia z czymś słodkim.

– Chłopaczku... – rozległ się głos, którego ton sugerował, że przeszedł niejedno w głębi klatki piersiowej.

– Tak, słucham? – spytał Ford, jakby rozpoczynał zwykłą konwersację. Zataczając się nieco, wstał. Był rozczarowany, jak nisko sięga jego głowa.

– Spadaj!

– Słucham? – Ford dziwił się samemu sobie, jak sprytnie zabiera się do rzeczy. – Kim pan jest?

Mężczyzna przez chwilę się zastanawiał. Nie był przyzwyczajony, by zadawano mu podobne pytania, ale po chwili raczył odpowiedzieć.

– Jestem facetem, który każe ci spadać. Zrób to, nim spadnie ci głowa.

– Posłuchaj... – Ford nie miałby nic przeciwko temu, by się nieco uspokoić i zacząć panować nad sytuacją. – Posłuchaj. Jestem jednym z najstarszych przyjaciół Hotblacka...

Patrzył na Hotblacka, który jeszcze nawet nie mrugnął.

– ...a... – Ford z chęcią by się dowiedział, jakie słowo byłoby najlepsze po tym „a”.

Olbrzym wypowiedział całe pasujące do „a” zdanie.

– A ja jestem gorylem pana Desiata. Jestem odpowiedzialny za jego ciało, a za twoje nie. Zabierz je więc stąd, zanim stanie mu się coś złego.

– Czekać chwilę! – spróbował Ford.

– Nie będzie żadnego czekania! – huknął goryl. – Ani żadnych chwil! Pan Desiato z nikim nie rozmawia!

– Może pozwolisz mi powiedzieć, co o tym sądzi?

– Nie rozmawia z nikim!

Ford rzucił niepewnie okiem na Hotblacka i chcąc nie chcąc, musiał pogodzić się z faktem, że goryl ma mocniejsze argumenty. Muzyk w dalszym ciągu nie zrobił najmniejszego ruchu, cóż dopiero mówić o objawieniu żywego zainteresowania samopoczuciem Forda...

– Dlaczego? Co mu się stało?

Goryl odpowiedział.

Rozdział 17

Autostopem przez Galaktykę mówi, iż „Strefa Zniszczenia”, plutonowy zespół rockowy z duchowych stref Gagrakaki jest nie tylko najgłośniejszą grupą rockową Galaktyki, lecz produkuje najgłośniejszy możliwy do wytworzenia we wszechświecie hałas. Bywalcy koncertów twierdzą, że brzmienie grupy jest najbardziej harmonijne, jeśli słucha się ich muzyki w betonowych bunkrach, oddalonych około pięćdziesięciu dziewięciu kilometrów od sceny. Na koncertach muzycy obsługują instrumenty za pomocą zdalnego sterowania z dobrze wygłuszonego statku kosmicznego, krążącego wokół planety. Zazwyczaj innej planety.

Piosenki mają dość proste i skonstruowane według znanego schematu: istota-chłopiec spotyka w świetle srebrnego księżyca istotę-dziewczyne, księżyc z bliżej nie wyjaśnionych przyczyn wybucha.

Wiele światów wprowadziło zakaz występów grupy – niektóre z powodów artystycznych, większość jednak dlatego, że stosowane przez „Strefę Zniszczenia” wzmacniacze są niezgodne z ograniczeniami w zakresie broni strategicznych.

Nie zmniejszyło to w żadnym stopniu dochodów muzyków z tantiem za odkrycia rozszerzające granice czystej hipermatematyki, a kierownik działającej przy zespole grupy badawczej niedawno otrzymał tytuł profesora neomatematyki na Uniwersytecie Maximegalońskim w uznaniu ogólnej i specyficznej teorii zwrotów podatków na rzecz zespołu „Strefa Zniszczenia”, w których dowodzi, że czasoprzestrzeń nie tylko jest wygięta, ale całkowicie pokręcona. Ford zataczając się wrócił do stolika, przy którym Zaphod, Artur i Trillian siedzieli i czekali, aż zacznie się zabawa.

- Koniecznie muszę coś zjeść – stwierdził.
- Hej, Ford, rozmawiałeś z hałasiarzem? – spytał Zaphod.
- Ford niezobowiązująco ni to pokiwał, ni to pokręcił głową.
- Z Hotblackiem? Tak jakby, tak...
- I co mówi?
- Hm, niewiele... jest... eee...

– Tak?

– Od roku ze względów podatkowych udaje trupa. Muszę usiąść.

Usiadł.

Podszedł kelner.

– Rzuć państwo okiem na kartę dań, czy wolą, bym przyprowadził i przedstawił danie dnia?

– Co? – spytał Ford.

– Co? – spytał Artur.

– Co? – spytał Trillian.

– To mi się podoba! – wrzasnął Zaphod. – Sto pytań do kotleta!

W małym pokoiku, znajdującym się w jednym z ramion kompleksu restauracyjnego, siedziała wysoka, chuda, tykowata postać. Odsunęła firankę i w twarz zajrzało jej Zapomnienie.

Twarcz nie grzeszyła urodą – może dlatego, że już tyle razy zaglądało w nią Zapomnienie. Była pociągła i to aż nadto, zamglone oczy nieco za bardzo się zapadły, policzki zbyt mocno wychudły, a wargi były zbyt cienkie i wąskie. Kiedy usta się otwierały, widok przywodził na myśl źle umyte okno. Także trzymające firankę dłonie były długie i szczupłe, w dodatku zimne. Palce dotykały fałd materiału w sposób, który dziwnie sugerował, że jeśli ich właściciel przestanie przyszpilać je wzrokiem, to odpełzną i zrobią w jakimś kącie coś niewyobrażalnego.

Postać puściła zasłonkę, a igrające wokół jej rysów obrzydliwe światło uciekło, by igrać na czymś zdrowszym. Zaczęła się ciskać po pokoiku jak modliszka, szykująca się do wieczornej modlitwy, w końcu spoczęła na krzywym krześle stojącym obok zbitego prymitywnie z desek stołu i zabrała się za przeglądanie zeszyków z dowcipami.

Zadzwonił dzwonek.

Postać odsunęła na bok kupkę papierów i wstała. Słabosilnie przeciągnęła dłońmi po paru z miliona tęczyowych cekinków, którymi miała wyszytą marynarkę, i wybiegła z pokoju.

Światła w restauracji przygasły, zespół zaczął grać nieco zwawiej, samotny reflektor wydobył z ciemności prowadzące na sam środek sceny schody. Po schodach podskakując wchodziła skrzęca się jaskrawymi kolorami postać. Wskoczyła na scenę, drobnymi kroczkami zbliżała się do mikrofonu, zdjęła go ze statywu umiejętnym ruchem długiej, chudej dłoni i przez chwilę kłaniała się na prawo i lewo, przyjmując z wdzięcznością aplauz i prezentując publiczności okienko z zębów. Pomachała siedzącym wśród widzów przyjaciom (choć nikogo takiego nie było) i zaczęła czekać, aż aplauz ucichnie.

Uniosła dłoń i uśmiechnęła się – uśmiech nie tylko sięgał od ucha do ucha, zdawał się rozciągać poza granice twarzy.

– Bardzo dziękuję, panie i panowie! – zawołała postać. – Bardzo serdecznie dziękuję! Dziękuję, dziękuję!

Patrzyła na publiczność błyszczącymi oczami.

– Panie i panowie, wszechświat, jakim go znamy, istnieje już sto siedemdziesiąt milionów bilionów lat i skończy się za niecałe pół godziny. Dlatego witamy wszystkich w „Milinowej”, restauracji na końcu wszechświata!

Wytrenowanym doskonale głosem wydusił z widzów wybuch spontanicznych oklasków. Kolejnym gestem je uciął.

– Dziś wieczór mam zaszczyt być waszym gospodarzem. Nazywam się Max Quordlepleen – to nazwisko znano w całej Galaktyce, wymienił je teraz ze względu na aplauz, który wywoływał, choć reagował nań machnięciami ręką i uśmiechami typu „ależ nie trzeba...” – i pędzę właśnie z przeciwległego końca czasu, gdzie prowadziłem wielkie przedstawienie w barze „Pod Wielkim Wybuchem”. Wieczór był tam cudowny, teraz jednak, panie i panowie, przez całe dzisiejsze podniecające wydarzenie będę z wami! Wspólnie przeżyjemy koniec historii!

Znow wybuchł aplauz, kiedy jednak światła jeszcze bardziej przygasły, szybko zamarł. Na wszystkich stołach samoczynnie zapaliły się świece. Goście westchnęli w zachwycie – poruszyło to płomyki i obecni zostali otoczeni tysiącami migoczących światełek i milionem tajemniczych cieni. Kiedy wielka złota kopuła nad głowami zaczęła gubić kontury, ciemnieć, zanikać, przez restaurację przebiegło podniecone drzenie.

Głos Maxa był bardzo łagodny.

– A więc, panie i panowie, świece zapłonęły, zespół cicho przygrywa i kiedy patrzę, jak chroniona polem siłowym kopuła staje się przezroczysta i ukazuje ciemne, nieprzeniknione niebo, obsypane prastarymi światłami napęczniałych ołowiowym ciężarem gwiazd, rośnie we mnie przekonanie, że przeżyjemy dziś wspaniałą apokaliptyczny wieczór!

Zamilkło nawet łagodne pobrzękiwanie instrumentów...

Tych, którzy jeszcze nigdy nie przeżywali zbliżającego się przedstawienia, ogarnęło oszołamiające przerażenie.

Obecnych zalało wstrętne, przerażające światło.

Okropne światło.

Pulsujące, paskudne światło.

Światło, które zeszpeciłoby nawet piekło.

Wszechświat zbliżał się do końca. Przez kilka nie kończących się sekund restauracja krążyła w oszalałej pustce. Ponownie zabrzmiał głos Maxa.

– Tym, którzy przez całe życie mieli nadzieję, że przynajmniej raz ujrzą światło w tunelu – zapał – mówię: oto ono!

Zespół znowu zaczął przygrywać.

– Dziękuję, panie i panowie! – krzyknął Max. – Za chwilę do was wracam. Pozostawiam was w fachowych dłoniach Rega Zerofaxa i jego combo „Cataclismo”. Panie i panowie, proszę o gorące oklaski dla Rega i jego chłopców!

Przerażające szaleństwo na niebie trwało bez ustanku.

Publiczność zaczęła z wahaniem klaskać, powoli wracały normalne rozmowy. Max chodził między stolikami, rzucał dowcipami, pękał ze śmiechu, zarabiał na życie.

Do stołu Zaphoda Beeblebroxa i reszty zbliżało się ogromne dojne zwierzę, olbrzymi, tłusty, mięsisty czworonóg z podrodziny *bovinae*. Mówiąc inaczej – przedstawiciel bydła domowego. Zwierzę miało wielkie bładoniebieskie oczy, krótkie rogi, na jego wargach gościło coś na kształt ujmującego uśmiechu.

– Dobry wieczór – zamuczało zwierzę, siadając ciężko na zadek. – Jestem daniem dnia. Czy mogłoby mi zainteresować państwo niektórymi moimi częściami? – Zwierzę lekko beknęło, z gardła wydobył mu się cichy bulgot, ułożyło wygodniej tylną część ciała i zaczęło się przyjacielsko wpatrywać w siedzących przy stoliku.

Spojrzenie zwierzęcia wywołało w Arturze i Trillian mieszaninę zdziwienia i przerażenia, u Forda spowodowało wzruszenie ramion, u Zaphoda Beeblebroxa dziki głód.

– Może kawałek łopatki? – zaproponowało zwierzę. – Duszonej w sosie z białym winem?

– Eee... twojej łopatki? – z przerażeniem wyszeptał Artur.

– Oczywiście, że mojej, proszę pana – odmuczało zadowolone zwierzę. – Nie ośmieliłoby mi się oferować niczyjej innej.

Zaphod już stał przy zwierzęciu i z miną znawcy ugniatał i oklepywał mu łopatkę.

– Mam świetną ogonówkę – wymamrotało zwierzę. – Ciagle ruszałem ogonem i jadłem mnóstwo paszy treściwej, mam więc gdzie trzeba dużo świetnego mięsa. – Znów przyjacielsko beknęło. Odbiło mu się trawą, którą zaczęło przeżuwać. Po chwili przeżuło i połknęło.

– A może gulasz?

– Myślisz, że to zwierzę, naprawdę chce, byśmy je zjedli? – szeptem spytała Forda Trillian.

– Ja nic nie myślę – odparł Ford. Jego oczy wyglądały jak kawałki szkła.

– To, okropne! – zawołał Artur. – Jeszcze nigdy w życiu nie miałem do czynienia z czymś tak obrzydliwym!

– Co jest, Ziemiaku? – zdziwił się Zaphod, który skierował uwagę na olbrzymi ogon zwierzęcia.

– Nie zamierzam jeść zwierzęcia, które mnie do tego namawia – odparł Artur. – To nieludzkie!

– Wolisz jeść zwierzę, które nie chce zostać zjedzone? – zdziwił się Zaphod.

– Nie o to chodzi – zaprzeczył Artur, zaraz jednak się zastanowił. – W porządku – stwierdził po chwili – może i chodzi, ale mało mnie to interesuje. Nie zamierzam wgłębiać się w taką pseudofilozofię. Po prostu nie... eee...

Wszechświat szalał w górze, walcząc na śmierć i życie.

– Wezmę chyba sałatę... – wymamrotał Artur.

– A może spojrzą państwo nieco łaskawszym okiem na moją wątrobę? – zapytało zwierzę. – Powinna być już smaczna i delikatna. Miesiącami się tuczyłem.

– Poproszę sałatę – stwierdził Artur dobitnie.

– Sałatę? – spytało zwierzę, przewracając z niezadowoleniem oczami.

– Chcesz mi może dać do zrozumienia, że mam nie jeść sałaty?

– Właściwie to znam wiele warzyw, które mają na temat bycia jedzonym jednoznaczną opinię. Dlatego też postanowiono rozwiązać ów skomplikowany problem raz na zawsze i wyhodować zwierzę, które naprawdę chce być jedzone i umie wyraźnie to powiedzieć. Efektem zabiegów hodowlanych jestem ja.

Zwierzęciu udało się wykonać lekki ukłon.

– Poproszę szklankę wody – zaordynował Artur.

– Słuchaj no – przerwał mu Zaphod – chcemy coś zjeść, a nie napychać sobie brzuchy problemami. Poproszę cztery lekko wysmażone steki i, jeśli można, duchem! Nie jedliśmy od pięciuset siedemdziesięciu sześciu miliardów lat!

Zwierzę dość niepewnie wstało. Wydało z siebie przyjazny bulgot.

– Bardzo rozsądny wybór, proszę pana, jeśli mogę tak powiedzieć. Doskonały. Już pędzę się zastrzelić. – Zwierzę odwróciło się, zdążyło jednak przyjaźnie mrugnąć do Artura. – Niech się pan nie denerwuje, zrobię to możliwie najbardziej humanitarnie.

Wolno poczłapało w stronę kuchni.

Parę minut później kelner przyniósł cztery olbrzymie parujące steki. Zaphod i Ford rzucili się na nie bez zastanowienia. Trillian chwilę się wahała, w końcu wzruszyła ramionami i zabrała się za swój.

Artur gapił się w talerz i robiło mu się niedobrze.

– Hej, Ziemiaku, co cię zżera? – spytał Zaphod ze złośliwym uśmiechem na tych ustach, które właśnie nie były zajęte pochłanianiem mięsa.

Zespół grał dalej.

Ludzie i przedmioty w restauracji odprężyli/ły się i zaczęli/ły szczebiotać. Zewsząd słyhać było gwar rozmów o tym i owym, wokół unosiły się najróżniejsze zapachy egzotycznych roślin, ekstrawaganckich potraw i podstępnych win. Wszechkatastrofa rozciągała się nieskończenie daleko w każdą stronę i zbliżała do oszałamiającego apogeum. Max spojrział na zegarek i, tryskając humorem, wrócił na scenę.

– A teraz, panie i panowie! – promieniał. – Czy ten ostatni raz świetnie się bawicie?

– Tak!!! – zawołali ci, którzy krzyczą „tak!!!” za każdym razem, gdy komik pyta, czy świetnie się bawią.

– To cudownie! – piał Max. – Absolutnie cudownie! Kiedy fotonowe burze skłębią się nad nami w wirujące chmury, by rozerwać na kawałki ostatnie czerwone, parzące słońce, wtedy niech wszyscy wygodnie usiądą i cieszą się wraz ze mną tym, co z pewnością dla każdej/go obecnej/go osoby/przedmiotu będzie przeżyciem niezwykle podniecającym i niepowtarzalnym.

Zawiesił głos. Jego błyszczące oczy hipnotyzowały publiczność.

– Proszę mi wierzyć, panie i panowie, tym razem nie będzie niczego przedostatniego!

Znów zawiesił głos. Dziś wieczór wszystko idealnie zgrał w czasie. Wieczność za wiecznością prowadził to przedstawienie, wieczór w wieczór, choć pojęcie „wieczór” nie ma na końcu czasu zbyt wielkiego znaczenia. Istnieją jedynie nie kończące się powtórki momentu, w którym restauracja przechodzi przez koniec czasu – i wkrótce wraca. Dzisiejszy „wieczór” był mimo to dobry, publiczność wiała się w chorowitych dłoniach konferansjera. Zniżył głos. Wszyscy musieli się mocno wsłuchiwać, by go usłyszeć.

– Oto naprawdę ostateczny moment, ostateczna lodowata beznadziejność, w której zapada się majestatyczny rozmach stworzenia. Oto, panie i panowie, koniec.

Jego głos jeszcze ścichł. W panującej ciszy nie ważyłaby się odchrząknąć nawet mucha.

– Potem – mówił – będzie nicość. Pustka. Cisza. Zapomnienie. Nie będzie absolutnie niczego...

Znów pojawił mu się w oku błysk – a może mrugnął?

– Niczego... oczywiście z wyjątkiem naszego wózecka ze słodyczami i zestawem wybornych aldebarańskich likierów!

Zespół zagrał pasujący do sytuacji tusz. Max wolałby, by dali sobie spokój – artysta jego klasy nie potrzebował pomocy! Sam umiał grać na publiczności jak na instrumencie. Roześmiał się z ulgą. Szedł za ciosem.

– Tym razem nie musicie się bać, że jutro przywita was kacem, ponieważ nie będzie żadnego jutra! – zawołał wesoło.

Promieniał do szczęśliwej, roześmianej publiczności. Jak każdego wieczora, gdy odwalał swój wyświechtany numer, spojrzał ku niebu, ale potrwało to jedynie ułamek sekundy. Polegał na niebu, że spełni swój obowiązek – tak zawodowiec polega na zawodowcu.

– A teraz – zagrzmiał, stąpając po scenie – choć liczę się z niebezpieczeństwem, że nieco popsuję państwu wspaniały nastrój katastrofizmu i beznadziei, chciałbym powitać kilku gości.

Wyciągnął z kieszeni kartonik.

– Czy jest dziś z nami... – podniósł rękę, by powstrzymać okrzyki – czy jest z nami grupa z klubu brydzowego z Zansellkwazara Flamarion, położonego za próżniowymi wirami Quarne? Jesteście z nami?

Całkiem z tyłu wybuchł aplauz, Max udawał jednak, że nic nie słyszy. Rozglądał się, próbując dojrzeć brydżystów.

– Jesteście z nami? – spytał ponownie, by wyciągnąć ze słuchaczy jeszcze głośniejsze objawy zachwytu.

Jak zwykle je wyciągnął.

– No tak, są. A więc, chłopcy, otwierajcie ostatnie licytacje i nie oszukujcie. Pamiętajcie, chwila jest uroczysta.

Chcicie wchłonąć śmiechy ze swego dowcipu.

– Czy jest z nami... czy jest... grupa pomniejszych bóstw mieszkających w przedsionkach Asgardu, niebiańskiego pałacu nordyckich bogów?

W głębi sali po prawej stronie Maxa rozległo się dudnienie grzmotu. Przez scenę przeleciała błyskawica. Grupa strasznie zadowolonych z siebie zarośniętych osobników w hełmach wzniosła w stronę sceny toast.

„Dowcipy z brodą” – pomyślał Max.

– Tylko uważajcie na swe młoty! – rzucił w ich stronę.

Ponownie pochwalili się sztuczką z błyskawicą. Max uśmiechnął się do nich, mocno zaciskając usta.

– Po trzecie – ciągnął – po trzecie, grupa młodych konserwatystów z Syriusza B. Jesteście z nami?

Grupa szykownie ubranych młodych psów przestała obrzucać się bułkami i zaczęła rzucać bułkami na scenę. Warczały i szczekały zupełnie niezrozumiale.

– Oczywiście – skarcił je Max – to wyłącznie wasza wina, chyba zdajecie sobie z tego sprawę?

Uciszył publiczność i przybrał uroczystą minę.

– A na koniec, zdaje mi się, mamy grupę pobożnych wiernych, bardzo gorliwych wiernych z Kościoła Powrotu Wielkiego Proroka Zarkwona.

Było ich około dwudziestu. Siedzieli z prawej strony, na samym końcu sali, byli ubrani dość ascetycznie, nerwowo popijali wodę mineralną i nie poddawali się ogólnie panującej wesołości. Kiedy skierowano na nich reflektor, zaczęli ze złością mrugać.

– Oto oni. Siedzą i cierpliwie czekają. Obiecał, że wróci, ale każe im długo na siebie czekać. Miejmy więc nadzieję, iż nieco się pospieszy, bo zostało osiem minut!

Zwolennicy Zarkwona siedzieli sztywno i starali się nie wzruszać uderzającymi w nich falami niezyczliwego śmiechu.

Max poskromił publiczność.

– Naprawdę, moi drodzy, bądźmy poważni, nikt nie chce nikogo obrazić. Wiem, że nie należy się śmiać z przekonań religijnych, proszę więc o serdeczny aplauz dla Wielkiego Proroka Zarkwona!

Publiczność zaczęła klaskać.

– Niezależnie od tego, gdzie teraz jest!

Posłał siedzącym z kamiennymi twarzami zarkwonistom buziaka i wrócił na środek sceny. Usiadł na wysokim barowym stołku.

– Cudownie widzieć dziś tyłu z was – papłał. – Nie mam racji? Absolutnie cudownie. Wiem, wielu tu często wraca i uważam, że jest czymś naprawdę wspaniałym obejrzyć ostateczny koniec, a potem wrócić do własnej epoki... założyć rodzinę, walczyć o nowe, lepsze struktury społeczne, prowadzić okrutne wojny o ważne dla siebie sprawy... to napawa wiarą w lepszą przyszłość. Oczywiście poza tym – zamachał ręką w stronę piekielnego hałasu, który szalał w górze – że wiemy, iż nie ma przyszłości...

Artur odwrócił się w stronę Forda. Jeszcze nie do końca pojmował, gdzie jest.

– Słuchaj – spytał – jeśli wszechświat zaraz się skończy... to nie umrzemy razem z nim?

Ford rzucił mu spojrzenie typowe dla stanu po trzech Pangalaktycznych Gardłogrzmotach. Innymi słowy dość niepewne.

– Nie – odparł. – Póki siedzi się w tej speluncie, jest się w czymś na kształt fantastycznie opancerzonego bąbla czasowego. Przynajmniej tak mi się wydaje.

– Aha... – stwierdził Artur. Skoncentrował uwagę z powrotem na wazie zupy, którą miał nadzieję wyłudzić od kelnera zamiast steku.

– Popatrz – spróbował Ford – pokażę ci.

Wziął ze stołu serwetkę i beznadziejnie zaczął się w nią zaplątywać.

– Uważaj, wyobraź sobie, że ta serwetka – nie – to kontinuum czasu – nie? – a ta łyżka to tryb transdukcijny w krzywej materii...

Wypowiedzenie tyłu trudnych słów zajęło Fordowi sporo czasu. Artur z nawyku nie przerywał.

– To łyżka, którą właśnie jem – nie wytrzymał.

– W porządku – odparł Ford. – Wyobraź sobie więc, że... – na tacy z sosami znalazł drewnianą łyżeczkę – że ta łyżka... – chwycenie jej okazało się jednak zbyt skomplikowane – nie, lepiej ten widelec...

– Zostaw w spokoju mój widelec – burknął Zaphod.

– W porządku, dobrze, nie ma sprawy – zgodził się Ford. – Może więc założymy, że ten kieliszek to kontinuum czasu..

– Ten, który właśnie zrzuciłeś?

– Zrzuciłem coś?

– Oczywiście.

– W porządku, nie mówmy o tym. A więc... znaczy się... uważaj... tego... wiesz w ogóle, jak powstał wszechświat?

– Chyba nie – odparł Artur, żalując, że zaczął tę idiotyczną rozmowę.

– W porządku – powtórzył Ford. – Wyobraź to sobie tak. Bierzesz wannę, nie? Okrągłą wannę do kąpieli. Z hebanu.

– Z czego? – zdziwił się Artur. – Przecież „Harrodsa” zniszczyli Vogoni.

– Nieważne.

– Zawsze tak mówisz.

– Słuchaj!

– Słucham.

– Bierzesz więc wannę, nie? Wyobraź sobie, że masz wannę. Z hebanu. W kształcie stożka.

– Stożka? – zdziwił się Artur. – Jaka wanna ma kształt stożka?

– Ciii! – syknął Ford. – W kształcie stożka. Teraz napełniasz ją drobnym białym piaskiem, w porządku? Albo cukrem. Drobnym białym piaskiem z cukrem albo samym cukrem. Wszystko jedno. Obojętne. Cukier jest świetny. Kiedy będzie pełna, wyciągasz korek... słuchasz mnie?

– Słucham.

– Wyciągasz korek i wszystko wirując wylatuje – nie? – wirując wylatuje przez odpływ na dole.

– Rozumiem.

– Nie możesz. Absolutnie nie możesz. Nie powiedziałem jeszcze nic o związanej z tym sprytniej sztuczce. Opowiedzieć ci o sprytniej sztuczce?

– Opowiedz o sprytniej sztuczce.

– Już opowiadam ci o sprytniej sztuczce.

Ford przez chwilę się zastanawiał, próbując przypomnieć sobie, na czym właściwie polegała sprytna sztuczka, o której mówi.

– Sprytna sztuczka – zaczął – jest prosta. Filmujesz wszystko.

– Sprytnie – zgodził się Artur.

– Bierzesz kamerę i wszystko filmujesz.

– Sprytnie.

– To jeszcze nie sprytna sztuczka. Sprytna sztuczka polega na tym, już sobie przypomniałem, sprytna sztuczka polega na tym, że puszczasz wszystko... od tyłu.

– Od tyłu?

– Tak jest. Puszczanie filmu od tyłu jest bardzo sprytną sztuczką. Siedzisz sobie, przyglądasz się, a piasek czy cukier zdaje się wlatywać przez odpływ i wypełniać wannę. Rozumiesz?

– W ten sposób powstał wszechświat?

– Nie – odparł Ford – ale to świetna zabawa.

Sięgnął po kieliszek z winem.

– Gdzie mój kieliszek? – zdziwił się.

– Na podłodze.

– Aha...

Kiedy Ford cofał krzesło, by poszukać kieliszka, zderzył się z zielonym kelnerem, który właśnie niósł do ich stolika telefon.

Ford przeprosił kelnera wyjaśniając, iż zderzył się z nim tylko dlatego, że jest potwornie pijany.

Kelner odparł, że nic się nie stało i w pełni go rozumie.

Ford podziękował mu za wyrozumiałość, spróbował pociągnąć go za loczek nad czołem, złapał powietrze dwadzieścia centymetrów obok i zsunął się pod stół.

– Monsieur Zaphod Beeblebrox? – spytał kelner.

– Eee... słucham? – odparł Zaphod, podnosząc wzrok znad trzeciego steku.

– Telefon do pana.

– Że co?

– Telefon, monsieur.

– Do mnie? Tutaj? Kto może wiedzieć, że tu jestem?

Jeden mózg Zaphoda zaczął się gorączkowo zastanawiać, drugi w dalszym ciągu z rozmarzeniem kontemplował jedzenie, które przynależna doń głowa nieustająco wpychała sobie do ust.

– Pozwolisz, że będę kontynuować? – spytała jedząca głowa myśląca, nie przerywając jedzenia.

Zaphod już sam nie wiedział, ilu goni go ludzi. Nie trzeba było zjawiać się tak ostentacyjnie. Ale właściwie to dlaczego nie, do diabła? Jak człowiek ma czuć, że świetnie się bawi, jeśli nikt nie patrzy?

– Może ktoś stąd dał cynk policji galaktycznej? – zgadywała Trillian. – Wszyscy widzieli, jak wchodzisz.

– Myślisz, że chcą mnie aresztować przez telefon? Możliwe, ale kiedy jestem osaczony, umiem być bardzo groźny...

– Jasne – rozległ się głos spod stołu. – Wybuchasz tak szybko, że rozrywa wszystkich dookoła...

– Zaraz, co dziś mamy? Dzień Sądu Ostatecznego?

– Też go będą pokazywać? – Artur był naprawdę przerażony.

– Ja mogę z tym jeszcze poczekać – burczał Zaphod. – Dobra, kto dzwoni? – Pchnął Forda stopą. – Wstawaj, chłopie – ponaglił go – możesz być potrzebny.

– Osobiście – wtrącił kelner – nie znam rzeczonoego blaszanego dżentelmena, monsieur...

– Blaszanego?

– Tak jest, monsieur.

– Powiedziałeś „blaszanego”?

– Tak jest, monsieur. Powiedziałem, że osobiście nie znam rzeczonoego blaszanego dżentelmena.

– Świetnie, mów dalej.

– ...wiem jednak, że czekał wiele tysięcy na pański szanowny powrót. Monsieur raczył opuścić nas najwyraźniej w pośpiechu...

– Raczyłem was opuścić? Klepki ci się poprzestawiały? Przecież dopiero co przyszliśmy.

– Oczywiście, monsieur – upierał się kelner – ale nim monsieur przybył, raczył nas opuścić.

Zaphod próbował to zrozumieć – najpierw jednym mózgiem, potem drugim.

– Chcesz powiedzieć, że wyszliśmy, nim przyszliśmy?

„To będzie niełatwy wieczór” – pomyślał kelner.

– Właśnie to chcę powiedzieć, monsieur.

– Zaczynaj już dzwonić do swojego psychoanalityka, serdeńko – zaproponował Zaphod.

– Zaczekaj chwilę – wtrącił Ford, wyłaniając się spod stołu. – Gdzie dokładnie jesteście?

– Dokładnie, monsieur, na Żabie B.

– Ale przecież stamtąd przybywamy! – zaprotestował Zaphod. – Odlecieliśmy stamtąd i trafiliśmy do restauracji na końcu wszechświata!

– Oczywiście, monsieur – oznajmił kelner czując, że jest na ostatniej prostej i nieźle mu idzie – restauracja na końcu wszechświata została zbudowana na ruinach Żaby B.

– Ojej – żywo wtrącił Artur – chce pan powiedzieć, że poruszaliśmy się w czasie, a nie w przestrzeni?

– Słuchaj no, ty wpółrozwinęty małpoludzie – przerwał Zaphod – wdrap się lepiej na drzewo!

Artur zezłościł się.

– A ty lepiej puknij się łebkami, czworooki – zaproponował.

– Ależ panowie! – zwrócił się kelner do Zaphoda. – Pańska małpa ma rację, monsieur.

Artur zabulgotał z wściekłością i nie powiedział nic na temat, przynajmniej nie zrozumiałego.

– Dokonał pan skoku... rzędu chyba pięciuset siedemdziesięciu sześciu miliardów lat, pozostał jednak w tym samym miejscu – wyjaśnił kelner. Uśmiechnął się. Miał cudowne uczucie, że jednak poradził sobie z tajemniczą mocą, która na początku zdawała się nie do pokonania.

– A więc to tak! – wrzasnął Zaphod. – Teraz rozumiem! Kazałem komputerowi zawieźć się do najbliższego miejsca, gdzie można coś zjeść, i wykonał rozkaz co do joty. Plus minus pięćset siedemdziesiąt sześć miliardów lat, ale nie ruszyliśmy się z miejsca. Bardzo zgrabne.

Wszyscy zgodzili się, że to bardzo zgrabne.

– Kto jednak dzwoni? – dalej dziwił się Zaphod.

– A co właściwie stało się z Marvinem? – spytała Trillian.

Zaphod klepnął się w czoła.

– Paranoidalny android! Widziałem, jak samotnie szwenda się po Żabie B!

– Kiedy?

– No, eee... pewnie z pięćset siedemdziesiąt sześć miliardów lat temu. Daj tubusik, mistrzu.

Brwi zielonego kelnera powędrowały zbaraniałe w górę.

– Pardon, monsieur?

– Telefon, panie starszy. Rany, ale macie tu drętwe tyłki! Aż dziw, że wam nie odpadną!

– Zaprawdę, monsieur...

– Halo? Marvin, to ty? – rzucił Zaphod do słuchawki. – Jak leci, mały?

Minęła długa przerwa, nim ze słuchawki rozległ się wąty, cichy głosik.

– Powinien pan chyba wiedzieć, że jestem strasznie załamany...

Zaphod zakrył mikrofon ręką.

– To Marvin... Cześć, Marvin – znów mówił do telefonu. – Nam powodzi się doskonale. Mamy świetne żarcie, wino, obrzucamy się co nieco obelgami, za oknem wszechświat obraca się w perzynę. Gdzie jesteś?

Przerwa.

– Nie musi pan udawać zainteresowania moją osobą – stwierdził w końcu Marvin. – Zdaję sobie sprawę, że jestem jedynie nic nie znaczącym robotem.

– Dobrze, niech ci będzie – wtrącił Zaphod – ale gdzie jesteś?

– „Cała wstecz, Marvin!”, „Otwórz służbę numer trzy, Marvin!”, „Marvin, mógłbyś podnieść ten papierek?” Takie rzeczy się do mnie mówi. Podnoszenie papierków! Mam mózg wielkości planety, a każe mi się podnosić...

– Oczywiście. – Zaphod nie czuł współczucia.

– Jestem przyzwyczajony do upokorzeń – klepał Marvin. – Jeśli macie ochotę, mogę wetknąć głowę do kubła z wodą. Macie ochotę, bym wetknął głowę do kubła z wodą? Tuż koło mnie stoi kubek z wodą. Już się robi.

– Eee, halo, Marvin... – próbował przerwać mu Zaphod, było jednak za późno. W słuchawce zabrzmiały smętne gulgotania.

– Co on mówi? – spytała Trillian.

– Nic – odparł Zaphod. – Zadzwoił jedynie, by w naszej obecności umyć sobie głowę.

– Voilá! – rozległ się bulgot ze słuchawki. – Mam nadzieję, że jesteście zadowoleni.

– W zupełności – przerwał Zaphod. – Mógłbyś nam zdradzić, gdzie jesteś?

– W garażu.

– W garażu? Co tam robisz?

– Parkuję pojazdy. Co innego można robić w garażu?

– Świetnie. Zostań tam. Zaraz do ciebie schodzimy.

Skok na nogi, walnięcie słuchawką o widelki i podpisanie rachunku „Hotblack Desiato” – w wykonaniu Zaphoda sprawiało to wrażenie jednej czynności.

– Ruszamy! – wrzasnął. – Marvin jest w garażu na dole.

– Co on robi w garażu? – spytał Artur.

- Parkuje pojazdy, bo co? Nóżki w ruch!
- A koniec wszechświata? Stracimy wielką chwilę.
- Już go widziałem. Tandeta – odpalił Zaphod. – Zwykły hcubtyw ikleiw.
- Co?
- Przeciwnieństwo do „wielki wybuch”. Ruszamy. Poproszę troszkę z jajem!

Niewiele osób zwróciło uwagę, że przeciskają się do wyjścia. Oczy obecnych skierowane były na okropności na niebie.

– Widzimy teraz bardzo ciekawą rzecz – komentował Max. – Proszę patrzeć uważnie, w lewej górnej ćwiartce widać jak w ultrafiolecie wyparowuje gwiazdozbiór Hastromil. Jest ktoś z Hastromilu?

Gdzieś z końca sali rozległo się kilka nieśmiałych okrzyków.

– No tak – wesoło uśmiechnął się w tamtą stronę Max – już za późno, by łamać sobie głowę, czy wyłączyło się gaz...

Rozdział 18

Główny hol był prawie pusty, Ford mimo to szedł, jakby przeciskał się przez gęsty tłum. Zaphod chwycił go za ramię i wepchnął w znajdujące się w ścianie drzwi.

– Co robisz? – spytał Artur.

– Wytrzeźwiam go. – Zaphod wrzucił do automatu monetę. Zamigotały światelka, zakotłowały się gazy.

– Cześć! – zawołał Ford, wychodząc chwilę później z kabiny. – Dokąd teraz?

– Na dół, do garażu. Idziemy!

– A co sądzisz o maszynach czasu, z których korzysta personel? – spytał Ford. – Trafilibyśmy prosto na „Serce ze Złota”.

– Wiesz, trochę straciłem zapał do tego statku. Niech go sobie weźmie Zarniwoop. Odechciało mi się uczestniczyć w jego brudnych gierkach. Rzućmy okiem, co tu mamy...

Radosny pionowy transporter osobowy cybernetycznej korporacji Syriusza zwiózł ich w głąb podziemi restauracji. Z radością stwierdzili, że niedawno został zniszczony przez wandalów i nie próbuje ich rozbawić ani popsuć im humoru w inny sposób.

Na dole szybu drzwi same się otworzyły i wionął strumień zimnego, stęchłego powietrza.

Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyli po wyjściu z windy, był betonowy mur z ponad pięćdziesięcioma drzwiami, prowadzącymi do toalet dla ponad pięćdziesięciu bardziej rozwiniętych form życia. Garaż pachniał jak wszystkie garaże w całej galaktycznej historii garaży – przede wszystkim pośpiechem.

Obeszli róg i znaleźli się na taśmociągu, który przecinał przypominające monstrualną jaskinię pomieszczenie. Było tak wielkie, że jego bardziej oddalona część ginęła w mroku.

Na podłodze wyrysowane były pola – wszystkie zajmowały pojazdy przebywających na gorze gości. Parkowały tu zarówno małe, masowo produkowane modele, których głównym celem była użyteczność, jak i większe, błyszczące limuzynoloty, zabawki bogaczy.

Kiedy przechodzili wzdłuż szeregów statków, w oczach Zaphoda błysnęło coś, co trzeba by chyba (choć nie na pewno) określić mianem chciwości. Może lepiej nie owijać w bawełnę, stwierdzmy więc, że zdecydowanie była to chciwość.

– O! Tam jest Marvin! – krzyknęła Trillian.

Spojrzeni w kierunku, gdzie wskazywał jej palec. Zobaczyli niewyraźne kontury metalowej postaci, która bez animuszu polerowała szmatką najbardziej oddalony element olbrzymiego srebrnego krążownika tras międzygwiazdnych.

Od taśmociągu odchodziły w niewielkich odstępach sporej średnicy przezroczyste rury, sięgające poziomu parkingowego. Zaphod wszedł do jednej z nich i spłynął łagodnie w dół. Pozostali poszli w jego ślady. Kiedy Artur Dent później snuł wspomnienia, uznał, że był to jedyny naprawdę rozrywkowy epizod w czasie podróży przez Galaktykę.

– Cześć, Marvin – zaczął Zaphod, zbliżając się do robota wielkimi krokami. – Cześć, mały, ale się cieszę, że cię widzę.

Marvin odwrócił się i jeśli na zupełnie nieruchomej blaszanej twarzy można wyrazić wyrzut, to dokładnie to zrobił.

– Nieprawda – stwierdził. – Nikt się nie cieszy. Nigdy.

– Jak uważasz. – Zaphod odwrócił się i wbił gały w otaczające statki. Ford zrobił to samo. Jedynie Trillian i Artur podeszli do Marvina.

– Naprawdę się cieszymy – zapewniła Trillian, głaszcząc go w sposób, którego do głębi nienawidził. – Tyle czasu na nas czekałeś...

– Pięćset siedemdziesiąt sześć miliardów trzy tysiące pięćset siedemdziesiąt dziewięć lat. Liczyłem każdy rok.

– Ale w końcu przyszliśmy – próbowała załagodzić sytuację Trillian, choć miała wrażenie – zdaniem Marvina uzasadnione – że powiedziała coś idiotycznego.

– Najgorsze było pierwsze dziesięć milionów lat – oświadczył Marvin. – Drugie dziesięć milionów też było najgorsze. Trzecie dziesięć milionów nie sprawiło mi żadnej przyjemności. Potem wszystko przestało mnie bawić.

Zrobił przerwę – wystarczająco długą, by dać do zrozumienia, że powinni coś powiedzieć. Nie dał się jednak ubiec.

– Najbardziej wykańczają przy czekaniu różni tacy, których się spotyka... – zaczął Marvin, nie dokończył jednak zdania.

Trillian odchrząknęła.

– Czy to...?

– Najciekawszą rozmowę przeprowadziłem ponad czterdzieści milionów lat temu.

Kolejna przerwa.

– Eee, czyżbyś?

– Z maszyną do parzenia kawy.

Znów zawiesił głos.

– To faktycznie...

– Nie rozmawiacie ze mną chętnie, co? – Marvin mówił cicho, pełnym rozpaczy tonem.

Trillian właśnie rozmawiała z Arturem.

Nieco w głębi Ford odkrył coś, co bardzo mu się spodobało. W rzeczywistości było to kilka rzeczy.

– Zaphod – zaczął spokojnie – spójrz na te wózki...

Zaphod patrzył z zachwytem.

Właśnie oglądali niewielki, ale niezwykle pojazd. Zabaweczka bogatego chłopca. Niby nic – siedmiometrowa jakby strzałka z papieru, ale zrobiona z cienkiej i mocnej metalowej folii. Z tyłu niewielki dwuosobowy kokpit. Silniczek z napędem zakłębionym, nie mogący dać zbyt wiele czadu. Za to w środku... lejek ciepły...

Lejek ciepły miał masę około dwóch tysięcy bilionów ton, umieszczono go w czarnej dziurze osadzonej mniej więcej na środku pojazdu w silnym polu elektromagnetycznym. Urządzenie miało umożliwić podejście na parę kilometrów do słońca, wychwycenie protuberancji i jeżdżenie na nich jak po falach.

Surfing słoneczny to jeden z najbardziej egzotycznych i podniecających sportów, ci zaś, którzy mają odwagę go uprawiać i których na to stać, należą do najbardziej podziwianych ludzi w Galaktyce. Jest to oczywiście przerażająco niebezpieczny sport – surfingowcy, jeśli nie giną w czasie wyścigów, umierają bez wyjątku z powodu wyczerpania seksualnego w trakcie przyjęć organizowanych dla zwycięzców przez sieć klubów „Dedal”.

Ford i Zaphod popatrzyli i poszli dalej.

– Co powiesz na to maleństwo? – spytał po chwili Ford. – Na ten cukierkowy gwiazdny dzipek z czarnymi zderzakami do jeżdżenia po promieniach słonecznych?

Także i gwiazdny dzipek był małym pojazdem – w dodatku o zupełnie błędnej nazwie, jedyną bowiem rzeczą, jakiej nie mógł zrobić, to pokonywać dystansów międzygwiazdnych. W zasadzie był sportowym skoczkiem międzyplanetarnym, choć podrasowanym, by wyglądać na coś, czym nie był. Mimo wszystko miał piękną linię. Poszli dalej.

Następny pojazd był ogromny. Miał przynajmniej trzydzieści metrów długości, wyglądał jak skrzyżowanie limuzynolotu z dylizanssem i zaprojektowano go ewidentnie tylko po to, by oglądający pękali z zazdrości. Malarstwo na karoserii i dodatkowe wyposażenie zewnętrzne krzychały głośno i wyraźnie: „Jestem nie tylko wystarczająco bogaty, by pozwolić sobie na ten statek, ale też wystarczająco bogaty, by nie brać go na poważnie”. Statek był zachwycająco obrzydliwy.

– Popatrz – Zaphoda zatkało. – Wielowiązkowy napęd kwarkowy, przyrządy z persuplexu. Wygląda jak robiony na zamówienie przez Lazlara Lyrikona.

Badał każdy centymetr statku.

– Oczywiście – stwierdził w końcu. – Patrz, na masce neutronowej wygrawerowany w ultraróżu symbol jaszczurki. Znak Lazlara. Trzeba nie mieć wstydu, by latać czymś takim.

– Kiedyś w mgławicy Axela wyprzedziło mnie coś podobnego – wtrącił Ford. – Trzymałem gaz do dechy, a śmignęło, jakbym stał w miejscu. Napęd gwiazdny miał ledwie włączony. Nie do wiary.

Zaphod gwizdnął z uznaniem.

– Dziewięć sekund później wpakował się prosto w trzeci księżyc Jaglan Beta – dodał Ford.

– Naprawdę?

– To mimo wszystko fantastyczny sprzęt. Wygląda jak ryba, porusza się jak pstrąg, steruje się jak krowa.

Ford obejrzał pojazd z drugiej strony.

– Zaphod, zobacz, co tu namalowano! – zawołał. – Wybuchające słońce, znak „Strefy Zniszczenia”. To musi być statek Hotblacka Desiato. Szczęściarz z tego łachmyty. Znasz tę ich okropną piosenkę, która kończy się uderzeniem w słońce? Podobno niesamowite show, choć drogie w realizacji z powodu ginących w słońcach maszyn.

Uwagę Zaphoda przykuwało coś zupełnie innego: statek obok limuzynolotu Hotblacka Desiato. Zaphodowi równocześnie opadły obie szczęki.

– To... to... to jest... – bełkotał – niezdrowe dla oczu...

Ford spojrział. Też opadła mu szczęka.

Statek miał klasyczny, prosty kształt, wyglądał jak dwudziestometrowy płaski łosoś, był ascetyczny w budowie, szalenie gładki. Niezwykłe było w nim...

– Ale czarny... – wydyszał Ford Prefect. – Ledwie widać kontury... połyka światło...

Zaphod milczał. Zakochał się od pierwszego wejrzenia.

Czerń statku była absolutna, prawie niemożliwe było określenie, jak daleko stoi.

– Wzrok sływa po nim jak woda... – z rozdziawioną gębą dodał Ford.

Chwila była niezwykła.

Zagryzł wargę.

Zaphod powoli ruszył w stronę statku. Wyglądało, że jest bardzo opanowany. Fakt, był opanowany, ale żądzą posiadania. Wyciągnął rękę, by pogłaskać kadłub. Ręka zawisła w powietrzu. Znów ją wyciągnął, by pogłaskać kadłub. Ręka znów zawisła w powietrzu.

– Dotknij... – wyszeptał prawie niesłyszalnie.

Ford wyciągnął rękę do kadłuba. Jego ręka też zawisła w powietrzu.

– Nie... to niemożliwe... – wyszeptał.

– Czujesz? – spytał Zaphod. – Nic nie ma... żadnego tarcia. Ale to musi dawać czadu...

Odwrócił się w stronę Forda i popatrzył na niego poważnie. Znaczy się, zrobiła to jedna z głów, druga, z wiernopoddańczym zachwytem w oczach w dalszym ciągu wpatrywała się w statek.

– Co ty na to, Ford?

– Żeby tym... eee... – Ford rzucił okiem przez ramię. – Chcesz tym... zwiać? Myślisz, że powinniśmy?

– Nie.

– Też tak sądzę.

– Ale zwiejemy, co?

– A możemy inaczej?

Pogapili się jeszcze przez chwilę, potem Zaphod nagle wziął się w garść.

– Lepiej spadajmy. Wszechświat lada chwila się skończy i wszyscy ci niedzielni kierowcy zaczną się złazić do swych symboli burżujskiego statusu.

– Zaphod?

– Tak?

– Jak wejdziemy do środka?

– Normalnie. Marvin!

Marvin odwrócił się – powoli, z wysiłkiem, wydając z siebie niezwykłą różnorodność pobrzękiwań i popiskiwań, które nauczył się generować.

– Chodź tu! – ponaglił Zaphod. – Mamy dla ciebie robótkę.

Marvin przywłókł się z niewyobrażalnym wysiłkiem.

– Na pewno nie sprawi mi przyjemności.

– Sprawi – spróbował zachęcić go Zaphod. – Otwiera się przed tobą zupełnie nowe życie.

– O nie, nie jeszcze jedno...

– Stul buzię i słuchaj! Tym razem będzie zabawa, przygody i szaleństwo!

– Brzmi to okropnie.

– Marvin! Próbuję jedynie poprosić cię...

– ...bym otworzył statek?

– Co? Eee... no tak, tak jakby... – nerwowo odparł Zaphod. Przynajmniej troje jego oczu wpatrywało się w wejście do garażu. Mieli mało czasu.

– Wolałbym, by mi pan po prostu polecił, co mam robić, zamiast próbować wzbudzać we mnie entuzjazm. W moim repertuarze nie ma entuzjazmu.

Podszedł do statku, dotknął go i otworzył się luk.

Ford i Zaphod wpatrywali się w powstały otwór.

– Nie ma o czym mówić – zbagatelizował swe osiągnięcie Marvin. – Aha, nic nie mówiliście... – Powłócząc nogami, poszedł sobie.

Artur i Trillian zbliżyli się zaciekawieni.

– Co jest? – spytał Artur.

– Sam popatrz – odparł Ford. – Zajrzyj do środka.

– Dziw... ne... coraz... dziw... niejsze... – wydusił z siebie Zaphod.

– Czarne – zakomunikował Artur. – Wszystko w środku jest zupełnie czarne.

W restauracji wydarzenia zbliżały się do momentu, po którym nie będzie więcej momentów.

Oczy obecnych zwrócone były na kopułę. Jedynymi wyjątkami były oczy ochroniarza Hotblacka Desiato, zwrócone na Hotblacka Desiato, i oczywiście oczy Hotblacka Desiato, które goryl z szacunku zamknął.

Ochroniarz nachylił się przez stół do swego szefa. Gdyby Hotblack Desiato żył, prawdopodobnie uznałby moment za odpowiedni, by się odsunąć, może nawet iść na spacer – jego goryl nie zyskiwał na urodzie przy oglądaniu z bliska. Ze względu na godny pożalowania stan, w jakim się znajdował, Hotblackowi Desiato prezencja jego opiekuna była jednak zupełnie obojętna.

– Panie Desiato... – szepnął goryl. Kiedy mówił, sprawiało to wrażenie, jakby mięśnie wokół jego ust wspinały się na siebie, by usunąć przeciwnika z drogi. – Panie Desiato? Słuchamnie pan?

Hotblack Desiato oczywiście nie odpowiedział.

– Hotblack?

Hotblack Desiato – dość normalnie – znów nic nie powiedział, odpowiedział jednak paranormalnie.

Na stole przed nim zabrzączał kieliszek, jakieś trzy centymetry nad blat uniósł się widelec. Zastukał w szkło. Potem opadł na stół.

Goryl wydał z siebie zadowolony pomruk.

– Czas, byśmy stąd poszli, panie Desiato. Nie chciałbym, żeby pan miał utknąć w tłumie. Nie w pańskim stanie. Powinien pan zostać wypoczęty, a warto, bo publiczność na najbliższym koncercie była świetna. Dawno nie została taka dobra. Kakrafoon. Pięćset siedemdziesiąt sześć miliardów dwa miliony lat. Nie byłby się pan został cieszył z tego?

Widelec znów się uniósł, kiwnął jakoś niezdecydowanie i opadł z powrotem na stół.

– Panie Desiato – ciągnął goryl – na pewno miałby pan chcieć zrobić świetny występ. Miałby pan ich na pewno rzuconych na kolana.

Goryl bez wątpienia doprowadziłby profesora Dana Populistę na skraj udaru mózgu.

– Czarny statek wpadając w słońce zawsze zwala ludzi z nóg, a ten nowy jest przepiękny. Aż mi go szkoda. Jak zejdziemy na dół, przełączę go na automatycznego pilota i polecimy limuzynolotem. Dobrze?

Widelec ponownie stuknął potakująco w kieliszek, który w przedziwny sposób się opróżnił.

Goryl wytoczył wózek z Hotblackiem Desiato z restauracji.

– A teraz, panie i panowie – wołał Max Quordpleen ze środka sceny – chwila, na którą czekaliście! – Wyrzucił ramiona w górę. Zespół za jego plecami zagmatwał się w perkusyjne rytmy i potoczyste syntokordy. Max nieraz próbował im zabronić tych szaleństw, ale upierali

się, że mają je zastrzeżone w kontrakcie. No cóż, trzeba będzie dać sprawę do wyjaśnienia agentowi.

– Niebo zaczyna wrzeć! – krzyczał. – Natura wpada w wyjąca pustkę! Za dwadzieścia sekund nastąpi koniec wszechświata! Rozpryskuje się nad nami światło nieskończoności!

Dookoła szalało zniszczenie... nagle zabrzmiał cichy i nieśmiały, płynący jak z nieskończonej oddali dźwięk trąbki. Max spojrzął na muzyków, ale żaden nie grał na trąbce. Tuż przy nim z desek sceny wleciała pobłyskująca wirująca chmurka dymu. Do pierwszej trąbki dołączyły kolejne. Max prowadził przedstawienie ponad pięćset razy, ale jeszcze nigdy nie miało miejsca nic podobnego. Mocno zaniepokojony zaczął się odsuwać od chmury dymu. Nim stanął, w obłoku zmaterializowała się postać wiekowego mężczyzny z brodą, ubranego w długą szatę i otoczonego aureolą światła.

– A to co? – wyszeptał Max z obłędem w oku. – Co się dzieje?

W głębi sali powstał tumult. Siedzący dotychczas ze skamieniałymi twarzami wierni z Kościoła Wielkiego Proroka Zarkwona gwałtownie wstali. W ekstatycznym nastroju zaintonowali chorały i zaczęli wrzeszczeć jak opętani.

Max zamrugął zdumiony jak mało kiedy w swoim życiu. Wyrzucił ramiona w kierunku publiczności.

– Panie i panowie! Serdeczny aplauz dla Wielkiego Proroka Zarkwona! Przybył! Zarkwon wrócił!

Kiedy Max szedł przez scenę i wyciągał do Proroka mikrofon, buchnęła burza oklasków.

Zarkwon zakasłał. Powiódł wzrokiem po zebranych. Gwiazdy w jego oczach mrugnęły z zakłopotaniem. Ze zdenerwowania nie wiedział, co zrobić z mikrofonem.

– Eee... – zaczął – witam. Eee, przychodzę chyba trochę późno, co? Mam za sobą okropny okres, w ostatniej chwili pojawiło się tyle problemów...

Sprawiał wrażenie, że panująca pełna oczekiwania i unижonego szacunku cisza go lekko przeraża. Odchrząknął.

– Eee, jak tam z czasem? – spytał. – Mam chyba tylko minu...

W tym momencie wszechświat się skończył.

Rozdział 19

Godzien najwyższej uwagi przewodnik *Autostopem przez Galaktykę* tak świetnie się sprzedaje nie tylko z powodu stosunkowo niskiej ceny i napisu NIE PANIKUJ, wydrukowanego dużymi, przyjaznymi literami na okładce, ale też dlatego, że zawiera obszerny i czasem nawet dokładny słownik wyrazów trudnych. Dla przykładu: statystyczne dane o geospołecznych strukturach wszechświata są przedstawione dość zgrabnie na stronach od 938324 do 938326.

Nieco upraszczający styl, w którym je napisano, należy po części tłumaczyć tym, że wydawca, chcąc dotrzymać terminu edycji, przepisał wszystkie informacje z tylnej strony paczki płatków owsianych, ozdabiając je w pośpiechu paroma przypisami. Zrobił tak, by nie pociągnięto go do odpowiedzialności za łamanie niewyobrażalnie zagmatwanej galaktycznej ustawy o ochronie praw autorskich.

Ciekawe może wydać się przy tym, że pewien znacznie późniejszy wydawca wysłał książkę uskokiem czasowym parę tysiącleci w przeszłość i wygrał przeciwko firmie produkującej płatki owsiane proces o łamanie tej samej ustawy.

Oto fragment wspomnianego rozdziału:

Wszechświat – kilka praktycznych informacji

1. Obszar: nieskończony.

Nieskończony: większy od największego i jeszcze trochę większy. W sumie jeszcze wiele większy od tego, naprawdę szalenie kolosalny, o absolutnie fantastycznych rozmiarach, wywołujący wrażenie „ale wielkie!” Nieskończony to tak wielki, że ogromny wydaje się mizerny. Gigantyczny pomnożony przez przerażająco olbrzymi – oto mniej więcej to, co chcemy wyrazić.

2. Import: brak.

Jest niemożliwością importować cokolwiek do nieskończenie wielkiego obszaru, ponieważ nie istnieje otoczenie, z którego można by importować.

3. Eksport: brak.

Patrz „import”.

4. Ludność: brak.

Wiadomo, że istnieje nieskończenie wiele światów, choćby dlatego, że istnieje nieskończona przestrzeń, w której mogą się znajdować. Nie każdy jest zamieszkały, dlatego liczba zamieszkałych światów musi być skończona. Każda skończona liczba podzielona przez nieskończoność daje (prawie) zero. Można więc stwierdzić, że średnia populacja we wszechświecie wynosi zero. Wynika stąd, że ludność wszechświata wynosi zero, a ludzie, których spotyka się od czasu do czasu, są wytworem chorej wyobraźni.

5. Waluta: brak.

W Galaktyce istnieją w zasadzie trzy waluty wymienne, ale żadna nie jest wiele warta. Dolar altairński ostatnio się załamał, flaniańska kulka z nosa jest wymienna jedynie na flaniańskie kulki z nosa, a trigański pu ma własne problemy. Kurs ośmiu ningi za jednego pu jest prosty, ale ponieważ ningi jest gumowym trójkątem o brzegu prawie jedenastu tysięcy kilometrów, jeszcze nikt nigdy nie zebrał ich dość, by zostać właścicielem pu. Na dodatek ningi nie mogą być stosowane w obrocie handlowym, ponieważ banki galaktyczne odmawiają przyjmowania drobnych. Wychodząc z tego założenia, można bez problemu udowodnić, że banki galaktyczne są także wytworem chorej wyobraźni.

6. Sztuka: brak.

Podstawowym zadaniem sztuki jest stworzyć odbicie rzeczywistości, a nie ma lustra wystarczająca duże do pokazania nieskończoności. Por. pkt 1.

7. Seks: brak.

W zasadzie istnieje w olbrzymich ilościach, zwłaszcza dlatego, że nie ma pieniędzy, handlu, banków, sztuki czy cegokolwiek innego, co byłoby w stanie zająć nieistniejącą populację wszechświata. Z drugiej strony nie warto zagłębiać się w wyjaśnienia, gdyż problem jest niezwykle skomplikowany. Dalszych informacji w tym zakresie należy szukać w rozdziałach 7, 9, 10, 11, 14, 16, 17, 19, 21, do 24 włącznie, a właściwie w całym przewodniku.

Rozdział 20

Restauracja istniała nadal, wszystko inne przestało. Relastatyka czasowa utrzymywała ją w kuli z nicości, której nie należy mylić z próżnią. Kula składała się z absolutnej nicości, w jakiej nie mogłaby zaistnieć próżnia.

Opancerzona polem siłowym kopuła znów zrobiła się nieprzezroczysta, przyjęcie się skończyło, goście zaczęli się rozchodzić, Zarkwon zniknął z resztą wszechświata, turbiny czasowe zabierały się do roboty, by przeciągnąć restaurację z powrotem przez krawędź czasu i przygotować na obiadową sesję, a Max Quordlepleen znów siedział w maleńkiej, zawieszanej firankami garderobie i próbował przez tempofon popędzić kota swemu agentowi.

W garażu, zamknięty i cichy stał czarny statek.

Do garażu wjechał zmarły Hotblack Desiato. Goryl pchał jego wózek po taśmociągu.

Zjechali jedną z rur. Kiedy zbliżyli się do limuzynolotu, z boku otworzył się luk, wczepił w kółka wózka i wciągnął go do środka. Goryl podążył za swoim szefem, sprawdził, czy jest pewnie podłączony do systemu utrzymywania śmierci, i wszedł po schodach do kokpitu. Dotarłszy na miejsce, włączył system zdalnego sterowania, co włączyło automatycznego pilota w czarnym statku obok. W tym momencie ulżyło niezmiernie Zaphodowi Beeblebroxowi, bowiem od ponad dziesięciu minut bezskutecznie próbował uruchomić pojazd.

Czarny statek spokojnie wypłynął ze swego miejsca, nawrócił i szybko, bezgłośnie ruszył środkowym pasem ruchu. Na jego końcu gwałtownie przyśpieszył, wjechał do komory wirówki czasu i rozpoczął długą podróż w daleką przyszłość.

Karta dań z „Milinowej” cytuje (za zgodą wydawnictwa) ustęp z *Autostopem przez Galaktykę*:

Każda znacząca cywilizacja galaktyczna przechodzi przez trzy wyraźnie od siebie oddzielone etapy. Są to: walka o życie, dążenie do wiedzy i parcie do wyrafinowania, znane też jako fazy „Co?”, „Dlaczego?” i „Gdzie?”

Faza pierwsza charakteryzuje się pytaniem: „Co by tu można zjeść?”, druga pytaniem: „Dlaczego jemy?”, a trzecia pytaniem: „Gdzie jest najlepsza kuchnia?”

Dalej karta daje do zrozumienia, że „Milinowa” – restauracja na końcu wszechświata, w dość przyjemny i wyszukany sposób pomaga znaleźć jednoznaczną odpowiedź na trzecie pytanie.

Karta raczy przemilczeć, że choć wielkie cywilizacje zwykle potrzebują tysiącleci, by przejść przez fazy „Co?”, „Dlaczego?” i „Gdzie?”, małym grupom społecznym w sytuacjach stresowych może się to udać z niezwykłą prędkością.

- Co słyhać? – spytał Artur Dent.
- A nie widać? – odparł Ford Prefect.
- Dlaczego? – zdziwił się Artur.
- Stul gębę – zaproponowali jednocześnie Zaphod Beeblebrox i Ford Prefect.
- Gdzie lecimy? – spytała Trillian.
- Nie mam pojęcia – odparł Zaphod Beeblebrox.
- A więc – Artur Dent zignorował propozycję stulenia gęby – nie panujecie nad statkiem?

Statek kołysał się i podskakiwał, aż robiło się niedobrze. Zaphod i Ford próbowali odebrać automatycznemu pilotowi kontrolę nad lotem. Silniki wyły i jęczały jak zmęczone dzieci w supermarkecie.

– Oszaleję od tego cholernego koloru – złorzeczył Zaphod, któremu miłość do statku przeszła jak nożem uciął mniej więcej trzy minuty po starcie. – Za każdym razem, kiedy człowiek naciska któryś z tych dziwacznych czarnych klawiszy, opisanych czarnymi literami na czarnym tle, zapala się czarne światełko, informujące, że się go nacisnęło. Co to ma być? Galaktyczny hiperkarawan?

Ściany podskakującej kabiny były czarne, sufit czarny, siedzenia – choć szczątkowe (statek był przeznaczony do jednej podróży i to bezzałogowej) czarne, deska rozdzielcza czarna, przyrządy też czarne, śrubki, którymi je przykręcono, też czarne, cienka przypominająca strzyżoną trawę nylonowa wykładzina na podłodze była czarna, a kiedy ją podnieśli okazało się, że gumowa mata pod spodem też jest czarna.

– Może oczy tych, którzy to budowali, odbierały inne pasma fal? – zaproponowała Trillian.

- Albo nie mieli zbyt wiele wyobraźni... – burknął Artur.
- Może po prostu byli bardzo przygnębieni? – wtrącił Marvin.

W rzeczywistości, choć nigdy nie mieli się o tym dowiedzieć, wyposażenie zostało dobrane ku czci smutnego, godnego pożałowania i kwalifikującego się do odpisów podatkowych stanu zdrowia właściciela pojazdu.

Statek zarzucał w szczególnie obrzydliwy sposób.

- Spokojnie – poprosił Artur – nabawię się przez was choroby przestrzennej.

- Czasowej – poprawił Ford. – Pędzimy do tyłu w czasie.
- Dziękuję za informację. Dopiero teraz zrobi mi się niedobrze.
- Nie krępuj się – stwierdził Zaphod – przydałoby się tu coś kolorowego.
- Czy to ma być elegancka konwersacja po obiedzie? – fuknął Artur.

Zaphod pozostawił Fordowi radzenie sobie z instrumentami i zatoczył się w stronę Artura.

– Słuchaj, Ziemiak! – Był zły jak cholera. – Masz do wykonania zadanie, rozumiesz? Trzeba znaleźć pytanie do ostatecznej odpowiedzi, jasne?

– Znowu? – Artur był zde gustowany. – Myślałem, żeśmy dawno z tego zrezygnowali.

– Nie ja, mały. Jak mówiły myszy – we właściwych okolicach pytanie jest warte kupę szmalu, a tkwi gdzieś w twoim łebku...

– Tak, ale...

– Żadne ale! Zastanów się! Sens życia! Rozpuścimy plotkę, że każdy psychiatra w Galaktyce musi zapłacić, żebyśmy nie ujawnili odpowiedzi. To będzie masa pieniędzy. Mojemu jestem winien majątek.

Artur głęboko wciągnął powietrze. Plan Zaphoda nie wywołał w nim zbytniego entuzjazmu.

– W porządku – rzekł – ale od czego mamy zacząć? Skąd mam wytrzasnąć pytanie? Ostateczna odpowiedź, czy co to jest, brzmi ponoć „Czterdzieści dwa”, dlaczego akurat ja mam wiedzieć, jak brzmi pytanie? Może to być coś zupełnie przypadkowego. Na przykład: „Ile jest sześć razy siedem?”

Zaphod przez chwilę intensywnie przyglądał się Arturowi, naraz w jego oczach pojawił się błysk podniecenia.

– Czterdzieści dwa! – wrzasnął.

Artur starł pot z czoła.

– Przecież dokładnie o tym mówię – stwierdził cierpliwie.

Zaphod zrobił zdziwione miny.

– Przecież mówię, że pytanie może brzmieć dowolnie – Artur nie popuszczał – nie rozumiem, dlaczego miałbym je znać.

– Ponieważ byłeś tam, kiedy planeta dostała bobu.

– U nas na Ziemi istnieje coś...

– Istniało – poprawił Ford.

– ...co zwie się taktem. Nieważne, w każdym razie nie znam pytania.

Przez kabinę przetoczył się leniwym echem głos.

– Ale ja znam.

Głos należał do Marvina.

– Nie wtrącaj się, kiedy rozmawiają organizmy żywe – poradził mu Ford, nieustannie prowadzący skazaną na porażkę wojnę z instrumentami.

– Jest zakodowana w prądach mózgu Ziemiaka – ciągnął Marvin – choć wątpię, by was to szczególnie interesowało...

– Chcesz powiedzieć – spytał Artur – że możesz mi zajrzeć do mózgu?

– Mogę.

Artur patrzył na robota naprawdę zdziwiony.

– No i...? – spytał.

– I dziwię się, jak można żyć z czymś tak maleńkim.

– Rozumiem, chcesz mi przykopać.

– Jak najbardziej.

– Nie zwracaj na niego uwagi – wtrącił się Zaphod – wymyślił to sobie.

– Wymyślił? – pisnął Marvin, kręcąc głową w parodii zdziwienia. – Dlaczego miałbym sobie cokolwiek wymyślać? Życie jest wystarczająco paskudne i nie trzeba wymyślać nic dodatkowego...

– Marvin – włączyła się do rozmowy Trillian. Mówiła łagodnym, przyjacielskim tonem – w dysputach z tą niewydarzoną istotą z metalu jedynie jej to się udawało. – Jeśli wiedziałeś o tym przez cały czas, dlaczego nic nie mówiłeś?

Marvin obrócił ku niej głowę.

– Bo nikt nie pytał – stwierdził lakonicznie.

– Pięknie, a więc pytamy cię teraz, blachobrzuchu.

Ford przyszpilił Marvina wzrokiem.

W tym momencie statek nagle przestał się bujać i zataczać, a odgłosy pracy silników przycichły, zmieniając się w łagodne buczenie.

– Brawo, Ford! – z uznaniem stwierdził Zaphod. – Nieźle. Rozpracowałeś przyrządy?

– Nie. Przestałem się nimi bawić. Proponuję polecieć, dokąd statek sam zmierza, i wsiąść czym prędzej, kiedy doleci.

– Oczywiście – zgodził się Zaphod.

– Wiedziałem, że nie jesteście naprawdę zainteresowani – wymamrotał Marvin, ciężko opadł w kącie na podłogę i się wyłączył.

– Najbardziej mnie dziwi – stwierdził Ford – że na statku jest tylko jeden przyrząd, z którego można cokolwiek odczytać. Jeśli służy do tego, o czym myślę, i pokazuje to co podejrzewam, to polecieliśmy kapkę za daleko w przeszłość. Jakies dwa miliony lat przed nasz czas.

Zaphod wzruszył ramionami.

– Czas to bzdura.

– Chciałbym wiedzieć, czyj to statek – mruknął Artur.

– Mój. – Zaphod nie miał wątpliwości.

– Nie, czyj jest naprawdę.

– Naprawdę jest mój – upierał się Zaphod. – Zobacz: branie na własność to jak kradzież, nie? A więc kradzież to branie na własność. Ergo statek należy do mnie.

– Powiedz to statkowi.

Zaphod podszedł do przyrządów.

– Statek! – wrzasnął i zaczął walić w tablice kontrolne. – Mówi do ciebie twój nowy właściciel!

Nie udało mu się powiedzieć więcej. Zdarzyło się kilka rzeczy naraz.

Statek wypadł z trajektorii czasowej i pojawił się w przestrzeni rzeczywistej.

Wszystkie przyrządy, martwe w czasie podróży, rozjaśniały.

Nad przyrządami zamigotał i pojaśniał wielki ekran, na którym ukazał się spory wycinek nieba i olbrzymie słońce.

To, że Zaphod i reszta w tym samym momencie zostali rzućeni na tylną ścianę kabiny, nie było spowodowane żadnym z wymienionych zjawisk.

Rzucił ich do tyłu grzmot ze znajdujących się wokół głośników.

Rozdział 21

Daleko pod nimi, na pustynnej czerwonej planecie Kakrafoon, na środku Czerwonej Pustyni, technicy sprawdzali wzmacniacze.

Precyzyjniej mówiąc, na pustyni ustawiono jedynie sprzęt, technicy byli zupełnie gdzie indziej. Schronili się w gigantycznym statku-matce „Strefy Zniszczenia”, zawieszonym na wysokości około sześciuset pięćdziesięciu kilometrów nad powierzchnią planety i z niego testowali sprzęt. Żadna istota, która znalazłaby się bliżej niż dziesięć kilometrów od głośników, nie przeżyłaby próby.

Gdyby Artur Dent znalazł się w odległości mniejszej niż dziesięć kilometrów od ustawionych z głośników budowli, ostatnią jego myślą byłoby, jak bardzo przypominają wielkością i sylwetką Manhattan. Wzbijające się z podziemnych kondygnacji, sięgające nieba olbrzymie bryły poustawianych na sobie głośników neutronofazowych zakrywały stojące z tyłu szeregi reaktorów plutonowych i amplifikatorów sejsmicznych.

Głęboko pod zbudowanym z głośników miastem, zakopane w betonowych bunkrach znajdowały się instrumenty, na których muzycy zagrają z pokładu statku kosmicznego: monstrialna chitarra fotonowa, detonator basowy i kompleks magalupoperkusyjny.

Koncert będzie bardzo głośny.

Na pokładzie gigantycznego statku-matki krzątano się i przeszkadzano sobie w podnieceniu. Przyleciał wyglądający przy statku jak kijanka limuzynolot Hotblacka Desiato, pojazd wzięto na pokład i szanowny zmarły został przetransportowany wysoko sklepieniami korytarzami do medium, które przeniesie jego bodźce psychiczne na gryf chitary.

Na miejsce dotarli też lekarz, logik i oceanograf – przywiezieni przy nieprawdopodobnych kosztach z Maximegalonu – by podjąć próbę nakłonienia do rozsądku solisty, który zamknął się w łazience z opakowaniem tabletek, zapowiadając, że wyjdzie dopiero, jeśli mu się udowodni, iż nie jest rybą. Basista zajął się dziurawieniem sypialni z karabinu maszynowego, a perkusisty nie można było nigdzie znaleźć.

W wyniku gorączkowych poszukiwań odkryto, że perkusista znajduje się na odległym o sto lat świetlnych Santruginusie Pięć, stoi na plaży i twierdzi, że jest od jakiejś pół godziny szczęśliwy, znalazł bowiem kamyk, z którym się zaprzyjaźnił.

Menedżer zespołu odczuł niezwykłą ulgę. Dla niego oznaczało to, że siedemnasty raz podczas tego tournée na perkusji zagra robot i dzięki temu talerze nie będą wypadały z rytmu.

Rozmowy testujących głośniki techników transmitowane były na falach sub-eta. Każde słowo rozlegało się we wnętrzu czarnego statku.

Jego oszołomieni pasażerowie siedzieli rzućeni o tylną ścianę kabiny i przysłuchiwali się głosom.

– Pierwsza klasa, kanał dziewięć w porządku – powiedział jakiś głos. – Sprawdź kanał piętnasty.

Przez statek znów przeleciał ogłuszający huk.

– Kanał piętnasty idealny – powiedział drugi głos.

Włączył się trzeci głos.

– Czarny statek-rekwizyt zajął pozycję – powiedział. – Wygląda świetnie. Uderzenie w słońce będzie piękne. Komputer sceniczny gotowy?

Odezwał się głos komputera:

– Włączony.

– Przejąć sterowanie czarnym statkiem.

– Czarny statek w pozycji oczekującej, podłączony do programu wystrzeliwującego.

– Sprawdź kanał dwudziesty.

Zaphod skoczył przez kabinę i nim spadł im na głowy kolejny mielący mózg huk, zmienił odbierane na sub-eta częstotliwości. Stał i się trząsł.

– Co oni mają na myśli, mówiąc o uderzeniu w słońce? – spytała cicho i spokojnie Trillian.

– To, że ten statek zaraz uderzy w słońce i wybuchnie – wyjaśnił Marvin. – Uderzenie... słońce, przecież to proste. A czego oczekiwaliście, kradnąc statek-rekwizyt Hotblacka Desiato?

– Skąd wiesz, że to... – zaczął Zaphod głosem, który zmroziłby śnieżną jaszczurkę z Wegi – statek-rekwizyt Hotblacka Desiato?

– Dlatego, że go parkowałem.

– Dlaczego... nie... powiedziałaś... tego... od... razu?

– Mówiliście, że chcecie mieć zabawę, przygody i szaleństwo.

– Okropne – wtrącił zupełnie niepotrzebnie w powstałą przerwę Artur.

– Od początku tak mówię – potwierdził Marvin.

Na innej częstotliwości odbiornik znalazł audycję. Też była bardzo głośna.

– ...cudowną pogodę na dzisiejszy koncert. Stoję przy samej scenie – kłamał reporter – w środku Czerwonej Pustyni i przez moje hiperbinoptyczne okulary widzę olbrzymie tłumy

widzów, rozciągające się aż po horyzont. Za mną, jak pionowa skalna ściana, wznoszą się gigantyczne wieże głośników, a wysoko nade mną świeci słońce, nie wiedząc jeszcze, co w nie zaraz uderzy. Lobby ekologiczne dokładnie wie, co to będzie, i twierdzi, że koncert wywoła trzęsienia planet, powódzie, huragany, nieodwracalne szkody w atmosferze i parę innych rzeczy, którymi zwykle podniecają się ekolodzy.

Właśnie otrzymałem informację, że dziś w południe przedstawiciel „Strefy Zniszczenia” spotkał się z ekologami i ich powystrzelał, tak więc nic już nie stoi na przeszkodzie, by...

Zaphod wyłączył odbiornik. Odwrócił się w stronę Forda.

- Wiesz, co myślę?
- Myślę, że tak.
- Powiedz, co myślisz, że myślę.
- Myślę, że myślisz, że już czas wysiadać.
- Myślę, że masz rację.
- Myślę, że to ty masz rację.
- Co się dzieje? – spytał Artur.
- Cisza! – rzucili jak jeden mąż. – Myślmy!
- Och, myślicie. A więc musimy umrzeć.
- Nie mów tego więcej – poprosił Ford.

Warto może w tym miejscu powtórzyć teorię, którą Ford Prefect stworzył po pierwszym spotkaniu z gatunkiem ludzkim w celu wyjaśnienia dziwnego zwyczaju ludzi, polegającego na stałym potwierdzeniu najbardziej oczywistych prawd. Na przykład: „Ładny dzień dziś mamy” albo „Ale pan jest wysoki!”, albo „A więc musimy umrzeć”.

Pierwsza teoria Forda brzmiała: „Jeśli ludzkie istoty nie poruszają nieustająco ustami, drętwieją im wargi”.

Po paru miesiącach intensywnych obserwacji stworzył nową, która brzmiała: „Jeśli ludzkie istoty nie poruszają nieustająco ustami, zaczynają pracować im mózgi”.

Druga teoria pasuje jednak znacznie bardziej do plemienia Belcerebonów na Kakrafoonie.

Belcereboni wywoływali zawsze oburzenie i niepewność wśród otaczających ich plemion, byli bowiem jedną z najbardziej oświeconych, wykształconych i milczących kultur w Galaktyce.

Karą za to obraźliwie cnotliwe i prowokujące zachowanie, wyznaczoną przez Trybunał Galaktyczny, była najstraszniejsza plaga: telepatia. By przeszkodzić samym sobie w natychmiastowym przekazywaniu wszystkim znajdującym się w promieniu dziesięciu kilometrów ludziom nawet najgłupszych myśli, które przelatują im przez głowy, muszą stale głośno rozmawiać o pogodzie, kłopotach i problemach dnia codziennego, wczorajszym meczu i o tym, jak głośno nagle zrobiło się na Kakrafoonie.

Inną metodą blokowania mózgu jest pójście na koncert zespołu „Strefa Zniszczenia”.

Koncert wszedł w krytyczną fazę.

Aby światło wybuchu dotarło do Kakrafoonu na czas, statek-rekwizyt musiał zacząć pikowanie w słońce przed rozpoczęciem koncertu i uderzyć w nie sześć minut i trzydzieści siedem sekund przed finałem piosenki.

Spadali już parę minut, nim Ford Prefect zakończył przeszukiwanie wnętrza. Wpadł jak bomba do kabiny.

Słońce Kakrafoonu było na monitorze przerażająco ogromne, rozżarzone do białości piekło topiących się do białości atomów wodoru rosło z sekundy na sekundę. Statek spadał dalej, nie przejmując się zbyt w walącymi w przyrządy łapskami Zaphoda. Artur i Trillian patrzyli tępo przed siebie – jak króliki na nocnej jezdni, które uważają, że najlepszym sposobem na poradzenie sobie ze zbliżającymi się reflektorami jest ich zahipnotyzowanie.

Zaphod gwałtownie obrócił się tyłem do przyrządów. Miał obłęd w oku.

– Ford, ile jest kapsuł ratunkowych? – spytał.

– Ani jednej.

– Dobrze policzyłeś?

– Dwa razy. Udało ci się popędzić trochę kota technikom?

– Jasne. Powiedziałem im, że mamy tu kupę ludzi, na co kazali wszystkich pozdrowić.

Ford wywalił gały.

– Nie powiedziałeś im, kim jesteś?

– Powiedziałem. Stwierdzili, że czują się zaszczyceni. Potem dodali coś o rachunku za obiad i wykonawcach mojego testamentu.

Ford gwałtownie odepchnął Artura od instrumentów i nachylił się nad nimi.

– Żaden nie działa?! – wrzasnął.

– Wszystkie martwe.

– Rozwalcie automatycznego pilota!

– Najpierw trzeba go znaleźć. Nic tu do siebie nie pasuje.

Artur pałętał się w głębi kabiny. Nagle przystanął.

– Tak a propos – co znaczy „teleport”?

Minęła kolejna sekunda ciszy.

Powoli wszyscy odwrócili się w jego kierunku.

– ...pewnie to niedobry moment, by pytać, pamiętam jednak, że ktoś niedawno użył tego słowa i pytam ot tak z...

– Gdzie? – Ford Prefect próbował zachować spokój. – Gdzie jest napisane to słowo?

– Tutaj – odparł Artur, wskazując na ciemną skrzynkę w głębi kabiny. – Dokładnie pod NA WYPADEK AWARII, nad SYSTEM i tuż obok tabliczki ZEPSUTE.

W pandemonium, które wybuchło po tej kwestii, widać było wyraźnie tylko jedno – skok Forda Prefecta przez kabinę do skrzynki, którą pokazał Artur. Stał przed nią i jak wściekły naciskał raz za razem znajdujący się pośrodku czarny przycisk.

W efekcie otworzył się czarny luk wielkości średnich drzwi, ukazując wejście do pomieszczenia, które wyglądało jak przerobiony na składzik elektryka wieloosobowy prysznic. Z sufitu zwisały wiązki kabli, na podłodze leżała płatanina porzuconych części, z otworu w ścianie zwisała klawiatura, która powinna zostać w niej umocowana.

Młody stażem księgowy „Strefy Zniszczenia” wizytujący stocznię, gdzie budowano statek, zażądał od rzecznika zakładu informacji, dlaczego wbudowuje się tak nieprzyzwoicie drogi teleport do statku, który ma odbyć jedną podróż, i to bezzałogową. Rzecznik stwierdził, że teleport jest instalowany z dziesięcioprocentowym rabatem, na co księgowy stwierdził, że co z tego, na co rzecznik stwierdził, że to najlepszy, najpotężniejszy i najbardziej wyrafinowany teleport, jaki można kupić, na co księgowy stwierdził, że nie interesuje go badanie możliwości płatniczych jego pracodawcy, na co rzecznik stwierdził, że czy mu się to podoba, czy nie, ludzie muszą mieć możliwość wchodzenia na statek i schodzenia z niego, na co księgowy stwierdził, że statek ma, jego zdaniem wybitnie solidny luk wejściowy, na co rzecznik stwierdził, że księgowy może sobie wsadzić głowę do gara z wrzątkiem, na co księgowy stwierdził, że to, co zbliża się tak szybko do rzecznika z lewej strony, jest pięścią. Po stwierdzeniu wszystkiego, co było do stwierdzenia, przerwano prace przy teleporcie. Opłata za niego pojawiła się potem ukryta na rachunku pod pozycją „inne”, w dodatku pięciokrotnie zawyżona.

– Niech mnie kule biją! – zaklął Zaphod, próbując przedrzeć się z Fordem przez płataninę przewodów.

Po chwili Ford kazał mu cofnąć się o krok. Wrzucił do teleportu monetę i poszarpał jednym z przełączników na zwisającej klawiaturze. Coś zgrzytnęło, coś błysnęło i moneta znikła.

– Trochę działa – stwierdził Ford – brak jednak systemu przekazywania informacji. Teleport przenoszący materię mógłby bez programu... no, przerzucić ją nie wiadomo dokąd.

Słońce Kakrafoonu olbrzymiało na ekranie.

– Kogo to teraz obchodzi? – zdziwił się Zaphod. – Dolecimy, gdzie mamy dolecieć.

– Poza tym – dodał Ford – nie ma automatu. Nie moglibyśmy lecieć wszyscy naraz. Ktoś musiałby zostać do obsługi.

Minęła uroczysta chwila. Słońce rosło i rosło.

– Marvin, dzieciaku! – wesoło rzucił Zaphod. – Co u ciebie?

– Prawdopodobnie bardzo źle – odparł Marvin.

Ułamek sekundy później koncert na Kakrafoonie nieoczekiwanie osiągnął apogeum.

Czarny statek wraz ze swym jedynym ponurym pasażerem wpadł zgodnie z planem prosto w atomowe palenisko słońca. Niezwykłe wybuchy wystrzeliły na miliony kilometrów w przestrzeń, zachwycając (w paru wypadkach degustując) kilkunastu surfingowców, którzy w oczekiwaniu na wielki moment zbliżyli się do powierzchni słońca.

Ułamki sekundy po dotarciu światła wybuchu do Kakrafoonu dudniąca pustynia pękła wzdłuż uskoku tektonicznego. Na wierzch wytrysnęła potężna i dotychczas nie odkryta rzeka, płynąca głęboko pod powierzchnią, sekundy później z głębin wystrzeliły miliony ton kipiącej lawy, która poleciała na wieleset metrów w górę i odparowała zarówno jeszcze podziemną, jak i już naziemną wodę rzeki. Zamykające się pęknięcie wstrząsnęło planetą. Fala tektoniczna obiegała glob i wróciła do punktu wyjścia.

Ci z obecnych przy wydarzeniu, którzy je przeżyli (a jest ich niewielu) są gotowi przysiąc, że rozciągająca się na setki tysięcy kilometrów kwadratowych Czerwona Pustynia wleciała jak potężnej grubości naleśnik, obróciła się dołem do góry i opadła. W tym właśnie momencie przez chmury pary wodnej przebił się, uderzając w powierzchnię Kakrafoonu, podmuch wywołanego wybuchem na słońcu wiatru magnetycznego.

Rok później setki tysięcy kilometrów kwadratowych pustyni były zarośnięte kwiatami. Skład atmosfery subtelnie się zmienił. Słońce świeciło w lecie mniej okrutnie, zimno szczypało w zimie mniej paskudnie, częściej padały orzeźwiające deszcze i powoli pustkowie Kakrafoonu zmieniało się w raj. Po wybuchu zniknęły nawet telepatyczne zdolności, na które skazano mieszkańców.

Rzecznik „Strefy Zniszczenia” – ten sam, który powystrzelał ekologów – uznał (co wielokrotnie cytowano), że „było to niezłe show.”

Wielu ludzi mówiło ze wzruszeniem o uzdrawiającej mocy muzyki. Paru sceptycznych naukowców dokładnie zbadało nagrania z koncertu, twierdząc potem, że odkryli symptomy świadczące o pojawieniu się olbrzymiego, sztucznie zindukowanego pola nieprawdopodobieństwa, które napłynęło z pobliskiego rejonu kosmosu.

Rozdział 22

Artur otworzył oczy i natychmiast tego pożałował. Miewał już różne kace, ale jeszcze nigdy tak potężnego. Miał kaca, którego wkłada się zwykle między bajki, kaca-giganta, kaca z dna piekieł. Promienie przetwarzania materii, teraz już wiedział, nie są tak wesołe, jak, powiedzmy, dobry kopniak w głowę.

Ponieważ z powodu tępego, dudniącego pulsowania pod czaszką nie miał ochoty się ruszać, leżał i dumał, co dalej.

„Problem z większością środków transportu polega na tym – myślał – że nie są warte związanego z nimi zachodu”.

Na Ziemi – kiedy jeszcze istniała, nim ją zniszczono, by zrobić miejsce nowej hiperprzestrzennej trasy szybkiego ruchu – istniał problem samochodów. Ludzie godzili się z wieloma niewygodami, wyciągając z ziemi, gdzie było bezpiecznie schowane, olbrzymie ilości czarnego lepkiego błota, przerabiając je na smołę, by zakryć kolejne połacie ziemi, spalając je, by wypełnić dymem powietrze, i wylewając resztki do mórz. Niewygody te przeważały nad korzyściami, płynącymi z możliwości szybkiego przenoszenia się z miejsca na miejsce. Zwłaszcza że tam, dokąd się dotarło, w wyniku wymienionych przed chwilą działań, wyglądało podobnie jak skąd się przybywało, to znaczy, ziemia była pokryta smołą, powietrze wypełnione dymem a rzeki prawie całkiem pozbawione ryb.

Wróćmy jednak do promieni przetwarzania materii. Każda metoda przenoszenia się z miejsca na miejsce, polegająca na rozbiciu człowieka na atomy, transportowaniu ich na falach sub-eta i składaniu do kupy w momencie, gdy po raz pierwszy od lat poczuły oddech wolności, musi być bez sensu.

Wielu ludzi przed Arturem Dentem uważało tak samo, niektórzy posunęli się nawet do pisania na ten temat piosenek. Zacytujmy jedną z nich, śpiewaną często przez tłumy przed fabryką systemów teleportacyjnych cybernetycznej korporacji Syriusza na Planecie Ścięcia Trzy:

Aldebaran piękny jest

Algol też uśmiecha się,
Z Betelgeuse dziewcząt kwiat
Z nóg w minutę zwali cię.
Każde spełnią tve życzenie
Wprost lub, gdy zechcesz, po kryjomu
Jeśli jednak, by pojechać, mam się rozbić na atomy
To na pewno nie ruszę się z domu.

(refren:)

Rozbij mnie, rozbij mnie
Czy długą drogę odbyć muszę?
Ale jeśli, by pojechać, mam się rozbić na atomy
To na pewno z domu się nie ruszę.

Syriusz złotem obleczony
Tak przynajmniej mówią, nie?
Różne głupki powtarzają
„Odwiedź Pieska, wtedy umrzeć opłaca się”.
Z chęcią pomknę tam aleją
Lub, jeśli trzeba, ścieżynką stromą
Jeśli jednak, by pojechać, mam się rozbić na atomy
Nie ruszę się na pewno z domu.

(refren:)

Rozbij mnie, rozbij mnie
Twój pomysł bardzo mnie rusza
Spróbuj jednak przed podróżą mnie rozbijać na atomy
A na pewno nie podniosę się z łóżka.

...i tak dalej. Inna bardzo znana piosenka była znacznie krótsza:

Raz ruszyłem teleportem
Z Ronem, Maggie, Johnem w drogę.
Ron wnet ukradł serce Maggie
Ja dostałem Johna nogę.

Artur czuł, jak fale bólu powoli odpływają, dalej jednak był wstrząśnięty pulsującymi, głuchymi tępięciami. Powoli i ostrożnie wstał.

– Też słyszysz te pulsujące, głuche tąpnięcia? – spytał Ford Prefect.

Artur gwałtownie się odwrócił i pokuśtykał niepewnie w kierunku głosu. Ford Prefect szedł mu naprzeciw. Oczy miał czerwone jak królik i zapuchnięte jak trzeźwiejący alkoholik.

– Gdzie jesteśmy?

Ford rozejrzył się wokół. Stali w długim, łukowato wyginającym się korytarzu, którego oba końce ginęły za zakrętami. Ściany miał zrobione ze stali. Jedną pomalowano charakterystyczną chorobliwą bladą zielenią, której używa się w szkołach, szpitalach i domach wariatów, by utrzymać pensjonariuszy w stanie stałego półotępienia – zataczała w górze elegancki łuk i spotykała się z drugą, która z niewiadomego powodu została oklejona ciemnobrązową jutową tapetą. Podłogę wyłożono ciemnozieloną prążkowaną gumą.

Ford podszedł do bardzo grubej, ciemnej i przezroczystej płaszczyzny, wpuszczonej w zieloną ścianę. Prostokąt składał się z wielu warstw, za nim widać było maleńkie światła gwiazd.

– Chyba jesteśmy w jakimś statku kosmicznym – stwierdził.

Po korytarzu rozchodziły się pulsujące, głuche tąpnięcia.

– Trillian?! – niepewnie zawołał Artur. – Zaphod?!

Ford wzruszył ramionami.

– Nigdzie ich nie ma. Sprawdziłem. Mogli polecieć nie wiadomo gdzie. Nieprogramowany teleport jest w stanie rzucić człowiekiem lata świetlne w każdym kierunku. Jeśli jakąś wskazówką może być moje samopoczucie, to przelecieliśmy bardzo daleko.

– Jak się czujesz?

– Źle.

– Myślisz, że oni...

– Nigdy się nie dowiemy, gdzie są ani jak się czują i nic na to nie poradzimy. Rób to, co ja.

– Co?

– Nie myśl o tym.

Artur chwilę się zastanowił i, choć niechętnie, jednak zrozumiał, że pomysł jest rozsądny, złożył go więc na czworo i schował do kieszeni. Wziął głęboki wdech.

– Kroki! – wrzasnął Ford.

– Gdzie?

– Ten dźwięk! Te głuche tąpnięcia! To jest dudnienie kroków! Posłuchaj!

Artur zaczął się przysłuchiwać. Dźwięk płynął korytarzem z trudnego do określenia dystansu. Bez najmniejszej wątpliwości był to przytłumiony odgłos dudniących kroków. Robił się coraz głośniejszy.

– Szybko! – ostro nakazał Ford. Zaczęli biec w różne kierunki. – Nie tędy! Nadchodzą stamtąd!

– Nieprawda – stamtąd!

– Nie opowiadaj, nadchodzą...

Zamarli na chwilę. Obracali głowy w różne strony. Przysłuchiwali się w napięciu. Obaj przyznali, że rację ma kolega. Pobiegli znów w przeciwną stronę.

Opadł ich strach.

Dźwięk narastał z obu kierunków.

Parę metrów w lewo odchodził prostopadły korytarz. Pobiegli nim – był ciemny i niezwykle długi. Im dalej biegli, tym robiło się zimniej. Na prawo i lewo odchodziły kolejne bardzo ciemne korytarze, ze wszystkich płynęło mroźne powietrze.

Stanęli na chwilę, dygocząc ze strachu. Im głębiej w korytarz, tym głośniejszy był odgłos dudniących o ziemię stóp.

Przycisnęli plecy do lodowato zimnej ściany, drżeli i słuchali. Zimno, ciemność i pulsujące głuche tąpnięcia bezcielesnych stóp powoli ich wykańczały. Ford dygotał po części z zimna, po części dlatego, że wpadały mu do głowy historie, które opowiadała ulubiona z jego matek, kiedy jeszcze był małym Betelgeusańczykiem i sięgał arkturiańskiemu megaświerszczowi do kostek – historie o statkach-widmach, upiornych wrakach, pełnych demonów lub duchów dawno zapomnianych załóg i nawiedzających najciemniejsze okolice kosmosu, historie o ryzykanckich podróżnikach, którzy znajdowali te statki i wchodziłi na nie, historie o... w tym momencie Ford przypomniał sobie jutową tapetę z korytarza, w którym się zmaterializowali, i wziął się w garść.

„Wszystko jedno, jak duchy i demony urządzają statki-widma – pomyślał – założę się o każde pieniądze, że nie ozdabiają ścian jutową tapetą”.

Złapał Artura za ramię.

– Wracamy! – rzucił zdecydowanie.

Zaczęli wracać drogą, którą przyszedli.

Kiedy po chwili tuż przed nimi zmaterializowali się właściciele tapiących głucho stóp, pognali pierwszym korytarzem jak przestraszone jaszczurki.

Schowali się za róg. Wystawili nieco głowy i z wybałuszonymi gałami oglądali dwudziestoparosobową męsko-damską grupę tłuściochów, przebiegającą, dyszącą i sapiącą w sposób, od którego zatkałoby z zachwyty każdego kardiochirurga.

Ford Prefect gapił się za znikającą grupą.

– Biegacze! – syknął, gdy odgłos dudniących stóp ucichł w sieci korytarzy.

– Biegacze? – szepnął Artur Dent.

– Biegacze – ze wzruszeniem ramion powtórzył Ford Prefect.

Korytarz, który posłużył im za kryjówkę, różnił się nieco od pozostałych. Był bardzo krótki i zakończony wielkimi stalowymi drzwiami. Ford obejrzał je, odkrył zamek i szeroko otworzył.

Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyli, była trumna.

Następnymi czterema tysiącami dziewięćset dziewięćdziesięcioma dziewięcioma rzeczami, które zobaczyli, też były trumny.

Rozdział 23

Krypta była niska, oświetlona słabiutkim światłem i bardzo rozległa. W przeciwległej ścianie, odległej o jakieś trzysta metrów, znajdowało się przejście do tak samo wyglądającego i podobnie wypełnionego pomieszczenia.

Kiedy weszli do środka, Ford Prefect cicho gwizdnął przez zęby.

– Niesamowite...

– Co jest niesamowitego w zwłokach? – zdziwił się Artur, wchodząc za Fordem z lekkim dygotem.

– Pojęcia zielonego nie mam – odparł Ford. – Może warto się dowiedzieć?

Przy bliższych oględzinach trumny okazały się sarkofagami. Sięgały człowiekowi mniej więcej do pasa, zrobiono je z materiału sprawiającego wrażenie białego marmuru. Z pewnością materiał jedynie sprawiał wrażenie białego marmuru. Pod lekko przezroczystymi pokrywami widać było niewyraźnie twarze – na pewno – zmarłych i z pewnością oplakiwanych, a obecnie przebywających w sarkofagach istot. Były humanoidalne i bez wątpienia już dawno pozostawiły za sobą wszelkie znoje świata, z którego pochodziły. Więcej nie było widać.

Między sarkofagami tuż nad ziemią kłębił się powoli ciężki, oleisty biały gaz. Artur z początku myślał, że ma stworzyć nastrój, zaraz jednak odkrył, że gaz zmraza mu kostki u nóg. Po dotknięciu okazało się, że i sarkofagi są lodowato zimne.

Nagle Ford kucnął przy jednym z nich. Wyciągnął z plecaka róg ręcznika i dziko zaczął nim po czymś trzeć.

– Tabliczka z nazwiskiem – wyjaśnił. – Zamarznięta.

Starł szron i przyglądał się wygrawerowanym literom. Arturowi przypominały one ślady nóg pająka, który wypił za dużo z kolegami, choć nie umiałby określić, czego za dużo może wypić pająk, kiedy wychodzi wieczorem z domu. Ford natychmiast rozpoznał wczesną formę galaktycznego łatwo'zrozumo'języka.

– Flota Golgafrincham, „Arka B”, ładownia siedem, dezynfektor telefonów drugiej klasy... i numer seryjny – odczytał.

– Dezynfektor telefonów? Martwy dezynfektor telefonów?

– W najlepszym wypadku.

– Ale co on tu robi?

Ford wpatrywał się przez pokrywę w postać zmarłego.

– Niewiele – stwierdził i nagle wyszczerzył zęby w charakterystyczny dla siebie sposób, który wywoływał u ludzi skojarzenie, że ostatnio chyba nieco przesadził z tym i owym i może powinien nieco odpocząć.

Popędził do następnego sarkofagu. Chwilę popracował intensywnie ręcznikiem, po czym oświadczył:

– Fryzjer. Pięśliwie!

Następny sarkofag okazał się miejscem ostatniego spoczynku specjalisty od reklamy, jeszcze następny – sprzedawcy używanych samochodów (trzeciej klasy).

Nagle uwagę Forda przyciągnął wpuszczony w podłogę luk inspekcyjny. Ukląkł i zaczął, machając ręką, rozpraszać kłęby zamarzającego gazu, obejmującego go jak lepka ciecz.

Arturowi przeszła przez głowę pewna myśl.

– Jeśli to trumny – spytał – to dlaczego są trzymane w takim chłodzie?

– Albo w ogóle po co są trzymane? – dodał Ford otwierając z wysiłkiem luk. Gaz zaczął odpływać. – Jaki można mieć interes, by wozić przez kosmos pięć tysięcy trupów? To straszne nakłady i koszty!

– Dziesięć tysięcy – poprawił Artur, wskazując na przejście do następnego pomieszczenia, w którym majaczyły kolejne sarkofagi.

Ford wetknął głowę w luk w podłodze. Po chwili ją wyjął.

– Piętnaście tysięcy – stwierdził. – Na dole są następni.

– Piętnaście milionów – odezwał się jakiś głos.

– To dużo – uznał Ford. – Naprawdę dużo.

– Odwróćcie się powoli – rozkazał głos – i ręce do góry. Żadnego niepotrzebnego ruchu, bo rozpruję was na kawałeczki.

– Cześć – rzucił Ford. Powoli się odwrócił, podniósł ręce do góry, nie robiąc żadnego niepotrzebnego ruchu.

– Dlaczego nikt nigdy się nie cieszy, że nas widzi? – retorycznie spytał Artur Dent.

W drzwiach, przez które weszli do krypty, stała sylwetka faceta, który nie cieszył się, że ich widzi. To, że się nie cieszy, można było wywnioskować po części z jego przypominającego warczenie, mającego zastraszyć słuchacza tonu, po części ze złości, z jaką wymachiwał w ich kierunku długim, srebrnym zabójcomatem. Twórcy tej broni najwyraźniej nie kazano w zaleceniach konstrukcyjnych owijać czegokolwiek w bawełnę. Z pewnością powiedziano mu: „Zrób groźną broń, niech od razu będzie jasne, że ma niedobry i dobry koniec. Niech każdy, kto stanie z niedobrego końca, natychmiast pojmie, że jego sprawy mają

się bardzo źle. Jeśli będzie trzeba w tym celu przymocować w różnych miejscach karabinu kolce, ostre kanty i kawałki oksydowanej stali, zrób to. Nie robisz broni do wieszania nad kominkiem albo stawiania w stojaku na parasole, lecz broń, po którą się sięga, by unieszczęśliwić parę osób”.

Ford i Artur patrzyli unieszczęśliwieni na karabin.

Człowiek z karabinem zbliżył się i zaszedł ich z boku. Kiedy wkroczył w krąg światła, ujrzeli czarnożłoty mundur z tak wypolerowanymi guzikami, że każdy nadjeżdżający z przeciwka kierowca zaczęłyby wściekle migać długimi światłami. Typek wskazał na drzwi.

– Naprzód!

Kto ma w ręku taką siłę ognia, nie musi używać wielu słów. Ford i Artur wyszli, tuż za nimi poszedł nieodpowiedni koniec zabójcomatu i wypolerowane guziki.

W bocznym korytarzu prawie przewrócił ich tłum biegaczy, którzy – umyści i przebrani – wbiegali truchtem do krypty. Artur odwrócił się i zdezorientowany patrzył, jak znikają.

– Ruszać się! – wrzasnął facet, który wziął ich do niewoli.

Artur ruszył się.

Ford wzruszył ramionami i też się ruszył.

Wewnątrz krypty dwudziestu czterech biegaczy podeszło do dwudziestu czterech pustych sarkofagów pod ścianą, otworzyło je, weszło do środka i zapadło w dwadzieścia cztery pozbawione marzeń sennych sny.

Rozdział 24

- Eee, panie kapitanie...
- Tak, pierwszy?
- Właśnie dostałem od drugiego coś jakby meldunek...
- O rany...

Wysoko, w centrali dowodzenia, przykrytej pęcherzem olbrzymiej kopuły, podenerwowany kapitan wpatrywał się w nieskończone przestrzenie wszechświata. Przed nim rozpościerała się panorama gwiazd, które w miarę, jak lecieli, coraz bardziej się przerzedzały. Spojrzał za siebie – za kolosalnym, długim na ponad trzy kilometry cielskim statku gwiazdy były zbite w prawie jednolity pas. Kapitan patrzył na centrum Galaktyki, skąd przybywali. Byli już kilka lat w drodze i choć w tej chwili nie potrafili sobie przypomnieć, z jaką prędkością lecą, pamiętał, że na pewno jest szalenie duża. Była bliska prędkości czegoś... a może chodziło o to, że jest potrójną prędkością czegoś innego? W każdym razie była strasznie duża. Wpatrywał się w jasną dal za statkiem, jakby czegoś szukał. Powtarzał obserwację co parę minut i choć nie znajdował, co chciał, to się nie martwił. Naukowcy podkreślali, że jeśli nikt nie wpadnie w panikę, nie opuści stanowiska i każdy będzie należycie wypełniać przydzielone mu zadanie, wszystko będzie w najlepszym porządku.

Nie wpadał w panikę. Jeśli chodziło o niego, wszystko było w najlepszym porządku. Potarł ramię wielką, dobrze namydloną gąbką. Niejasno przypomniawszy sobie, że był czymś podenerwowany. Co to mogło być? Ciche kasznięcie przypomniawszy mu że obok bez przerwy stoi pierwszy oficer.

Miły facet, ten pierwszy. Może nie najbystrzejszy – mógłby nauczyć się wiązać sznurowadła – ale poza tym świetny materiał na oficera. Kapitan nie należał do ludzi, którzy kopią kogoś, kto schyla się zawiązać buty, i to niezależnie, ile czasu mu to zajmuje. Zupełnie co innego ten okropny drugi, szwendający się bez przerwy po statku, polerujący sobie guziki i składający co godzina raporty. „Statek w dalszym ciągu leci, panie kapitanie”. „W dalszym ciągu trzymamy kurs, panie kapitanie”. „Poziom tlenu w normie, panie kapitanie”.

„Daj pan spokój” – odpowiadał zwykle kapitan. No tak, chyba tym był nieco zdenerwowany. Spojrzał na pierwszego.

– Darł się, że ma jeńców, panie kapitanie...

Kapitan zastanowił się nad nowiną. Wydawała się dość mało prawdopodobna, ale nie miał zwyczaju rzucać swym oficerom kłód pod nogi.

– No, może przez chwilę będzie szczęśliwy. Zawsze marzył o braniu jeńców.

Ford Prefect i Artur Dent wlekli się noga za nogą przez nie kończące się korytarze statku. Drugi sprężyste za nimi maszerował i od czasu do czasu krzyczał, by nie robili fałszywych ruchów ani nie próbowali innych wesołych kawałków. Jeńcom zdawało się, że przeszli już z kilometr wzdłuż ciemnobrązowej jutowej tapety. W końcu dotarli do wielkich stalowych drzwi, które odsunęły się, gdy drugi na nie wrzasnął.

Weszli do centrali dowodzenia.

Ujrzeni coś, co ich zatkało. Tą rzeczą nie była piętnastometrowa, zamykająca pomieszczenie od góry półkulista kopuła, przez którą świeciły gwiazdy – dla ludzi, którzy jedli w restauracji na końcu wszechświata, podobne cuda są normalką. Nie był to przeskomplikowany, chaotyczny zestaw przyrządów na otaczających ścianach – dla Artura właśnie tak powinien wyglądać statek kosmiczny, dla Forda były beznadziejnie przestarzałe. Ich widok potwierdzał podejrzenie, że statek-rekwizyt „Strefy Zniszczenia” wystrzelił ich przynajmniej na milion, jeśli nie dwa miliony lat przed epoką, w której się urodzili.

Tym, co naprawdę wytrąciło Forda i Artura z równowagi, była wanna.

Stała na dwumetrowym cokole z ciosanego z grubsza błękitnego morskiego kryształu i cechowała się barokową brzydota, nieczęsto spotykaną za murami Muzeum Chorych Pomysłów na Maximegalonie. Przypominający ludzkie kiszki kłębek rur uwypuklono płatkowym złotem, choć chyba lepiej byłoby wrzucić go cichcem o północy do masowej mogiły. Na widok kurków i prysznic każdy rzygacz zacząłby radośnie parskać.

Zdawało się strasznie nie na miejscu, że coś takiego dominuje nad centralą dowodzenia statku kosmicznego. Drugi oficer zbliżył się do wanny z zawziętą miną człowieka, który doskonale zdaje sobie z tego sprawę.

– Panie kapitanie! – wrzasnął przez zaciśnięte zęby. Jest to bardzo trudna sztuczka, ale przez lata doprowadził ją do perfekcji.

Zza krawędzi monstrualnej wanny wyłoniła się pucułowata przyjazna twarz i przyjazne, pokryte pianą ramie.

– O, drugi, witam – przywitał oficera kapitan. Zamachał radośnie gąbką. – Co słyhać?

Drugi zapłonął jeszcze większą chęcią bycia ośrodkiem zainteresowania.

– Przyprowadziłem jeńców, których zlokalizowałem w ładowni numer siedem, panie kapitanie!

Ford i Artur odchrząknęli z zażenowaniem.

– Eee... cześć – rzucili chórem.

Kapitan obdarował ich promiennym uśmiechem.

„A więc drugi naprawdę wystraszył skądś jeńców – pomyślał. – Na pewno się cieszy. To miłe, że czasem ludziom udaje się robić to, na czym się najlepiej znają”.

– Cześć wam! – odezwał się. – Wybaczcie, że nie wstaję, ale muszę się szybko wykapać. No to dla wszystkich żinsto nikem! Niech pan zajrzy do lodówki, pierwszy!

– Tak jest, panie kapitanie.

Jest czymś niezwykle i nikt dokładnie nie wie, jakie przypisywać temu znaczenie, że około 85% znanych światów w Galaktyce, zarówno prymitywnych, jak i wysoko rozwiniętych, wymyśliło koktajl o nazwie żinsto nikem – albo dzii-N’Z-TO’N-ykem, albo dżyngs-to-nikiem, albo jakiś inny z ponad tysiąca wariantów tego samego fonetycznego tematu. Koktajle nie są takie same – sięgają od silvoviańskiego czinsto/mnikiem, czyli zwykłej wody podawanej w temperaturze wyższej o kilka stopni od pokojowej, aż po gagrakakańskiego szijn-stonik-M, zabijającego krowę z odległości stu metrów. Jedyne, co łączy wymienione koktajle, oczywiście poza brzmieniem nazwy, jest to, że wszystkie zostały odkryte i nazwane, zanim dany świat nawiązał kontakt z innymi światami.

Co począć z tym faktem? Istnieje sam w sobie, nie ma żadnego kontekstu. Nie jest dyskutowany w teoriach lingwistów strukturalnych, a mimo to istnieje dalej. Starzy lingwiści strukturalni bardzo się złością, kiedy młodzi lingwiści strukturalni się nim zajmują. Młodych lingwistów strukturalnych niezmiernie to wzburza i nie chodzą spać do późna w nocy, są bowiem przekonani, że lada chwila odkryją coś wielkiego. Efektem jest przedwczesne starzenie się, a nowi starzy lingwiści strukturalni są jeszcze bardziej źli na młodych. Lingwistyka strukturalna to zaciekle skłócona i nieszczęśliwa dziedzina nauki, wielu jej zwolenników spędza wiele za wiele nocy na topieniu swych problemów w łiski z wodomsodowom.

Drugi oficer stał przed wanną i drżał z rozczarowania.

– Nie chce pan przesłuchać jeńców, panie kapitanie? – pisnął.

Kapitan spojrzał na niego rozbawiony.

– Dlaczego, na Golgafrincham, miałbym ich przesłuchiwać?

– Aby wydobyć z nich informacje, panie kapitanie! Aby dowiedzieć się, skąd przybywają!

– Nie, nie, nie. Myślę, że wpadli po prostu na dwa czy trzy żinysto nikem.

– Ależ panie kapitanie, to moi jeńcy! Muszę ich przesłuchać!

Kapitan patrzył z powątpiewaniem.

– Jeśli pan musi, proszę spytać, czego się napiją. Oczy drugiego błysnęły twardo, zimno. Powoli podszedł do Forda i Artura.

– Świetnie, łobuzy – warknął. – Robale... – pchnął Forda zabójcomatem.

– Spokojnie, drugi – przyjaźnie skarcił go kapitan.

– Czego się napijecie?!!!!! – wrzasnął drugi.

– No, myślę, że żinsto nikem brzmi nieźle – odparł Ford. – Co ty na to, Artur?

Artur zamrugał zdezorientowany.

– Co? Och, eee... poproszę.

– Z lodem czy bez?!! – warknął drugi.

– Poproszę z lodem – odparł Ford.

– Z cytryną?!!

– Bardzo proszę – dodał Ford. – Macie może takie ciasteczka, wie pan, z serem?

– Ja tu zadaję pytania!!! – wydarł się drugi, drżąc jak przed atakiem apopleksji.

– No, no, drugi... – wtrącił łagodnie kapitan.

– Tak jest?

– Zmyj się stąd, dobrze? Bądź grzecznym chłopcem, właśnie próbuję się trochę odprężyć...

Oczy drugiego się zwężyły. W branży krzykaczy i zabójców zjawisko to znane jest pod nazwą „lodowatych szparek”, przy czym chodzi chyba o zrobienie takiej miny, by przeciwnik zaczął myśleć, że zgubiło się okulary lub walczy się z sennością. Jest do dziś nie wyjaśnione, dlaczego ma to wywoływać strach.

Podszedł do kapitana, jego (znaczy się, drugiego) usta były jedynie wąską, cienką, prostą kreską. Też trudno zrozumieć, dlaczego uważa się to za agresywne. Wędrując przez dżunglę na planecie Traal i spotkawszy żarłocznego żuka paplacza, bardzo szczęśliwym zbiegiem okoliczności byłoby zobaczenie w miejscu, gdzie ma paszczę, cienkiej prostej kreski, a nie tego co zwykle: szeroko rozdziawionej masy kapiących trucizną zębów.

– Czy mógłbym przypomnieć, panie kapitanie, że siedzi pan w wannie ponad trzy lata? – Drugi zrobił służbiście zwrot w tył i odszedł na sztywnych nogach do kąta, by poćwiczyć przed lustrem rzucanie oczami błyskawic.

Kapitan wiał się w wodzie. Z zakłopotaniem wyszczerzył zęby do Forda.

– Wiecie, przy tej robocie trzeba mnóstwo wypoczywać... – wyjaśnił.

Ford powoli opuścił ręce – nie wywołało to żadnej reakcji. Artur też opuścił ręce.

Powolutku i bardzo ostrożnie Ford podszedł do cokołu wanny. Pogłaskał go.

– Ładne – skłamał.

Zastanawiał się, czy bezpiecznie będzie się roześmiać. Powolutku i bardzo ostrożnie się roześmiał. Było to bezpieczne.

– Eee... – zaczął Ford.

– Tak? – zachęcił go kapitan.

– Mógłbym może zapytać, co tu właściwie robicie?

Ford poczuł klepnięcie w ramię. Odwrócił się.

Pierwszy oficer.

– Koktajle – poinformował.

– Dziękuję bardzo.

Wzięli z Arturem po ziniesto nikiem. Artur skosztował i stwierdził, ze zdziwieniem, że napój smakuje jak whisky z wodą sodową.

– Znaczy się... te zwłoki... – zaczął Ford i też pociągnął łyżeczek ze szklanki. – Trudno ich nie zauważyć. W ładowniach...

– Zwłoki? – Kapitan był wyraźnie zaskoczony.

Ford zawahał się. Myślał.

„Nie zakładaj niczego z góry – powiedział sobie. – Czy to możliwe, by dowódca statku nie wiedział, że ma na pokładzie piętnaście milionów trupów?”

Kapitan radośnie skinął głową. Wyglądało na to, że bawi się gumową kaczuszką.

Ford się rozejrzał. W lustrze trafił na wzrok drugiego oficera. Wzrok był wbity w Forda, choć tylko przez chwilę – jego właścicielowi strasznie latały oczy. Pierwszy oficer stał bez ruchu, trzymał tackę z koktajlami, do twarzy miał przyklejony przyjazny uśmiech.

– Zwłoki? – ponownie spytał kapitan.

Ford oblizwał wargi.

– Zwłoki. Wszyscy ci martwi dezynfektorzy telefonów i fachowcy od reklamy. Na dole, w ładowniach.

Kapitan wybałuszył oczy. Odrzucił gwałtownie głowę do tyłu i zaczął się śmiać.

– Oni nie są martwi! Ależ skąd! Są zamrożeni. W swoim czasie przywoła się ich do życia.

Ford zrobił coś, co robił bardzo rzadko – zamrugał.

Artur jakby wypadł z transu.

– Chce pan powiedzieć, że macie ładownie pełne hibernowanych fryzjerów?

– Oczywiście. Mamy ich miliony. Fryzjerów, sfrustrowanych producentów programów telewizyjnych, agentów ubezpieczeniowych, kadrowców, ochroniarzy, speców od reklamy, doradców handlowych, wszystkich już nie pamiętam. Mamy skolonizować nie zamieszkaną planetę.

Ford lekko się zachwiał.

– Podniecające, co? – spytał kapitan.

– Przy pomocy tej zbieraniny? – zdziwił się Artur.

– Nie, nie. Chciałbym, byśmy się dobrze zrozumieli. Jesteśmy tylko jednym z kilku statków. „Arka B”, rozumiesz? Pardon, mógłbym prosić o trochę gorącej wody?

Artur zrobił mu przysługę i do wanny wleciał strumień pieniącej się różowej wody. Kapitan wydał z siebie westchnienie rozkoszy.

– Bardzo serdecznie dziękuję, drogi przyjacielu. Proszę się częstować koktajlami.

Ford jednym haustem wypił zawartość szklanki, którą trzymał, wziął z tacy w rękę pierwszego oficera butelkę i nalał sobie do pełna.

– Co to jest „Arka B”?

– Nasz statek – odparł kapitan, pluskając się wesoło w pełnej piany wannie wraz ze swą gumową kacuzką.

– No dobrze... – powątpiewał Ford – ale...

– Wiesz, tak się zdarzyło, że nasza planeta, świat z którego pochodzimy został skazany, że tak powiem, na zagładę.

– Skazany na zagładę?

– Tak jest. Wszyscy więc uznali, że należy spakować ludność w kilka olbrzymich statków kosmicznych i osiedlić się gdzie indziej.

Opowiedziawszy tyle, kapitan z zadowolonym pomrukiem zanurzył się głębiej w wodzie.

– Na mniej skazanej na zagładę?

– Nie rozumiem, przyjacielu...

– Na planecie. Mniej skazanej. Chcecie się osiedlić na planecie mniej skazanej na zagładę.

– Tak, chcemy się osiedlić właśnie w takim miejscu. Postanowiono więc zbudować trzy statki, rozumiesz, trzy arki i... nie nudzę was?

– Ależ skąd! – zdecydowanie stwierdził Ford. – To fascynujące.

– Wiesz co, przyjacielu? To przyjemność rozmawiać tak dla odmiany z kimś obcym.

Wzrok drugiego zaczął latać jak nerwowa pszczoła, ale po chwili wrócił do lustra jak mucha, której odwrócono uwagę od jej ulubionego kawałka padliny.

– Kłopot z tak długą podróżą polega na tym – ciągnął kapitan – że trzeba dużo rozmawiać ze sobą i z biegiem czasu staje się to nudne, bo człowiek przez połowę czasu wie, co zaraz powie.

– Tylko przez połowę? – Artur był zaskoczony.

Kapitan myślał przez chwilę.

– No, powiedziałbym, mniej więcej połowę. Wszystko jedno. Gdzie mydło? – Znalazł je po chwili na dnie wanny. – Więc – podjął wątek – pomysł był taki, że do pierwszego statku, „Arki A”, weźmie się najlepszych menedżerów, naukowców, artystów, wszystkich wielkich, do „Arki C” tych, którzy odwalają czarną robotę, produkują i pracują, a do „Arki B” – naszej arki – pozostałych, czyli pośredników i agentów. Proste, nie?

Uśmiechnął się rozanielony.

– Zostaliśmy wystrzeleni jako pierwsi – zakończył i zaczął nucić jakąś kąpielową piosneczkę.

Piosneczka kąpielowa, którą skomponował jeden z najlepszych i najproduktywniejszych autorów piosenek reklamowych Golgafrincham (spał aktualnie w ładowni numer 36, jakieś dziewięćset metrów od wanny kapitana) nie dopuściła do powstania pełnego zakłopotania milczenia. Ford i Artur szurali nogami i starali się nie patrzeć jeden na drugiego.

– Eee... – zaczął Artur po chwili – co dokładnie było nie tak z waszą planetą?

– No, była skazana na zagładę – odparł kapitan. – Miała uderzyć w słońce czy coś w tym stylu. Może miał w nas uderzyć księżyc... nie pamiętam. W każdym razie było to coś całkowicie okropnego.

– Hm – wtrącił się nagle pierwszy oficer – zdaje mi się, że planeta miała zostać zaatakowana przez rój dziesięciometrowych pszczołopiranii. Nie o to chodziło?

Drugi odwrócił się gwałtownie w ich stronę, jego oczy cisnęły parę zimnych, stalowych błyskawic. Sztuczka udaje się dopiero po wielu dziesiątkach godzin ćwiczeń, ale nigdy nie żałował na nie czasu.

– Nie to mi mówiono! – zgrzytnął przez zęby. – Mój bezpośredni przełożony poinformował mnie, że planecie grozi niebezpieczeństwo zjedzenia przez olbrzymią zmutowaną kosmiczną kozę!

– Zaprawdę... – Ford Prefect nie mógł wydusić z siebie nic więcej.

– Tak jest! Obrzydliwe bydlę z głębi piekieł z tnącymi jak kosa zębami długości wielu tysięcy kilometrów, o oddechu, od którego gotuje się ocean, z pazurami, którymi może wrywać z korzeniami kontynenty, tysiącem oczu, płonących jak słońca, spływającymi jadem szczękami rozwierającymi się na milion kilometrów, potwór, jakiego jeszcze nigdy... nigdy... kiedykolwiek...

– I wysłano was pierwszych, tak? – spytał Artur.

– Oczywiście – odparł kapitan. – Wszyscy mieszkańcy zgodzili się, że wielką wagę dla morale wyprawy ma świadomość, iż po przybyciu na nową planetę będzie można natychmiast iść do dobrego fryzjera czy rozmawiać z czystego telefonu. Uważam, że to miłe z ich strony.

– Wiadoma sprawa – zgodził się Ford. – Doskonale rozumiem, jakie to ważne. A pozostałe arki, eee... odleciały zaraz po was?

Kapitan przez chwilę nie odpowiadał. Spojrzał za gigantyczny korpus statku w jaśniejące centrum Galaktyki. Zmrużył oczy, wpatrując się usilnie w niepojętą dal.

– Hm. Ciekawe, że o tym wspominasz. – Lekko zmarszczył czoło. – Dziwnym trafem nie mieliśmy od nich nawet piśnięcia, odkąd ruszyliśmy pięć lat temu... ale muszą być gdzieś z tyłu.

Znów zapatrzył się w dal.

Ford też się w nią zapatrzył. Zmarszczył czoło.

– Chyba że... – stwierdził łagodnie – zostali pożarci przez kozę...

– No tak... – w głosie kapitana pojawiło się wahanie – koza... – Omiótł wzrokiem kontury przyrządów i komputerów, którymi wypełniona była centrala. Światelka w dalszym ciągu mrugały na niego w sposób, którego kompletnie nie rozumiał. Znów zapatrzył się w gwiazdy, ale żadna nie odezwała się nawet słowem. Spojrzał na pierwszego i drugiego oficera, zdawali się jednak akurat pogrążeni we własnych myślach. Spojrzał na Forda Prefecta i Ford Prefect uniósł brwi.

– Śmieszna sprawa, nie? – stwierdził w końcu kapitan. – Kiedy opowiada się o tym obcym ludziom... nie wydaje się to panu dziwne, pierwszy?

– Eeeee... – komentarz pierwszego był mało wyrafinowany.

– Dobrze – wtrącił Ford – widzę, że macie jeszcze sporo na sercu, o czym chcielibyście porozmawiać. Dziękuję za koktajle. Czy byłby pan tak uprzejmy i wysadził nas na najbliższej planecie...?

– Eee... może to być nieco skomplikowane, że tak powiem – zasmucił się kapitan. – Nasze urządzenie do wyznaczania trasy lotu zostało zaprogramowane, że tak powiem, nim opuściliśmy Golgafrincham... chyba po części dlatego, by nie zmuszać mnie do robienia rachunków, bo nigdy nie byłem w nich zbyt mocny...

– Jesteśmy uwięzieni?! – wrzasnął Ford, który nagle stracił cierpliwość do tej zupełnie niezrozumiałej sytuacji. – Kiedy zamierzacie dotrzeć do planety, którą macie kolonizować?

– Myślę, że prawie dolecieliśmy, w każdym razie dużo nam nie zostało... sądzę, że najwyższy czas wyjść z wanny. Choć muszę przyznać, nie bardzo rozumiem, dlaczego mam przerywać coś właśnie wtedy, kiedy jest najpiękniejsze...

– Czyli zaraz będziemy lądować? – spytał Artur.

– No, właściwie to nie lądować, nie lądować to właściwie nie... eee...

– Co to znaczy? – spytał ostrym tonem Ford.

– Hm... – zaczął kapitan, przebijając się ostrożnie przez słowa. – Wydaje mi się, o ile dobrze pamiętam, że zostaliśmy tak zaprogramowani, by się z nią zderzyć.

– Zderzyć?! – chórem wrzasnęli Ford i Artur.

– No... tak... chyba miała to być część planu... był ku temu jakiś powód, ale nie pamiętam w tej chwili, jaki. Chodziło o to, że... eee...

Forda o mało nie rozsadziło.

– Jesteście bandą kompletnie oszalałych świrów! – wrzasnął.

– Oczywiście! – rozpromienił się kapitan. – Dokładnie o to chodziło!

Rozdział 25

Przewodnik *Autostopem przez Galaktykę* mówi o planecie Golgafrincham co następuje:

Golgafrincham – planeta o prastarej, tajemniczej, bogatej w legendy historii. Jest czerwona, choć czasem bywała zielona od krwi tych, którzy w zamierzchłych czasach próbowali ją podbić. Golgafrincham to kraina pełna wyschłych i jałowych okolic, wonnego, ciężkiego powietrza przepojonego uderzającymi do głowy zapachami balsamicznych źródeł, które sączą się skąpo na gorące, zapylone skały i pozwalają rosnąć znajdującym się pod skałami ciemnym, pachnącym piżmem porostom; kraina rozgorączkowanych głów i pijanych pomysłów, będących domeną tych, którzy jedzą porosty; choć także kraina chłodnych i wyważonych myśli, będących domeną tych, którzy nauczyli się odmawiać sobie porostów i znaleźli drzewo, pod którym można usiąść i podumać; kraina stali, krwi i bohaterstwa; kraina ciała i ducha. Taki był Golgafrincham.

W prastarej i tajemniczej historii planety najbardziej zagadkowymi postaciami byli bez wątpienia wielcy krążący poeci z Arium. Krążący poeci zamieszkiwali odległe górskie przełęcze, gdzie czyhali na grupki niczego się nie spodziewających podróżnych, otaczali ich i obrzucali kamieniami.

Kiedy podróżni zaczęli krzyżeć na poetów, by sobie poszli i zamiast denerwować ludzi idiotycznym rzucaniem kamieniami, lepiej napisali jeszcze parę wierszy, natychmiast przerywano atak i intonowano jeden z siedmiuset dziewięćdziesięciu czterech wielkich cyklów Hymnów Vassillianu. Hymny cechowały się szczególnym pięknem, aczkolwiek jeszcze bardziej długością – wszystkie były rąbanką spisaną według tego samego schematu.

Pierwsza część każdego hymnu opisywała, jak pewnego dnia z miasta Vassillian rusza na czterech koniach pięciu mądrych książąt. Książęta, oczywiście odważni, szlachetni i świątli, ruszali w podróż w dalekie krainy, walczyli z olbrzymimi ludojadami, stawali się zwolennikami egzotycznych filozofii, pili herbatę z dziwacznymi bogami i wyzwali prześliczne potwory spod władzy krwawych księżniczek, w końcu oświadczyli, że doznali objawienia, a więc zakończyli podróż.

Druga i znacznie dłuższa część hymnu opisywała ich swary na temat wyznaczenia tego, który ma wracać do domu na piechotę.

Owi ekscentryczni poeci żyli w dalekiej przeszłości, ale potomek jednego z nich wymyślił historię o grożącej planecie zagładzie, dzięki czemu Golgafrinchamczykom udało się pozbyć nikomu niepotrzebnej jednej trzeciej ludności. Dwie trzecie zostało wierne domowi i wiodło zamożny, zadowolony i szczęśliwy żywot, póki nie wybiła ich do nogi zaraza, wywołana przez mikroby z brudnego telefonu.

Rozdział 26

W nocy, w nieciekawym zakamarku na końcu zachodniego ramienia Galaktyki, na dalekich jej peryferiach, „Arka B” zderzyła się z nieważną, małą niebieskozieloną planetą, krążącą wokół mizernego żółtego słońca.

Tuż przed zderzeniem Ford Prefect wściekle, choć bezskutecznie próbował odłączyć sterujące statkiem przyrządy od wymuszającego trajektorię automatu. Szybko zrozumiał, że statek zaprogramowano, by pewnie, choć niedelikatnie, dostarczył ładunek do nowej ojczyzny i został przy tym uszkodzony w stopniu nie pozostawiającym najmniejszej szansy na naprawę.

Kiedy rozżarzony do białości pojazd spadał wyjąc przez atmosferę, zerwana została większość przybudówek i zewnętrznego pancerza. Kompromitujące plaśnięcie w mętne bagno, które zakończyło lot, pozostawiło snującej się w ciemności załodze niewiele godzin na rozbudzenie i wyładowanie zamrożonego frachtu, złożonego z niepożądanych na planecie osobników – statek powoli pionując swe gigantyczne cielsko w gęstym blocku, zaczął prawie natychmiast tonąć. Raz czy dwa można było zobaczyć jego sylwetkę na tle nieba – w momencie gdy rozjarzone jak meteory spadały poobrywane ze statku resztki.

W szarówce świtu „Arka B” wydała z siebie przepotężny nieprzyzwoity bulgot i zniknęła po wsze czasy w śmierzdzącej głębinie.

Kiedy wzeszło słońce, rozlało swe skromne, wodniste światelko po szerokiej równinie, na której roilo się od jęczących fryzjerów, speców od reklamy, badaczy opinii społecznej i podobnych nierobów, desperacko próbujących znaleźć suchy grunt.

Mniej zdecydowane słońce prawdopodobnie od razu ponownie by zaszło, to wznosiło się jednak coraz wyżej na niebie i po pewnym czasie ciepłe promienie zaczęły działać pokrępiająco na chaotycznie raczkujące postacie.

Niezliczona liczba pasażerów statku – co nie powinno nikogo zaskoczyć – utonęła nocą w bagnie, kolejne miliony poszły w głębinę we wnętrzu wraka, setki tysięcy jednak przeżyły. Z biegiem dnia figurki rozpełzały się coraz głębiej w ład, każda szukała choć paru metrów twardej i suchej ziemi, gdzie mogłaby paść i otrząsnąć się z majaków minionej nocy.

Dwie postacie nie zamierzały nigdzie padać.

Z pobliskiego wzgórka Ford Prefect i Artur Dent obserwowali dantejskie sceny, które w najmniejszym stopniu ich nie dotyczyły.

– Wykręcić nam taki numer... – mamrotał Ford.

Ford drapał patykiem ziemię. Wzruszył ramionami.

– Pełne fantazji rozwiązanie, powiedziałbym.

– Dlaczego ludzie nie mogą żyć w pokoju i zgodzie?

Ford roześmiał się głośno, choć głucho.

– Czterdzieści dwa! – wyszczerzył zęby w złośliwym uśmiechu. – Nic z tego, ale mniejsza...

Artur patrzył na Forda, jakby jego przyjaciel zwariował. Ponieważ nie zobaczył niczego, co mogłoby go przekonać, że tak się nie stało, pojął, iż zupełnie rozsądne będzie założenie, że Ford zwariował.

– Jak sądzisz, co z nimi będzie? – zapytał po dłuższej chwili.

– W nieskończonym wszechświecie wszystko jest możliwe – odparł Ford. – Nawet to, że przeżyją. Śmieszne, ale prawdziwe.

Przeciągnął wzrokiem wzdłuż linii horyzontu, potem znów patrzył na obraz nędzy i rozpacz w dole. Coś dziwnego pojawiło mu się w oczach.

– Myślę, że trochę wytrzymają – uznał.

Artura to zdenerwowało.

– Dlaczego tak mówisz?

Ford wzruszył ramionami.

– Takie mam przeczucie – odparł, blokując następne pytania. – Patrz – rzucił po chwili.

Artur powiódł wzrokiem za jego palcem. Między tłumem rozwalonych na ziemi ludzi poruszała się jakaś postać. „Ślaniała się” byłoby dokładniejszym określeniem. Niosła coś na ramieniu. Ślaniając się między skrajnie wyczerpanymi ludźmi, jak pijana machała w stronę każdego nieokreślonym przedmiotem. Po pewnym czasie zrezygnowała z walki o utrzymanie się na nogach i upadła.

Artur nie miał zielonego pojęcia, co to może być.

– Kamera – wyjaśnił Ford. – Uwiecznianie historycznego momentu. Nie wiem jak ty – dodał po kolejnej chwili – ale ja nic nie łapię.

Usiadł i zamilkł.

Po pewnym czasie Arturowi wydało się, że wymaga to jakiegoś komentarza.

– Eee, co masz na myśli, mówiąc, że nic nie łapiesz?

– Dobrze pytanie – odparł Ford. – Chodzi mi o to, że nic nie mogę złapać.

Artur spojrzał mu przez ramię. Ford majstrował przy małym, czarnym pudełeczku. Kiedyś tłumaczył, że to czujnikomat sub-eta, ale Artur wtedy skinął jedynie bezmyślnie

głową i zapomniał o urządzeniu. Dla niego wszechświat dalej dzielił się na dwie części – Ziemię i resztę. Zniszczenie Ziemi w celu zrobienia miejsca nowej hiperprzestrzennej trasie szybkiego ruchu spowodowało, że pogląd taki nieco stracił teoretyczne podstawy, Artur jednak go nie zmieniał, ponieważ uważał, że nie wolno palić za sobą wszystkich mostów. Czujnikomaty sub-eta należały bez wątpienia do kategorii „reszta”.

– Kiszka – stwierdził Ford, potrząsając aparacikiem.

„Kiszka” – pomyślał Artur, wpatrując się w otaczający go prymitywny świat. Ile by dał za dobrą, ziemską kaszanke!

– Uwierzysz – oburzał się Ford – że w promieniu lat świetlnych od tej pograżonej w mrokach prymitywu nory nie ma ani jednej transmisji? Słyszysz, co mówię?

– Co?

– Wpadliśmy w bagno!

Dla Artura zabrzmiało to jak nowina sprzed miesiąca.

– Póki nic w tym nie złapiemy – mówił Ford, unosząc czujnikomat – nasze szanse wydostania się stąd wynoszą zero. Może w polu magnetycznym planety znajduje się fala stojąca. Będziemy musieli iść, aż dotrzemy w okolicę z normalnym odbiorem. Idziesz ze mną?

Podniósł plecak i ruszył przed siebie.

Artur patrzył w dół wzgórza. Człowiek z kamerą pozbiierał się akurat na czas, by sfilmować upadek jednego ze swych towarzyszy.

Artur wetknął w zęby źdźbło trawy i pokuśtykał za Fordem.

Rozdział 27

– Mam nadzieję, że miło spędziliście czas – rzekł Zarniwoop.

Zaphod i Trillian leżeli dysząc na podłodze centrali dowodzenia „Serca ze Złota”. Tu się zmaterializowali.

Zaphod otworzył parę oczu.

– To ty! – fuknął. Z wysiłkiem wstał i na sztywnych nogach ruszył w poszukiwaniu fotela, w który mógłby walnąć się jak kłoda. Znalazł fotel i walnął się w niego jak kłoda.

– Zaprogramowałem komputer koniecznymi współrzędnymi nieprawdopodobieństwa – stwierdził Zarniwoop. – Wkrótce dolecimy na miejsce. Może przez ten czas się pan odpręży i przygotuje na spotkanie?

Zaphod wstał i pomaszerował do szafki, z której wyjął butelkę starego dzankskiego sznapsa. Pociągnął długi łyk.

– Kiedy to załatwimy – stwierdził ponuro – kończymy zabawę, zgoda? Będę wolny, będę mógł iść, dokąd zechcę, i robić, co mi się, do cholery, podoba? Wylegiwać się na plażach i tak dalej, co?

– Zależy, ile na temat spotkania przecieknie do wiadomości publicznej – odparł Zarniwoop.

– Zaphod... kto... to jest? – niepewnie spytała Trillian, ślaniając się na nogach. – Co on tu robi? Dlaczego leci naszym statkiem?

– To straszny głupol – odparł Zaphod. – Chce spotkać się z gościem, który rządzi wszechświatem.

– Rozumiem... – Trillian wzięła od Zaphoda butelkę i naląła sobie sporą porcję. – Karierowicz.

Rozdział 28

Główny problem – raczej jeden z głównych, gdyż istnieje ich więcej – a więc jeden z głównych problemów przy rządzeniu ludźmi polega na trudności określenia, komu pozwolą sobą rządzić, czy, dokładniej mówiąc, kto jest w stanie tak nimi zmanipulować, by pozwolili mu sobą rządzić.

Streszczając: Ogólnie wiadomo, że ci, którzy najbardziej chcieliby rządzić ludźmi, najmniej się do tego nadają.

Streszczając streszczenie: Nikomu, kto może zostać prezydentem, nie powinno się pod żadnym pozorem pozwolić nim zostać.

Streszczając streszczenie streszczenia: Ludzie to spory problem.

W efekcie mamy następującą sytuację: Wielu prezydentom Galaktyki sprawiało taką radość i tak schlebiali sprawowanie władzy, że jedynie sporadycznie zauważali, iż zupełnie jej nie mieli.

Gdzieś w cieniu za nimi stoi... kto?

Kto może rządzić, jeśli każdemu, kto chce rządzić, nie powinno się na to pozwolić?

Rozdział 29

Na maleńkiej, nic nie znaczącej planecie gdzieś w samym środku żadnej szczególnej okolicy – żadnej, to znaczy niemożliwej do odnalezienia od momentu osłonięcia planety potężnym polem nieprawdopodobieństwa, do którego klucz miało tylko sześciu ludzi w Galaktyce – właśnie padał deszcz.

Lało, i to od wielu godzin. Ulewa smagała morze z taką siłą, że unosiły się chmury wodnego pyłu, bębniła w pnie drzew, zorała poletko marnej ziemi w pobliżu brzegu, zmieniając je w bajoro.

Deszcz bębnił w zrobiony z falistej blachy dach stojącego na środku poletka baraczku. Rozmył wąską, wyboistą ścieżkę, prowadzącą od domku do plaży i splukał stertę leżących obok dość ciekawych muszli.

W środku hałas bębniącego o dach deszczu był ogłuszający, mieszkaniec baraczku prawie go jednak nie zauważał, jego uwagę zajmowało bowiem coś zupełnie innego.

Człowiek był wysoki i zgarbiony. Na głowie mierzwiła mu się strzecha włosów koloru słomy, wilgotnych od kapiącej z sufitu wody. Ubranie na nim było znoszone, garbił się, a jego oczy, choć otwarte, wyglądały na zamknięte.

W środku stał stary wyświechtany fotel, wysłużony podrapany stół, na ziemi leżał sfatygowany materac, na nim kilka poduszek. Obok stał mały, ale ciepły piecyk.

Poza tym w baraku był jeszcze stary, nieco sponiewierany przez pogodę kot – właśnie na nim człowiek koncentrował uwagę. Z rybą w dłoni schylił się do kota.

– Kicikici kici... pusipusipusipus... kotek chce rybkę? Pyszna rybka... kotek zje rybkę?

Kot nie mógł się zdecydować. Łaskawie machnął łapką w stronę ryby, ale po chwili zajął się kłębuszkiem kurzu na podłodze.

– Jeśli kotek nie będzie jadł rybki, schudnie i zmarnieje... – mówił człowiek. W jego głosie pojawiła się wątpliwość. – Tak mi się wydaje, ale czy tak naprawdę będzie?

Znów wyciągnął rybę w stronę kota.

– Pomyśl, kotku, i zjedz rybkę... albo nie jedz. A może nie powinienem się wtrącać? – Westchnął. – Wydaje mi się, że ryba jest dobra, wydaje mi się też, że deszcz jest mokry... ale kim ja jestem, by mieć prawo wydawać opinię?

Zostawił rybę na podłodze i wrócił do fotela.

– Ach, wydaje mi się, że widzę, jak ją jesz – stwierdził, kiedy kot wykorzystał wszystkie rozrywkowe możliwości kurzu i rzucił się na rybę. – Cieszę się, że widzę, jak ją jesz, ponieważ sądzę, że jeśli nie będziesz jeść, to zmizerniejesz.

Wziął ze stołu kartkę papieru i resztkę ołówka. Papier trzymał w jednym ręku, ołówek w drugim i wypróbowywał różne możliwości zbliżenia obu przedmiotów. Potrzymał ołówek pod papierem, potem nad papierem, w końcu obok. Spróbował owinać kartkę wokół ołówka, potrząść kartkę tępym końcem ołówka, w końcu spróbował potrząść kartkę ostrym końcem ołówka. Powstała kreska – człowiek zachwycił się odkryciem. Jak co dzień. Wziął ze stołu inną kartkę. Była na niej krzyżówka. Oglądał ją przez chwilę, wpisał kilka słów, po chwili przestała go interesować.

Spróbował usiąść na swej dłoni i zafascynował go dotyk kości biodrowej.

– Ryba jest przywieziona z daleka, tak mi mówiono. A może to tylko wrażenie, że tak mi mówiono? Kiedy przyjeżdżają, czy raczej kiedy uważam, że przyjeżdża sześciu ludzi w sześciu błyszczących, czarnych rakietach, to czy przyjeżdżają także według ciebie? Co ty właściwie widzisz, koteczku?

Spojrzał na kota, którego bardziej od tych spekulacji zajmowało połykanie ryby.

– Czy jak słyszę, że zadają mi pytania, ty też słyszysz pytania? Co znaczą dla ciebie ich głosy? Może wydaje ci się, że śpiewają...? – Znów zawiesił głos. Czasami nic nie mówił całymi dniami, ot tak dla sprawdzenia, jak to jest. – Myślisz, że byli tu dziś? Mnie się tak wydaje. Na podłodze jest błoto, na stole stoi whisky i leżą papierosy, na talerzu leży ryba, a w myślach mam świeże o nich wspomnienia. Wiem, że to nie dowód, oczywiście, ale w takim razie wszelkie dowody są mało istotne. Zobacz, co tu jeszcze zostawili.

Sięgnął w stronę stołu i podniósł kilka przedmiotów.

– Krzyżówki, słowniki, kalkulator.

Przez godzinę bawił się kalkulatorem. Kot poszedł spać, deszcz lał dalej. W końcu człowiek odłożył kalkulator.

– Myślę, że mam rację sądząc, że zadają mi pytania – stwierdził. – Jechać tyle drogi i przywozić rzeczy tylko po to, by móc coś ci zaśpiewać, byłoby dość niezwykle. W każdym razie tak mi się wydaje. Ale kto wie... kto wie...

Wziął ze stołu papierosa i zapalił go szczapą z pieca. Zaciągnął się.

– Wydaje mi się, że widziałem dziś na niebie jeszcze jakiś statek. Wielki i biały. Nigdy przedtem nie widziałem wielkiego białego statku, jedynie sześć czarnych. I sześć zielonych. I te, których właściciele mówią, że przybywają z daleka, ale nigdy dużego białego. Może sześć

małych czarnych jest w stanie wyglądać czasem jak jeden wielki biały? Może mam ochotę na szklaneczkę whisky? Tak, to wydaje się bardziej prawdopodobne.

Wstał i znalazł obok materaca szklanke. Wlał do niej trochę z butelki. Usiadł z powrotem w fotelu.

– Może jeszcze ktoś przyjechał mnie odwiedzić...

Sto metrów dalej w strumieniach deszczu leżało „Serce ze Złota”.

Otworzył się luk wejściowy i na zewnątrz wyszły trzy postacie, kulące się, by chronić twarze przed smagnięciami deszczu.

– Tam? – Trillian próbowała przekrzyknąć ulewę.

– Tam – odparł Zarniwoop.

– W tym baraku?

– Tak.

– Dziwne – stwierdził Zaphod.

– Ale to przecież środek pustkowia – stwierdziła Trillian. – Musieliśmy wylądować w złym miejscu. Nie można rządzić wszechświatem z blaszanej budy.

Szli z pośpiechem w strugach deszczu i zmoczeni do suchej nitki dotarli do drzwi baraczku. Zapukali. Drżeli z zimna.

W progu stanął człowiek.

– Witam – odezwał się.

– Eee... pan wybaczy... – zaczął Zarniwoop – mam pewne powody przypuszczać...

– To ty rządzisz wszechświatem? – walnął Zaphod prosto z mostu.

Człowiek uśmiechnął się.

– Próbuję tego nie robić – odparł. – Zmogliście?

Zaphod patrzył na niego z niedowierzaniem.

– Czy zmogliśmy? Nie wyglądamy na zmokniętych?

– Dla mnie wyglądacie, ale wasze związane z tym wrażenia mogą być zupełnie inne. Jeśli uważacie, że ciepło was osuszy, wejdźcie do środka.

Weszli do środka.

Rozejrzeli się po maleńkim pomieszczeniu. Zarniwoop z lekkim obrzydzeniem, Trillian z zainteresowaniem, Zaphod z zachwytem.

– Słuchaj no, eee... – zaczął Zaphod. – Jak się nazywasz?

Człowiek spojrzał powątpiewająco.

– Nie wiem. Sądzicie, że powinienem mieć imię lub nazwisko? Byłoby dość dziwne nadawać zlepkowi bliżej nie określonych doznań zmysłowych imię lub nazwisko.

Poprosił Trillian, by usiadła. Sam usiadł na poręczy fotela, Zarniwoop oparł się sztywno o stół, Zaphod położył się na materacu.

– Niech mnie...! – wrzasnął Zaphod. – Fotel Władzy! – Poglaskał kota.

– Słuchaj no – tym razem był to Zarniwoop – muszę zadać ci parę pytań.

– Świetnie – przyjaźnie odparł gospodarz – jeśli chcesz, możesz coś zaśpiewać kotu.

– Lubi, jak się śpiewa?

– Spytaj go.

– Umie mówić?

– Nie pamiętam, by kiedykolwiek coś powiedział, ale na mnie nie można polegać.

Zarniwoop wyjął z kieszeni kilka karteluszków.

– A więc – zaczął – rządysz wszechświatem, tak?

– Skąd mam to wiedzieć?

Zarniwoop postawił przy pierwszym pytaniu ptaszka.

– Od kiedy to robisz?

– To pytanie o przeszłość?

Zarniwoop zbaraniał. Nie tego oczekiwał.

– Tak – odpowiedział.

– Skąd mam wiedzieć – dumął gospodarz – czy przeszłość nie jest fikcją, wymyśloną jedynie po to, by wyjaśnić rozbieżność pomiędzy aktualnymi doznaniemich zmysłów a stanem mego ducha?

Zarniwoop tępo się gapił. Z jego przemoczonego ubrania zaczęła unosić się para.

– Zawsze tak odpowiadasz na pytania? – spytał.

Odpowiedź była natychmiastowa.

– Jeśli uważam, że słyszę czyjeś pytanie, mówię, co mi przyjdzie do głowy. Nic więcej ci nie mogę powiedzieć.

Zaphod roześmiał się ze szczęścia.

– Wypiję za to – uznał i wyciągnął butelkę džankskiego sznapsa. Błyskawicznym ruchem wstał i podał flaszkę władcy wszechświata, który wziął ją z radością. – Zdrowie, mistrzu! Wal bez ogródek!

– Posłuchaj – próbował Zarniwoop – przyjeżdżają do ciebie ludzie, nie? W statkach kosmicznych...

– Sądzę, że tak – odparł gospodarz i podał butelkę Trillian.

– I proszę cię – ciągnął Zarniwoop – byś podejmował za nich różne decyzje? Dotyczące życia narodów, przyszłości światów, problemów gospodarczych, wojen, w sumie wszystkiego, co dzieje się na zewnątrz w całym kosmosie?

– Na zewnątrz? – zdziwił się gospodarz. – Gdzie na zewnątrz?

– Tam! – Zarniwoop wskazał na drzwi.

– Skąd wiesz, że tam coś jest? Drzwi są przecież zamknięte.

Deszcz dalej bębnił o dach. W baraczkę było cieplutko.

– Chyba wiesz, że na zewnątrz jest kosmos?! – wrzasnął Zarniwoop. – Nie możesz uchylać się od odpowiedzialności udając, że go nie ma! – Trząśnięty z wściekłości.

Władca wszechświata długo myślał.

– Jesteś bardzo pewny niektórych faktów – uznał w końcu. – Nie ufałbym zdaniu człowieka, który z góry zakłada istnienie wszechświata.

Zarniwoop dalej się trząsał, ale milczał.

– Decyduję jedynie o moim własnym wszechświecie – mówił gospodarz spokojnie. – Mój wszechświat to moje oczy i uszy. Wszystko inne to niesprawdzone pogłoski.

– Nie wierzysz absolutnie w nic?!

Władca wszechświata wzruszył ramionami i podniósł kota z ziemi.

– Nie rozumiem, o czym mówisz.

– Nie rozumiesz, że decyzje, które podejmujesz w tej norze, mają wpływ na życie i losy milionów istot?

– A skąd to wiadomo? Nigdy nie spotkałem tych, o kim mówisz. Ty, jak sądzę, też nie. Istnieją jedynie w słowach, które słyszymy. Jak można twierdzić, że się wie, co przydarza się ludziom? Tylko oni to wiedzą – jeśli istnieją. Mają własny wszechświat swych oczu i uszu.

– Myślę, że skoczę na chwilę na dwór mruknięła Trillian.

Wyszła na deszcz.

– Myślisz, że istnieją jacyś inni ludzie? – drążył Zarniwoop.

– Nie mam na ten temat zdania. Skąd mam wiedzieć?

– Lepiej sprawdzę, co z Trillian – wtrącił Zaphod i wymknął się na dwór.

– Myślę, że wszechświat jest w dobrych rękach – rzekł, kiedy dogonił dziewczynę.

– W bardzo dobrych – odparła.

Zaczęli odchodzić od baraczkę.

W środku Zarniwoop nie popuszczał.

– Nie pojmujesz, że od twych słów zależy czyjeś życie lub śmierć?

Władca wszechświata długo zwlekał z odpowiedzią. Kiedy usłyszał cichy odgłos włączających się silników statku, zaczął mówić, by zagłuszyć szum.

– To nie ma nic wspólnego ze mną. Nie mam nic wspólnego z tymi ludźmi. Bóg wie, że nie jestem okrutny.

– Widzisz! – przygwoździł go Zarniwoop. – Mówisz „Bóg”. A więc wierzysz w coś!

– Mój kot nazywa się Bóg – łagodnie rzekł władca wszechświata, podnosząc kota z podłogi. Pogłaskał go. – Jestem dla niego dobry...

– W porządku – upierał się Zarniwoop – skąd wiesz, że ten kot istnieje? Skąd wiesz, że uważa cię za dobrego lub sprawia mu przyjemność to, co uważa za twoją dobroć?

– Nie wiem – odparł z uśmiechem władca wszechświata – pojęcia nie mam. Sprawia mi jedynie przyjemność zachowywanie się w określony sposób wobec istoty, która wydaje mi się kotem. Tobie nie? Przepraszam, ale jestem chyba zmęczony...

Zarniwoop wydał z siebie bardzo niezadowolone westchnienie i rozejrzał się dookoła.

– Gdzie oni poszli? – spytał gwałtownie.

– Kto? – Władca wszechświata był mocno zdziwiony. Rozparł się wygodnie w fotelu i nalał sobie pełną whisky.

– Beeblebrox i dziewczyna! Byli tu jeszcze przed chwilą!

– Nie pamiętam. Przeszłość to fikcja, która ma wyjaśnić...

– Stul pysk! – wrzasnął Zarniwoop i wybiegł na deszcz. Statku nie było. Strugi wody nieustająco rozmywały błoto. Nie było nawet śladu, gdzie jeszcze przed chwilą mogło cokolwiek stać. Zarniwoop zaczął drzeć się w ulewę.

Wrócił biegiem do blaszanego baraczku. Drzwi były zamknięte.

Władca wszechświata drzemał w fotelu. Po pewnym czasie obudził się i podjął zabawę z ołówkiem i kartką. Wciąż był zachwycony odkryciem, że można ołówkiem zrobić kreskę na papierze. Z zewnątrz dochodziły jakieś hałasy, ale nie wiedział, czy są prawdziwe, czy nie. Potem przez tydzień mówił do stołu – ot, aby sprawdzić, jak zareaguje.

Rozdział 30

Wieczorem gwiazdy zaślniły jasno i czysto. Ford i Artur przeszli więcej kilometrów, niż by zdołali policzyć, i w końcu zatrzymali się na odpoczynek. Noc była chłodna i pachnąca, powietrze czyste, a czujnikomat sub-eta nie wydawał z siebie najmniejszego pisku.

Nad światem unosiła się cudowna cisza. Panował magiczny spokój, który w połączeniu z delikatnymi aromatami lasów, przyjemnym brzęczeniem owadów i błyszczącym światłem gwiazd uspokajał przemęczone zmysły wędrowców. Nawet Ford Prefect, który odwiedził więcej planet, niż mógłby wymienić w trakcie całego popołudnia, zaczynał się zastanawiać, czy ta nie jest najpiękniejsza ze wszystkich, jakie widział. Cały dzień maszerowali przez sfalowane zielone wzgórza i doliny porośnięte trawą, dzikimi, pachnącymi intensywnie kwiatami, szli między pokrytymi gęstym listowiem drzewami. Grzało ich słońce, chłodził łagodny wietrzyk, a Ford Prefect coraz rzadziej sięgał po czujnikomat sub-eta i coraz mniej złościł się jego upartym milczeniem. Powoli zaczynał uważać, że mu się tu podoba.

Noc była chłodna, ale spali zdrowo i wygodnie. Obudzili się, gdy opadła rosa. Byli odświeżeni, choć głodni. Ford w „Milinowej” włożył do plecaka kilka bułek i teraz zjedli je na śniadanie.

Dotychczas szli bez planu, teraz ruszyli jednak prosto na wschód, uznali bowiem, że jeśli chcą badać planetę, muszą dokładnie wiedzieć, skąd przychodzą i dokąd zmierzają.

Tuż przed południem odkryli pierwszą wskazówkę, że świat, w którym wylądowali, nie jest bezludny: między drzewami przemknęły – przez chwilę ich obserwując – oczy. Obserwator zniknął w momencie, kiedy go zauważyli, zarówno na Arturze, jak i na Fordzie sprawił jednak wrażenie istoty człękokszałtnej, reagującej na ich widok ciekawością, z pewnością nie strachem. Pół godziny później ujrzeli twarz następnego obserwatora, po dziesięciu minutach jeszcze jedną.

Zaraz potem natknęli się na wielką polanę. Weszli na nią i stanęli jak wryci.

Przed nimi, na środku polany, stała grupa ponad dwudziestu kobiet i mężczyzn. Nikt się nie ruszał, nikt nie odzywał – jedynie oglądano przybyszy. Wokół kilku kobiet gromadziły się dzieci, w głębi widać było szereg walących się lepierek z gliny i gałęzi.

Ford i Artur wstrzymali oddech.

Tubylcy mieli długie ręce i niskie czoła, błyszczące oczy uważnie taksowały obcych. Każdy stał lekko wychylony do przodu. Najwyższy miał nie więcej niż metr pięćdziesiąt wzrostu.

Widząc, że tubylcy nie mają broni i nie ruszają do ataku, Fordowi i Arturowi od razu poprawił się humor.

Przez chwilę obie strony wpatrywały się w siebie nawzajem, nikt nawet nie drgnął. Ludzie z polany wyglądali na zdziwionych pojawieniem się obcych i choć nie okazywali agresji, nie było w ich zachowaniu nawet śladu zaproszenia.

Nic się nie działo.

Kolejne dwie minuty nic się nie działo.

Po dalszych dwóch minutach Ford uznał, że czas, by coś się wydarzyło.

– Cześć! – zaczął.

Kobiety przyciągnęły dzieci bliżej do siebie.

Mężczyźni nie zrobili żadnego widocznego ruchu, ich postawa dawała jednak do zrozumienia, że odzywka Forda nie jest mile widziana. Nie została przyjęta źle – po prostu nie była mile widziana.

Mężczyzna stojący nieco przed resztą grupy – być może przywódca – zaczął podchodzić do obcych. Twarz miał spokojną, prawie pogodną.

– Uggghhhuggghhrrrrr uh uh ruh uuurgh – stwierdził łagodnie.

Artur niepomiernie się zdziwił. Tak bardzo przywykł do natychmiastowego i automatycznego tłumaczenia przez rybę Babel wszystkiego, co słyszy, że dawno przestał o niej myśleć. Przypomniała mu się tylko dlatego, iż najwyraźniej przestała działać. Arturowi przeleciały przez myśl ślady znaczeń, ale nie umiał ich nijak poskładać do kupy. Zgadywał – zresztą prawidłowo – że tubylcy jak na razie wytworzyli marne pierwociny języka i ryba Babel nie jest w stanie nic zdziałać. Spojrzał na Forda, który miał w tych sprawach znacznie więcej doświadczenia.

– Wydaje mi się – rzucił Ford półgębkiem – że pyta nas, czy nie mielibyśmy nic przeciwko obejściu jego wioski.

Gest istoty zdawał się potwierdzać teorię Forda.

– Ruuurggghh urrrgggh; urgh urgh (uhrh) rrruuurruuuh ug – powiedział prowadzący.

– Jeśli dobrze zrozumiałem, chodzi z grubsza o to, że możemy kontynuować wyprawę ile dusza zapagnie, byliby jednak uszczęśliwieni, gdybyśmy obeszl ich wioskę.

– Co zrobimy?

– Myślę, że ich uszczęśliwimy – uznał Ford.

Powoli i ostrożnie obeszl polanę. Chyba się to spodobało jej mieszkańcom, każdy bowiem lekko skłonił głowę i wrócił do własnych spraw.

Ford i Artur poszli dalej przez las. Po kilkuset metrach natknęli się na leżącą na ścieżce kupkę owoców – małych, prawie nie do odróżnienia od malin i jeżyn, i większych, z zieloną skórką, prawie nie do odróżnienia od gruszek.

Dotychczas unikali jedzenia owoców, choć drzewa i krzewy były ich pełne.

– Spójrz na to tak... – zaczął Ford – owoce na obcych planetach albo ratują ci życie, albo przynoszą śmierć. Należy zacząć się nimi interesować dopiero w momencie, w którym i tak byś umarł, jeśli się nimi nie zainteresujesz. Dzięki takiej postawie nic cię nie zaskoczy. Poza tym tajemnica, jak nie zachorować na autostopie, kryje się w tym, by jeść głównie chipsy i słone paluszki.

Nieufnie lustrowali leżące przed nimi owoce. Wyglądały tak apetycznie, aż robiło im się niedobrze z głodu.

– Spójrz na to tak... – jęknął Ford – eee...

– Tak?

– Próbuję wydobyć takie aspekty rzeczywistości, byśmy mogli zjeść owoce – odparł Ford.

Igrające w czubkach drzew promienie słońca odbijały się od grubych skórek owoców wyglądających na gruszki. Te, które wyglądały jak maliny i jeżyny, były większe i bardziej soczyste, niż Artur kiedykolwiek widział, nawet na reklamach lodów.

– To co – jemy, a martwić będziemy się potem?

– Może właśnie tego oczekują od nas ci ludzie...? – uznał Ford.

– Świetnie, spójrz na to tak...

– Jak na razie brzmi nieźle.

– Położono owoce, byśmy je zjedli. Albo są dobre, albo złe, chcą nas nimi nakarmić, albo otruć. Jeśli są trujące i ich nie zjemy, tubylcy dobiorą się do nas w inny sposób. Wynika z tego, że rezygnując z owoców, na pewno na tym stracimy.

– Podoba mi się twój tok myślenia – stwierdził Ford. – Skosztuj.

Artur z wahaniem sięgnął po owoc, który przypominał gruszkę.

– Zawsze tak sobie wyobrażałem raj – rzekł Ford.

– Co?

– Raj. Drzewo. Jabłko. Pamiętasz tę historię?

– Oczywiście, że pamiętam.

– Wasz Bóg stawia na środku ogrodu jabłoni i mówi: „Róbcie, na co macie ochotę, ale nie jedzcie jabłek”. Fiku-miku, oczywiście zjadacie jabłko, a Bóg wyskakuje zza drzewa z wrzaskiem: „Mam was!” Byłoby tak samo, gdybyście nie zjedli jabłka.

– Dlaczego?

– Powinieneś wiedzieć, że ktoś, kto lubi kłaść na chodniku kapelusz, chować pod nim cegłę i czekać, by ktoś go kopnął, aż pokażą mu się gwiazdy przed oczami, nigdy nie popuści. Prędzej czy później cię dorwie.

- O czym ty gadasz?
- Nie przejmuj się, jedz.
- Wiesz, tu naprawdę wygląda jak w raju.
- Jedz.
- Odgłosy też są rajskie.

Artur zatopił zęby w gruszkopodobnym owocu.

- To gruszka...

Kiedy parę chwil później zjedli wszystko, Ford Prefect odwrócił się w stronę lasu i zawołał:

- Dziękuję! Bardzo dziękuję! Jesteście bardzo uprzejmi!

Poszli dalej.

Przez następne sto kilometrów wędrówki na wschód wciąż znajdowali na drodze prezenty z owoców i choć raz lub dwa mignął im przez drzewa tubylec, nie doszło do bezpośredniego kontaktu. Plemię, które okazuje wyraźną wdzięczność, że zostawia się je w spokoju bardzo im się spodobało.

Owoce skończyły się po stu kilometrach, ponieważ zaczęło się morze.

Fordowi i Arturowi nigdzie się nie spieszyło, zbudowali więc tratwę i wypłynęli. Morze było dość spokojne, miało nie więcej niż sto kilometrów i podróż minęła nie najgorzej. Wylądowali w okolicy przynajmniej tak samo pięknej jak ta, skąd przybyli.

Krótko mówiąc, życie było śmiesznie proste. Jak na razie nieźle sobie radzili z poczuciem braku celu w życiu i samotnością – postanowili po prostu uznać oba problemy za nie istniejące. Jeśli zapragnęliby towarzystwa, wiedzieli, gdzie je znaleźć, ale na razie byli szczęśliwi, że ludzie z Golgafrincham są daleko.

Ford Prefect znów częściej używał czujnikomatu sub-eta. Tylko raz złapał sygnał, jednak tak słaby i odległy, że zdeprymował go znacznie bardziej niż tradycyjna głucha cisza.

Z nagłego kaprysu skierowali się na północ. Po wielotygodniowym marszu dotarli do kolejnego morza, zbudowali następną tratwę i przepłynęli wodę. Tym razem przeprawa była nieco trudniejsza, klimat też stał się nieco zimniejszy. Artur zaczął zauważać u Forda pewną masochistyczną cechę – im mozolniejsza była podróż, tym pewniej parł przed siebie. W normalnych warunkach nigdy nie zdawał się zbyt dobrze wiedzieć, do czego dąży. Teraz maszerował zawzięcie jak nigdy.

Marsz na północ zawiódł Forda i Artura w skaliste góry o zapierającej dech w piersi potędze i urodzie. Widok wyniosłych, spękanych i pokrytych śniegiem szczytów doprowadzał ich niemal do szaleństwa z zachwytem. Niestety głęboko pod skórę zaczęło wciskać się zimno.

Owinęli się futrami, które Ford Prefect zdobył za pomocą metody, której nauczył się od byłych mnichów z zakonu pralitów, prowadzących w górach Hunian wypożyczalnię desek do surfingu umysłowego.

Galaktyka jest usiana byłymi mnichami z zakonu pralitów, zarabiającymi mnóstwo forsy, ponieważ metody panowania nad własnym mózgiem, które zakonnicy wypracowali jako formę modlitwy, są, mówiąc otwarcie, sensacyjne. Niezliczone rzesze mnichów opuszczają zakon tuż po zakończeniu ćwiczeń modlitewnych, a przed ślubami, po których musieliby spędzić resztę życia w zamkniętych blaszanych pojemnikach.

Technika Forda była prosta: nieruchomiał z uśmiechem na ustach.

Po chwili zza drzew wychodziło zwierzę – na przykład sarna – i zaczynało go z ciekawością obserwować. Ford dalej się uśmiechał, oczy mu łagodniały i zaczynały błyszczeć, zdawał się promienieć głęboką i wszechobecną miłością, miłością ogarniającą wszystkie stworzenia. Wokół zapadało cudowne milczenie, od zadumanej postaci promieniowała przyjazna, radosna cisza. Sarna powoli podchodziła, zbliżała się krok za krokiem, aż prawie dotykała Forda nosem, wtedy wyciągał ręce, łapał zwierzę za gardło i skręcał mu kark.

– Sterowane wydzielanie feromonów – wyjaśniał. – Trzeba wiedzieć, jak uzyskać odpowiedni zapach.

Rozdział 31

Wędrowali kilka dni przez góry i dotarli do ciągnącego się z południowego zachodu na północny wschód wybrzeża – monumentalnego, wspaniałego wybrzeża. Rozpostarły się przed nimi wzniosłe lodowe szczyty, pocięte wypełnionymi wodą głębokimi, majestatycznymi wąwozami. Fiordy.

Przepelnieni zachwytem, przez dwa dni pełzali i wspinali się po lodowcach.

Było popołudnie drugiego dnia wspinaczki. Artur siedział na krawędzi pionowego urwiska i przyglądał się uderzeniom fal kipiącego w dole morza.

– Artur!!! – rozległ się nagle wrzask.

Artur spojrzał, skąd dochodzi niesiony wiatrem głos.

Ford kucnął przed litą ścianą z błękitnego lodu i przyglądał się. Rozsadzało go podniecenie – oczy mu pały próbując przyciągnąć wzrok Artura.

– Patrz! – wołał. – Spójrz na to!

Artur spojrzał. Widział litą ścianę błękitnego lodu.

– Lodowiec. Już widziałem.

– Nie, jedynie patrzyłeś, ale nic nie widziałeś. Przyjrzyj się.

Wskazywał na coś w głębi lodu.

Artur przyglądał się – nie widział nic poza zamazanymi cieniami.

– Cofnij się nieco – upierał się Ford – i spójrz jeszcze raz.

– Nic nie widzę. – Artur wzruszył ramionami. – Co mam widzieć?

Nagle zobaczył.

– Widzisz?

Widział.

Jego usta zaczęły mówić, mózg uważał jednak, że nie mają nic ciekawego do powiedzenia i je zamknął. Potem zaczął walczyć z tym, co przekazywały mu oczy, w efekcie stracił kontrolę nad ustami. Kiedy mózg znów zamykał usta, stracił panowanie nad lewą ręką, która zaczęła bezładnie wymachiwać w powietrzu. Przez sekundę mózg równocześnie

próbował opanować rękę, nie tracąc panowania nad ustami, i zastanawiać się, co oczy widzą w lodzie. Prawdopodobnie właśnie to spowodowało poruszenie nóg i Artur upadł.

Całe zamieszanie wywołała siateczka znajdujących się pół metra pod lodem cieni. Jeśli spojrzano się na nią pod odpowiednim kątem, zlewała się w zarys liter o wysokości mniej więcej metra, liter używanego na pewnej dalekiej planecie alfabetu. Dla tych, którzy jak Artur nie znali magratheańskiego, pod literami umieszczono w lodzie twarz.

Twarz była stara, szczupła i dystygowana, zadumana, ale nie wroga.

Była to twarz laureata nagrody za projekt wybrzeża, na którym – co nagle zrozumieli – właśnie się znajdowali.

Rozdział 32

W każdym miejscu polany słyhać było głośny, piskliwy skowyt. Przez las niosło się zawrozenie i wycie wprawiając w panikę wiewiórki.

Kilka ptaków odleciało emanując czymś, co u ludzi zostałoby określone mianem obrzydzenia. Odgłos krążył i wirował po polanie. Dźwięk wył i charczał, w skrócie – ranił uszy.

Kapitan patrzył na kobziarza pobłażliwie. Wycie kobzy nie należało do tych nielicznych spraw, które mogłyby wytrącić go z równowagi. Minęło parę miesięcy od nieszczęsnych wydarzeń w bagnie i właściwie żyło mu się nie gorzej niż przedtem. W olbrzymim bloku skalnym wykuto zagłębienie – codziennie się w nim wylegiwał, podczas gdy pomocnicy zlewali go wodą. Nie była zbyt ciepła, fakt, dotychczas bowiem nie wymyślono, jak ją podgrzać. Nieważne, jeszcze do tego dojdą, jak na razie patrole przeszukiwały bliższą i dalszą okolicę w poszukiwaniu gorącego źródła, bijącego najlepiej na innej milej polanie. Gdyby jeszcze w pobliżu było złożę mydła... Tym, którzy twierdzili, że mydło nie występuje w złożach, kapitan nieśmiało zwrócił uwagę, że nikt dotychczas tego do końca nie sprawdził i choć opornie, przyznano mu rację.

Życie było przyjemne. Kiedy zostanie znalezione gorące źródło, w komplecie z polaną, i kiedy pobiegnie po wzgórzach okrzyk, że odkryto żyłę mydła i rozpoczęto dzienną produkcję pięciuset kostek, będzie jeszcze przyjemniejsze. To ważne, mieć w życiu nadzieję.

„Jęk, jęk, pisk, jęk, pisk, wrzask, kwik” – wydobywał kobziarz ze swego instrumentu. Kapitan cieszył się coraz bardziej, gdyż kobziarz mógł w każdej chwili przestać. Na to kapitan też miał wielką nadzieję.

„Jakie poza tym istnieją przyjemności?” – zastanawiał się.

Było ich wiele. Czerwień i złoto liści, nadchodziła bowiem jesień. Cichutki szcęk nożyczek rozlegający się tuż obok wanny, gdzie paru fryzjerów ćwiczyło na drzemiącym scenografie i jego asystencie. Światło odbijające się od sześciu wyczyszczonych na glanc telefonów, stojących na brzegu skalnej wanny. Przyjemniejsze od nie dzwoniącego stale (to

znaczy właściwie nigdy nie dzwoniącego) telefonu było sześć nie dzwoniących stale (to znaczy właściwie nigdy nie dzwoniących) telefonów.

Najprzyjemniejszy ze wszystkiego był jednak szczęśliwy pomruk setek ludzi, zbierających się powoli na łące, by wziąć udział w popołudniowym posiedzeniu komisji.

Kapitan pstryknął kaczuszkę w dzióbek. Popołudniowe posiedzenia komisji były jego ulubionym zajęciem.

Ktoś jeszcze obserwował napływający tłumek. W koronie stojącego na skraju polany drzewa siedział Ford Prefect, ubrany w płaszcz ze skóry renifera. Po sześciu miesiącach wędrówki wyszczupłał i nabrał formy, oczy mu błyszcząły. Brodę miał tak gęstą, a twarz tak ogorzałą, że wyglądał jak piosenkarz country.

Już prawie tydzień obserwował z Arturem ludzi z Golgafrincham i postanowił, że czas nieco rozkręcić akcję.

Polana się wypełniła. Były tu setki niedbale rozwalonych mężczyzn i kobiet – gadali, pogryzali owoce, grali w karty i generalnie się wałkonili. Ich dresy były brudne i podarte, każdy miał za to idealną fryzurę. Ford zdziwił się, że wszyscy powypychali bluzy liśćmi.

„Chyba nie zaczęli nagle interesować się botaniką? Pewnie to coś w rodzaju izolacji cieplnej przed nadchodzącymi chłodami, ewentualnie...”

Rozmyślenia przerwał mu głos, który zagłuszył ogólny pomruk.

– Witam! – krzyknął kapitan. – Z chęcią przywołałbym jakoś zebranych do porządku, jeśli to możliwe. Zgoda? – Uśmiechnął się przyjacielsko. – Jeszcze minutę? Jak sobie życzyście...

Rozmowy powoli milkły i wszyscy na polanie ucichli – z wyjątkiem kobziarza, który przebywał duchem w jakimś jedynie jemu dostępnym dzikim i niemożliwym do skolonizowania muzycznym świecie. Kilku z otaczających ludzi rzuciło w niego liśćmi. Jeśli nawet istniał jakiś logiczny powód, dlaczego tak zrobili, Ford Prefect na razie nie był w stanie go dostrzec.

Wokół kapitana zebrała się niewielka grupka. Jeden ze stojących przy wannie wyraźnie szykował się do wygłoszenia mowy. Wstał, chrząknął i spojrzał w dal – jakby chciał dać tłumowi do zrozumienia, że zaraz będzie gotów.

Tłum czekał w napięciu, wszystkie oczy były skierowane na szykującego się mówcę.

Ciągle jeszcze nic się nie działo i Ford doszedł do wniosku, że nadszedł pasujący dramatycznie moment na wejście. Mężczyzna zaczął wydawać z siebie pierwszy dźwięk.

Ford skoczył z drzewa na ziemię.

– Cześć, kochani! – krzyknął.

Tłum odwrócił się w jego stronę.

– Przyjacielu! – zawołał kapitan. – Masz może zapalki? Może zapalniczkę? Albo coś podobnego?

– Niestety – odparł Ford w sposób, który sprawiał wrażenie, że stracił pierwszy impet. Nie był przygotowany na takie przyjęcie. Postanowił wziąć się zdecydowanie do rzeczy. – Nie mam zapalek, mam za to dla was ważne wiadomości...

– Szkoda – wpadł mu w słowo kapitan. – Skończyły nam się, wiesz? Od tygodni nie kąpałem się w ciepłej wodzie...

Ford postanowił nie dać się sprowadzić na manowce.

– Mam dla was ważne wiadomości – powtórzył. – Dokonaliśmy odkrycia i musi was zaciekawić.

– Czy ten punkt jest w porządku obrad? – spytał facet, któremu Ford przerwał.

Ford uśmiechnął się jak piosenkarz country.

– Człowieku... – spróbował.

– Przykro mi – mężczyzna był wyraźnie zdenerwowany – ale jako doradca handlowy z wieloletnim doświadczeniem muszę obstawać za trzymaniem się porządku obrad komisji.

– On zwariował! Przecież to prehistoryczna planeta...

– Proszę zwracać się do przewodniczącego! – fuknął doradca.

– Nie widzę żadnego przewodniczącego, jedynie skałę.

Doradca handlowy doszedł do wniosku, że najodpowiedniejszym do sytuacji nastrojem będzie irytacja.

– No to proszę mówić do niej „Panie Przewodniczący” – rzekł z irytacją.

– Dlaczego nie „skała”?

– Najwyraźniej nie ma pan zielonego pojęcia – doradca handlowy uznał, że nie warto rezygnować z irytacji na rzecz staromodnej arogancji – o współczesnych metodach prowadzenia biznesu.

– A pan nie ma pojęcia, gdzie się znajduje – odpalił Ford.

Gwałtownie wstała dziewczyna z piskliwym głosem. Zaprezentowała swoje możliwości.

– Zamknijcie się obaj! Chciałabym złożyć oficjalny wniosek na ręce przewodniczącego.

– Masz chyba na myśli „na skałę przewodniczącego” – parsknął stojący obok fryzjer.

– Do rzeczy! Do rzeczy! – zagadał doradca handlowy.

– Świetnie – stwierdził Ford. – Zobaczmy, jak sobie poradzicie sami. – Padł na ziemię, by sprawdzić, jak długo uda mu się zachować spokój.

Kapitan wydał z siebie coś na kształt ugodowego chrząknięcia.

– Chciałbym – zaczął grzecznie – otworzyć pięćset siedemdziesiąte trzecie posiedzenie komisji do spraw kolonizacji planety Fintlewudlewix...

„Dziesięć sekund” – pomyślał Ford i zerwał się na nogi.

– To bez sensu! – krzyknął. – Pięćset siedemdziesiąt dwa posiedzenia komisji i nawet nie wynaleźliście ognia!

– Gdyby był pan uprzejmy – wtrąciła dziewczyna z piskliwym głosem – rzucić okiem na kartkę z porządkiem obrad...

– Skaleń z porządkiem obrad! – radośnie zaćwierkał fryzjer.

– Dziękuję, powoli zacznym rozumieć, o co tu chodzi – wymamrotał Ford.

– ...wtedy... zobaczy... pan... – ciągnęła nieubłagalnie dziewczyna – że mamy dziś otrzymać raport z podkomisji fryzjerów do spraw ognia.

– Ach... uuu... – wydukał fryzjer i zaczął toczyć baranym wzrokiem. W całej Galaktyce oznacza to: „Eee, nie da się tego przełożyć na przyszły czwartek?”

– No to pięknie! – fuknął na niego Ford. – Co dotychczas zrobiłeś? Co zamierzasz dalej? Co sądzisz o wynalezieniu ognia?

– Bo ja wiem? – odparł fryzjer. – Dali mi dwa kawałki drewna...

– I co z nimi zrobiłeś?

Fryzjer strachliwie pogrzebał w bluzie dresu i podał Fordowi owoc swej pracy.

Ford wyciągnął do góry rękę z otrzymanym przedmiotem, by wszyscy mogli go zobaczyć.

– Lokówki!

W tłumie wybuchły owacje.

– Nie szkodzi – stwierdził Ford. – Nie od razu Rzym spalono.

Tłum nie miał zielonego pojęcia, o czym mowa, ale i tak mu się podobało. Oklaski się nasiliły.

– Jesteście naiwni jak dzieci – stwierdziła dziewczyna. – Gdybyście tyle czasu co ja zajmowali się polityką sprzedaży, wiedzielibyście, że nim zacznie tworzyć się produkt, należy go dokładnie zbadać. Trzeba ustalić, czego ludzie oczekują od ognia, jaki mają do niego stosunek, z czym im się kojarzy.

Tłum słuchał w napięciu. Czekano na coś spektakularnego ze strony Forda.

– Możesz to sobie wsadzić głęboko... – Ford zawiesił głos.

– To też trzeba wiedzieć! – upierała się dziewczyna. – Czy ludzie chcą, by można było wsadzać ogień w różne miejsca?

– Chcecie? – spytał Ford.

– Tak! – wrzasnęli jedni.

– Nie! – odkrzyknęli inni.

Nie mieli pojęcia, o czym mowa – uważali po prostu, że to taka zabawa.

– A koło? – wtrącił się kapitan. – Co z kołem? Projekt wygląda na niezwykle interesujący.

– Oczywiście – dziewczyna od polityki sprzedaży machnęła ręką – ale wynikły pewne kłopoty.

– Kłopoty?! – wykrzyknął Ford. – Jakie kłopoty?! Przecież koło jest najprostszą konstrukcją we wszechświecie!

Specjalistka od polityki sprzedaży przyszpiliła go wzrokiem.

– No to pięknie, panie mądraliński, jeśli pan taki sprytny, to proszę powiedzieć, jaki ma mieć kolor!

Tłum oszalał. Jeden zero dla naszych! Ford wzruszył ramionami i usiadł.

– Święty Zarkwonie – westchnął – nikt z was nic nie zrobił?

Jakby w odpowiedzi na skraju polany zawrzało. Tłum nie mógł uwierzyć, że przygotowano na dziś tyle rozrywek. Marszowym krokiem weszło kilkunastu ludzi, ubranych w resztki mundurów 3. Regimentu Golgafrinchamskiego. Mniej więcej połowa miała zabójcomaty, reszta włócznie, którymi podczas marszu rytmicznie się stukali. Mieli opalone twarze i choć byli niezwykle zmęczeni i brudni, wyglądali zdrowo. Stanęli z hurkotem i wywalili w powietrze parę salw, by ściągnąć na siebie uwagę. Jeden z przybyłych przewrócił się i więcej nie poruszył.

– Panie kapitanie! – wrzasnął drugi oficer, bo to on dowodził. – Proszę o pozwolenie złożenia raportu!

– Oczywiście, drugi, witamy w domu i tak dalej. Znaleźliście jakieś gorące źródła?

– Nie, panie kapitanie!!!

– Tak się obawiałem...

Drugi oficer pomaszerował przez tłum i zasalutował wannie.

– Odkryliśmy następny kontynent!

– Dawno temu?

– Leży za morzem... – Drugi znacząco zmrużył oczy. – Na wschodzie.

– Aha...

Drugi odwrócił się do tłumu. Podniósł karabin nad głowę.

„Teraz będzie coś fantastycznego” – pomyślano w tłumie.

– Wypowiedzieliśmy im wojnę!

To przekraczało wszelkie oczekiwania. Na polanie wybuchł dziki, niepohamowany entuzjazm.

– Czekać! – wrzasnął Ford Prefect. – Moment!

Zerwał się na równe nogi i gestami uciszał tłum. Po chwili zapanował względny spokój. Cisza była prawie idealna... no, brakowało jedynie, by kobziarz przestał grać hymn narodowy.

– Potrzebny nam kobziarz? – spytał Ford.

– Oczywiście – odparł kapitan. – Subwencionujemy go przecież.

Ford przez chwilę pomyślał, czy nie złożyć wniosku o włączenie sprawy kobziarza do porządku obrad, szybko jednak uzmysłowił sobie, że jeśli zaczną działać jak „członkowie komisji”, narażą się na niebezpieczeństwo popadnięcia w obłąd. Zamiast oszaleć, rzucił w kobziarza celnie kawałem skały i zwrócił się do drugiego oficera.

– Wypowiedzieliście im wojnę?

– Tak jest! – Drugi patrzył na Forda pogardliwie.

– Sąsiedniemu kontynentowi?

– Tak jest! Totalną wojnę. Ostateczną.

– Ale przecież nikt tam nie mieszka!

„Ciekawe – pomyślano w tłumie. – Dobra uwaga”.

Tępy wzrok drugiego niewzruszenie latał dalej w miejscu. Dokładniej mówiąc, jego oczy zachowywały się jak dwa komary, które latają człowiekowi dziesięć centymetrów przed nosem i nie zamierzają zwracać uwagi na machające ręce, packi na muchy ani zwinięte gazety.

– Wiem, że nikt tam nie mieszka – stwierdził drugi – ale pewnego dnia zamieszka! Dlatego zostawiliśmy bezterminowe ultimatum!

– Co?

– I wysadziliśmy parę obiektów wojskowych!

Kapitan wychylił się z wanny.

– Obiektów wojskowych?

Przez chwilę oczy drugiego unikały wzroku dowódcy.

– Tak jest, panie kapitanie, potencjalne obiekty wojskowe. No... drzewa...

Chwila niepewności minęła – drugi wzrokiem smagnął tłum jak biczem.

– Poza tym – ryknął – przesłuchaliśmy gazelę!

Z animuszem wsadził sobie zabójcomat pod pachę i ruszył w tłum, który wybuchł gwałtownym zachwytem. Udało mu się zrobić nie więcej niż kilka kroków, kiedy go dogoniono, dźwignięto na ramiona i zaczęto nieść w rundzie honorowej wokół polany.

Ford siedział i nieobecny duchem stukał kamykiem w kamyk. Ponownie zwrócił się do komisji zebranej wokół wanny kapitana.

– I cóż jeszcze zrobiliście? – spytał, kiedy w tłumie zamilkły objawy zachwyty.

– Stworzyliśmy kulturę – oświadczyła specjalistka od polityki sprzedaży.

– Naprawdę? – zdziwił się Ford.

– Naprawdę. Jeden z naszych realizatorów montuje właśnie fascynujący film o okolicznych jaskiniowcach.

– To nie jaskiniowcy...

– Wyglądają jak jaskiniowcy.

– Mieszkają w jaskiniach?

– No...

– Może po prostu przedekorowali jaskinie?! – wrzasnął jakiś dowcipniś z tłumu.

Ford pogroził mu pięścią.

– Bardzo dowcipne, ale może zauważyliście, że wymierają?

W drodze powrotnej ze swej wędrowki Ford i Artur natknęli się na dwie opuszczone wsie i zwłoki wielu tubylców, którzy powlekli się do lasu, by umrzeć. Żyjący sprawiali wrażenie załamanych i obojętnych – jakby cierpieli na jakąś chorobę duszy, nie ciała. Byli niezmiernie zmęczeni i bezgranicznie smutni. Odebrano im przyszłość.

– Oni wymierają! – wykrzyknął Ford. – Wiecie, co to znaczy?

– Eee... że nie powinniśmy sprzedawać im polis ubezpieczeniowych na życie! – wrzasnął dowcipniś.

Ford zignorował go i zwrócił się do ogółu.

– Spróbujcie to pojąć! Wymierają, odkąd się zjawiliśmy!

– Właśnie to podkreśla film. – Specjalistka polityki sprzedaży była nieugięta. – To wzruszający akcent charakteryzujący każdy znaczący dokument. Realizator jest człowiekiem bardzo zaangażowanym.

– Gdyby tak było naprawdę... – mruknął Ford.

– Słyszałam – ciągnęła dziewczyna zwracając się do kapitana, który powoli zaczynał przysypiać – że następny film chce zrobić o panu.

– Naprawdę? – kapitan natychmiast się ocknął. – Bardzo to miłe.

– Chce podejść do tematu z zupełnie nowego punktu widzenia, wie pan? Ciężar odpowiedzialności, samotność dowódcy...

Kapitan przez chwilę bez sensu się jąkał.

– No, tego może bym zbytnio nie podkreślał... Nigdy nie jest się samotnym, mając gumową kacuzzkę.

Podniósł kacuzzkę do góry. Tłum nagroził ją oklaskami.

Doradca handlowy siedział cały czas pogrążony w zupełnym milczeniu, jakby chciał zademonstrować, że czeka i, jeśli trzeba będzie, może czekać cały dzień.

Zdecydował jednak, że nie będzie czekać cały dzień i uda, że minionej półgodziny wcale nie było.

Wstał.

– Może – zaczął – przejdziemy do zagadnień polityki monetarnej...

– Polityki monetarnej?! – wrzasnął przerażony Ford Prefect. – Polityki monetarnej!!!

Doradca handlowy obdarzył Forda spojrzeniem, które mogłaby powtórzyć jedynie ryba płucodyszna.

– Polityki monetarnej – powtórzył. – Chyba wyraźnie powiedziałem.

– Skąd możecie mieć pieniądze, jeśli nikt nic nie produkuje? Przecież pieniądze nie rosną na drzewach!

– Czy mógłbym skończyć?

Ford pogardliwie skinął głową.

– Dziękuję bardzo – zgryźliwie powiedział doradca handlowy. – Odkąd kilka tygodni temu postanowiliśmy wprowadzić jako oficjalny środek płatniczy liść, każdy stał się oczywiście niezwykle bogaty...

Ford z niedowierzaniem patrzył na zebranych. Przytakująco pomrukiwali i chciwie macali pęki liści, którymi mieli powypychane bluzy.

– ...niestety z powodu wysokiego wskaźnika dostępności listowia pojawił się problem niewielkiej inflacji, co oznacza, jak słyszałem, że aktualny kurs wynosi około trzy zagajniki za jednego fistaszka z zapasów statku.

W tłumie rozległ się pomruk przestachu. Doradca handlowy uciszył ludzi gestem.

– W celu zlikwidowania tego problemu i skutecznej rewaluacji liścia rozpoczęliśmy właśnie szeroką kampanię usuwania nadmiaru liści i... eee... palimy lasy. Chyba zgodzicie się ze mną, że w panującej sytuacji to rozsądne posunięcie.

W tłumie przez sekundę panowało niezdecydowanie, kiedy jednak ktoś zauważył, że skutecznie podniesie to wartość liści, które mają w kieszeniach, wybuchły okrzyki entuzjazmu i zgotowano doradcy handlowemu owację na stojąco. Obecni w tłumie księgowi zaczęli się szykować na bardzo dochodową jesień.

– Jesteście szaleni – uznał Ford Prefect. – Jesteście kompletnie walnięci – dał do zrozumienia. – Jesteście bandą szalonych idiotów! – zakończył.

Nastroje w tłumie zaczęły zwracać się przeciwko niemu. To, co rozpoczęło się jako doskonale przedstawienie, przemieniało się zdaniem obecnych w magiel, a ponieważ obelgi kierowano głównie pod ich adresem, zaczęli mieć dosyć.

Także i dziewczyna z polityki sprzedaży zauważyła, że wiatr zaczyna wiać z innej strony, szybko więc zaatakowała Forda.

– Czy wolno spytać – zaczęła – co robił pan przez minione miesiące? Ani pana, ani tego drugiego intruza nie widzieliśmy od chwili lądowania.

– Wędrowaliśmy – odparł Ford. – Próbowaliśmy czegoś się dowiedzieć o planecie.

– No – podpuszczała dziewczyna – nie wygląda to na szczególnie produktywne działanie.

– Nie? Mam coś dla was, złotko. Odkryliśmy przyszłość tej planety.

Ford czekał, aż informacja zadziała. Nie zadziałała. Nie mieli zielonego pojęcia, o czym gada. Gadał dalej.

– Wszystko jedno, coście zaplanowali. Palenie lasów, cokolwiek, nie ma to najmniejszego znaczenia. Wasza przyszłość jest już zdecydowana. Macie dwa miliony lat i basta. Po tym czasie wasza rasa zginie i zniknie. Pomyślcie – dwa miliony lat!

Tłum mruczał znudzony. Kto w takim tempie się bogaci, nie musi wysłuchiwać podobnych andronów. Może dać koleśowi dwa, trzy liście i niech spada?

Nie było to konieczne – Ford właśnie odchodził. Tylko raz się zatrzymał, kręcąc głową na widok drugiego oficera, który walił z zabójcomatu w pobliskie drzewa.

Odwrócił się ostatni raz.

– Dwa miliony lat! – zaśmiał się i poszedł sobie.

– No to mamy dość czasu – kapitan uśmiechnął się uspokojony – by wziąć jeszcze parę kąpiel. Czy ktoś może mi podać gąbkę? Spadła mi na ziemię.

Rozdział 33

Artur siedział w lesie jakieś dwa kilometry od polany. Był zbyt zajęty tym, co robił, by zauważyć Forda Prefecta.

Robił coś dziwnego: w wielkim płaskim kamieniu wydrapał duży kwadrat i podzielił go na sto sześćdziesiąt dziewięć małych – po trzynaście szeregów i rzędów.

Zebrał kupę płaskich kamyczków i w każdym wyskrobał literę. Wokół kamienia siedziało paru tubylców, którym udało się przeżyć. Artur próbował zaznajomić ich z dziwnym, związanym z kamykami pomysłem.

Jak na razie nie radzili sobie najlepiej. Próbowali zjeść część kamyków, inne zakopać, resztę wyrzucić. W końcu Artur zachęcił jednego z tubylców, by położył kilka pionków na wydrapanej na kamieniu planszy. Było to mniej, niż osiągnął wczoraj. Wraz z gwałtownym rozpadem morale tych istot następował gwałtowny rozkład ich inteligencji.

Próbując zachęcić tubylców, sam położył kilka kamieni na planszy. Nakłaniał ich, by robili to dalej sami.

Nic z tego.

Ford stał niedaleko oparty o drzewo i przyglądał się w milczeniu.

– Nie tak... – mówił Artur do tubylca, który jak śnięta ryba przesunął parę kamieni. – „Q” ma nominalną wartość dziesięciu punktów, rozumiesz, a ponieważ leży na polu potrójnej wartości... przecież tłumaczyłem ci zasady... nie, przestań bawić się tą żuchwą... dobrze, zacznijmy od nowa. Tym razem spróbuj się trochę skupić.

Ford oparł łokieć o drzewo i głowę o dłoń.

– Arturze, co robisz? – spytał spokojnie.

Artur przestraszony spojrzał w górę. Tak, to, co robi, rzeczywiście może wyglądać dość idiotycznie. Wyraźnie jednak pamiętał, że w dzieciństwie ta gra działała na niego jak narkotyk – tyle że wtedy wszystko było inaczej, czy raczej – będzie.

– Próbuję nauczyć jaskiniowców grać w scrabble.

– To nie jaskiniowcy.

– Wyglądają jak jaskiniowcy.

Ford dał spokój.

– Rozumiem – zgodził się.

– To gorsze niż tłuc kamienie – ze zmęczeniem w głosie stwierdził Artur. – Jedyne słowo, jakie znają, to „urgh” i w dodatku nie potrafią go przeliterować.

Westchnął zrezygnowany.

– Co chcesz dzięki temu osiągnąć? – spytał Ford.

– Musimy zachęcić ich do rozwoju! Do postępu! – Wykrzyknął Artur ze złością. Miał nadzieję, że kombinacja pełnego zrezygnowania westchnienia z następującą po nim demonstracją energii może dać dobry skutek w walce z coraz silniejszym poczuciem idiotyzmu sytuacji. Nie dała. Gwałtownie westchnął. – Wyobrażasz sobie, jak wyglądałby świat, gdyby moimi praojcami byli ci... kretyni, z którymi przylecieliśmy?

– Czy sobie to wyobrażam? – Ford uniósł brwi. – Nie musimy sobie tego wyobrażać – żyliśmy właśnie w takim świecie.

– Ale... – Artur zrozpaczony wymachiwał ramionami.

– Żyliście właśnie w takim świecie – powtórzył Ford. – Nie ma ucieczki.

Artur kopnął kamyk.

– Powiedziałaś im, co znaleźliśmy?

– Hmm? – odparł Ford, nie całkiem skoncentrowany.

– Norwegia. Podpis Slartibartfasta w lodowcu. Opowiedziałaś im o tym?

– Po co? Jak mieliby zrozumieć, co to znaczy?

– Co to znaczy?! – wrzasnął Artur. – Przecież wiesz, co to znaczy! To znaczy, że ta planeta to Ziemia! Moja ojczyzna! Tu się urodziłem!

– Urodziłeś się?

– Niech ci będzie – urodzę się!

– Za dwa miliony lat. Dlaczego im sam tego nie powiesz? Idź i powiedz: „Przepraszam, chciałbym zwrócić uwagę na fakt, że za dwa miliony lat urodzę się parę kilometrów stąd”. Poczekaj, jak zareagują. Zagonią cię na drzewo, a potem je podpalą.

Artur ze smutkiem musiał się z tym zgodzić.

– Nie oszukuj się – mówił Ford – twoi przodkowie to tamte tępaki, a nie ci nieszczęśliwcy.

Podszedł do małpoludów, bawiących się niemrawo kamykami, i pokręcił głową.

– Arturze, daj sobie spokój ze scrabble. Nie uratuje ludzkiego gatunku, bo ludzie nie wykształcą się z tych stworów. Przodkowie ludzi siedzą po tamtej stronie wzgórza wokół skały i właśnie kręcą o sobie filmy dokumentalne.

Artura przeszył dreszcz.

– Coś musi dać się zrobić... – Opanowała go rozpacz, że musi siedzieć beczynnie na Ziemi, na Ziemi która straci swą przyszłość z powodu okropnej, wynikłej z czyjejś samowoli katastrofy, a teraz najwyraźniej jest skazana także na utratę swej przeszłości.

– Nie – Ford nie popuszczał – nie możemy nic zrobić. To nie zmieni historii Ziemi, bowiem właśnie to jest historia Ziemi. Chcesz czy nie, pochodzisz od ludzi z Golgafrinchamu. Za dwa miliony lat zostaną zniszczeni przez Vagonów. Historia nigdy się nie zmienia, jedno łączy się z drugim jak w puzzlu. Życie to dziwna rzecz...

Wziął literę „Q”, rzucił ją w krzak ligustra i trafił w królika. Królik rzucił się przerażony do ucieczki i gnał, aż go złapał i pożarł lis. Lis zachłysnął się kością i zdechł nad brzegiem rzeki, która niedługo potem splukała padlinę.

W czasie najbliższych tygodni Ford Prefect próbował zapomnieć o dumie i zaprzyjaźnił się z dziewczyną, która na Golgafrinchamie pracowała w dziale kadr, i zupełnie nie mógł się pozbierać, kiedy dziewczyna nagle zmarła, ponieważ napiła się wody ze stawu, którą zatrąla lisia padlina.

Z tej historii, wynika morał, że nie należy rzucać litery „Q” w krzew ligustra. Niestety, bywają chwile, kiedy nie da się tego uniknąć.

Jak większość ważnych rzeczy w życiu, dla Forda Prefecta i Artura Denta ów łańcuch wydarzeń pozostał nie znany. Patrzyli smutno na tubylca, który markotnie przesuwiał litery.

– Biedny durny jaskiniowiec... – zaczął Artur.

– To nie...

– Nieważne.

Nieszczęśliwa kreatura wydała z siebie pełne rozpaczycie wycie i zaczęła walić pięścią w skałę.

– Tylko traciliśmy dla nich czas? – spytał Artur.

– Uh uh urghhhhhh – rzucił tubylec, waląc w skałę.

– Wyrzuceni z ewolucji przez dezynfektorów telefonów!

– Urgh, grrr grrr, gruuu! – upierał się tubylec, waląc dalej w skałę.

– Dlaczego on wali w skałę? – dziwił się Artur.

– Myślę, że chce, byśmy jeszcze grali z nim w scrabble. Pokazuje na litery.

– Prawdopodobnie biedak ułożył CRZJGRDWLDIWDC. Cały czas mówię mu, że CRZJGRDWLDIWDC ma tylko jedno G.

Tubylec ciągle walił w skałę.

Zajrzeli mu przez ramię.

Wywalili gały.

W chaosie liter piętnaście leżało w jednej linii.

Dwa słowa.

CZTERDZIEŚCI DWA.

– Grrrurgh guh guh – wyjaśnił tubylec. Wściekłym ruchem zmiotł litery i podreptał z kumplem pod drzewo.

Ford i Artur gapili się na niego jak zaczarowani. Potem popatrzyli na siebie.

– Było tam to, co wydaje mi się, że było? – spytali równocześnie.

– Tak – powiedzieli chórem.

– Czterdzieści dwa.

– Czterdzieści dwa.

Artur pognał do tubylców.

– Co chcecie nam powiedzieć? Co to ma znaczyć?

Jeden z tubylców zrobił fikołka, wyciągnął nogi ku niebu, zrobił jeszcze jednego fikołka i położył się spać. Drugi wlaź na drzewo i zaczął obrzucać Forda Prefecta końskim gównem. Niezależnie od tego, co mieli do powiedzenia, już to zrobili.

– Wiesz, co to znaczy? – spytał Ford.

– Nie do końca.

– Czterdzieści dwa to liczba, którą Głęboka Myśl dał jako ostateczną odpowiedź.

– No i?

– A Ziemia to komputer, który Głęboka Myśl zaprojektował i zbudował, by znaleźć pytanie do ostatecznej odpowiedzi.

– Tak nam mówiono.

– A żywa materia była częścią macierzy roboczej komputera.

– Jeśli tak twierdzisz...

– Twierdę. Oznacza to, że ci tubylcy, te małpoludy, są integralną częścią programu, my zaś i ludzie z Golgafrinchamu nie.

– Ale przecież jaskiniowcy wymierają i wszystko wskazuje na to, że Golgafrinchamczycy przybyli, by ich zastąpić.

– No właśnie. Rozumiesz teraz?

– Co?

– Totalny chaos.

Artur rozejrzał się dookoła.

– Ta planeta naprawdę przechodzi trudne chwile – stwierdził.

Ford przez chwilę intensywnie myślał.

– Mimo to musiało wydarzyć się coś jeszcze – dodał. – Marvin mówił przecież, że widzi pytanie, wpisane w prądy twojego mózgu.

– Ale...

– Może to jakieś inne pytanie, może zniekształcone sformułowanie prawidłowego? Bylibyśmy odrobinę mądrzejsi, gdybyśmy je poznali, nie wiem tylko, jak to zrobić.

Na chwilę zwiesili głowy. Artur siedział na ziemi i wyrывał kępy trawy, uznał jednak, że to mało fascynujące zajęcie. Nie miał przekonania do trawy, drzewa były bez sensu, łańcuch wzgórz przed jego oczami zdawał się prowadzić donikąd, a przyszłość wyglądała jak tunel, którym trzeba się czołgać.

Ford bawił się czujnikiem. Przyrząd milczał. Ford westchnął i odłożył go na bok.

Artur wziął jedną z liter zrobionego przez siebie scrabble. Było to S. Westchnął i położył kamyk. Literą, którą położył z prawej strony, okazało się Y. SY. Pchnął w ich stronę trzecią F. W niewytłumaczalny sposób słowo trafnie wyrażało jego opinię o otaczającym świecie. Przez dłuższy czas wpatrywał się w litery. Nie ułożył ich z rozmysłem, konfiguracja była zupełnie przypadkowa. Jego mózg wrzucił pierwszy bieg.

– Ford! – krzyknął. – Jeśli wielkie pytanie zostało zakodowane w moim mózgu poprzez wytworzenie odpowiedniego wzorca fal mózgowych, ale go sobie nie uświadamiam, musi się znajdować w podświadomości...

– Tak mi się wydaje.

– Może więc istnieje sposób na wydobycie wzorca z mózgu?

– Na przykład?

– Na przykład używając przypadku, który zostanie odpowiednio zmodyfikowany przez fale mózgowe.

– Co masz na myśli?

– Ślepe wyciąganie liter scrabble'a z woreczka.

Ford gwałtownie wstał.

– Rewelacja! – Wyciągnął z plecaka ręcznik i kilkoma ruchami przerobił go na worek.

– Zupełne wariactwo – mówił – absolutny idiotyzm. Zrobimy, co mówisz, bo to wspaniały idiotyzm. Dawaj!

Słońce zniknęło dyskretnie za chmurą. Spadło parę smutnych kropelek deszczu.

Zebrali porozrzucane litery i wrzucili je do woreczka. Potrząsnęli.

– Świetnie! – dyrygował Ford. – Zamknij oczy. Szybciej, tempo, gazu!

Artur zamknął oczy i włożył dłoń do woreczka. Pomieszał kamyki, wyjął trzy i dał Fordowi, który ułożył je na ziemi w kolejności, w jakiej dostał.

– I, L, E... Ile!

Zamrugął.

– Chyba działa!

Artur dał mu trzy kolejne kamyki.

– J, E, S... Jes. Hm, może jednak nie działa.

– Masz następne.

– T, S, Z... Jestsz... to bez sensu, przykro mi.

Artur wyciągał kolejne kamyki. Ford układał je.

– E, Ś... Jestsześ... Ile jest sześ...! – wrzasnął Ford. Fantastyczne, to naprawdę działa! Ile jest sześ...

– Masz. – Artur rzucał kamyki tak szybko, że Ford ledwie nadążał je układać.

– Ć... Ile jest sześć... R, A, Z, Y... Ile jest sześć razy D, Z, I, E, W, I, E, Ć... Ile jest sześć razy dziewięć...

Przerwał.

- Następne!
 - Eee... – stęknął Artur dziwnym głosem. – Więcej nie ma.
- Wielce zdziwiony pogrzebał w ręczniku, kamyków już jednak nie było.
- Myślisz, że o to chodzi? – spytał Ford.
 - Z pewnością.
 - Sześć razy dziewięć. Czterdzieści dwa.
 - Otóż to. Nic więcej nie będzie.

Rozdział 34

Słońce wyszło zza chmurki i wesoło ich oświetliło. Zaśpiewał ptak. Przez drzewa wionął podmuch ciepłego wiatru, uniósł główki kwiatów i zabrał w dal ich zapach. Brzęcząc przeleciała muszka, by załatwić coś, co muszki mają do załatwienia późnym popołudniem. Słychać było perliste głosiki i chwilę potem pojawiły się dwie dziewczyny. Ujrawszy Forda Prefecta i Artura Denta, stanęły zaskoczone, panowie sprawiali bowiem wrażenie umierających, choć w rzeczywistości wstrząsały nimi jedynie paroksyzmy bezgłośnego śmiechu.

– Nie odchodźcie! – zawołał Ford, łapiąc powietrze. – Zaraz się wami zajmiemy.

– Co się stało? – spytała wyższa i szczuplejsza. Na Golgafrinchamie była urzędniczką w dziale kadr, ale niezbyt jej się tam podobało.

Ford wziął się w garść.

– Wybaczcie. Witamy. Właśnie zastanawialiśmy się z przyjacielem nad sensem życia. To bardzo śmieszne zajęcie...

– Ach, to ty – zauważyła dziewczyna. – Zrobiłeś z siebie pośmiewisko dziś po południu. Na początku byłeś dość zabawny, ale potem zacząłeś trochę za bardzo bić pianę.

– Naprawdę? Być może.

– Po co to było? – spytała druga, nieco niższa i bardziej puciołowata. Na Golgafrinchamie była plastyczką w małej firmie reklamowej. Niezależnie od niedostatków nowego świata, teraz co wieczór szła spać bezbrzeżnie wdzięczna losowi za to, że rano – choć dzień mógł przynieść wiele niespodzianek – nie zobaczy stu prawie identycznych zdjęć dramatycznie oświetlonych tubek pasty do zębów.

– Po co? Po nic. Nic nie jest po coś – rzekł Ford wesoło. – Zapraszamy do nas. Jestem Ford, to jest Artur. Właśnie zamierzaliśmy nic nie robić, ale to może poczekać.

Dziewczyny patrzyły na nich powątpiewająco.

– Mam na imię Agda – powiedziała wyższa – a to jest Mella.

– Cześć, Agda, cześć, Mella – przywitał się Ford.

– Nie mówisz? – spytała Artura Mella.

– Czasami – odparł Artur – ale nie tyle co Ford.

– To świetnie.

Przez chwilę było cicho.

– Co miałeś na myśli mówiąc, że mamy tylko dwa miliony lat? Zupełnie nie zrozumiałam, co chciałeś powiedzieć.

– Och, to nieistotne.

– Chodzi jedynie o to – wtrącił Artur – że Ziemia zostanie zniszczona, by zrobić miejsce hiperprzestrzennej trasie szybkiego ruchu. – Wzruszył ramionami. – Ale do tego czasu jest jeszcze dwa miliony lat, poza tym Vogoni robią tylko to, co muszą.

– Vogoni?

– Tak, nie znasz ich.

– O czym my mówimy?

– Nieważne. To tylko taki sen z przeszłości lub przyszłości. – Artur uśmiechnął się i odwrócił głowę.

– Nie martwi cię, że gadasz kompletne bzdury? – spytała Agda.

– Zmieńmy temat – rzekł Ford. – Zapomnij o wszystkim. Nic nie jest ważne. Patrz, jaki piękny dzień. Ciesz się nim. Słońce, zieleń wzgórz, rzeka w dolinie, płonące lasy...

– Nawet jeśli to tylko sen, pomysł zniszczenia planety, by zrobić miejsce drodze szybkiego ruchu, jest okropny – uznała Mella.

– Gorsze rzeczy już słyszałem – oznajmił Ford. – Czytałem kiedyś o planecie oddalonej stąd o siedem czasoprzestrzeni, której używano w czasie międzygalaktycznego bilardu jako bili. Wbito ją dokładnie w czarną dziurę. Dziesięć bilionów trupów.

– Szaleństwo... – uznała Mella.

– Zwłaszcza, że przyniosło jedynie trzydzieści punktów.

Agda i Mella spojrzały po sobie.

– Słuchajcie – Agda uśmiechnęła się – wieczorem po posiedzeniu komisji będzie przyjęcie. Wpadnijcie, jeśli macie ochotę.

– Świetnie – zgodził się Ford.

– Z przyjemnością – dodał Artur.

Wiele godzin później Artur i Mella siedzieli na ziemi i obserwowali księżyc wschodzący nad bijącą od lasu czerwoną łuną.

– Ta historia o tym zniszczonym świecie... – zaczęła Mella.

– Za dwa miliony lat.

– Mówisz, jakbyś w nią wierzył.

– Bo wierzę. Chyba nawet tam byłem.

Dziewczyna zdezorientowana potrząsnęła głową.

– Jesteś naprawdę dziwny...

– Nie, zupełnie normalny, ale przydarzyło mi się parę przedziwnych rzeczy. Możesz uznać, że nie jestem inny, a raczej odmieniony.

– A ten świat, o którym mówił twój przyjaciel, ten, który wpadł w czarną dziurę?

– Nic o tym nie wiem. Brzmi to jak historia z książki.

– Z jakiej?

Artur zawahał się.

– *Autostopem przez Galaktykę* – stwierdził w końcu.

– Co to jest?

– Takie coś, co wrzuciłem dziś do rzeki. Myślę, że nie będzie mi już potrzebne...